

P SUSAN ELIZABETH
HILLIPS

Wyobraź sobie...

Część pierwsza

Chłopiec stajenny

*Gdy obowiązek cicho szepcze: „Musisz”,
młodość odpowiada: „Mogę”.*

Ralph Waldo Emerson
Voluntaries III

1

Stary uliczny sprzedawca zauważył go od razu, chłopiec wyróżniał się w tłumie dobrze ubranych maklerów i pracowników banków wypełniających ulice dolnego Manhattanu. Przystrzyżone czarne włosy, które - gdyby były umyte - mogłyby lekko falować, sterczały spod ronda znozonego filcowego kapelusza. Połatana, rozpięta pod szyją koszula okrywała szczupłe ramiona, a skórzany pasek od upręży podtrzymywał poplamione, za duże bryczesy. Chłopiec miał na nogach wysokie, czarne buty, zbyt duże dla kogoś tak drobnego, a pod pachą podłużny pakunek.

Sprzedawca oparł się o wózek pełen tac z ciastami i przyglądał się chłopcu, przepychającemu się przez tłum, jakby to był wróg, którego musi pokonać. Stary człowiek dostrzegał rzeczy, których inni nie widzieli, i coś w tym chłopcu przykuło jego uwagę.

- Ty tam, *ragazzo*. Mam dla ciebie ciastko. Lekkie jak puch. *Vieni qui*.

Chłopiec uniósł szybko głowę i spojrzał tęsknie na tace z ciastami, które codziennie piekła żona starego. Sprzedawca niemal słyszał, jak chłopiec liczy drobniki ukryte w ścisłanym w rękę zawiniątku.

- Chodź, *ragazzo*. To prezent.

Pokazał mu wyrośnięte ciastko z jabłkami.

- Prezent od starego człowieka dla nowego w najważniejszym mieście na świecie.

Chłopiec prowokująco wepchnął kciuk za pasek spodni i podszedł do wózka.

-A po czym poznałeś, że jestem tu nowy?

Jego akcent był tak wyraźny jak zapach jaśminu nad polami bawełny w Karolinie. Stary ukrył uśmiech.

- A może tak tylko powiedziałem, co?

Chłopiec wzruszył ramionami i kopnął jakiś śmieć w rynsztoku.

- Nie mówię, że tak, i nie mówię, że nie.

Brudnym palcem wskazał ciastko.

- Ile za to?

- Czy nic mówiłem, że to prezent?

Chłopiec zastanowił się, skinął głową i wyciągnął rękę.

- Dziękuję uprzejmie.

Kiedy brał ciastko, do wózka podeszli dwaj przedsiębiorcy w surdutchach i cylindrach. Chłopiec omiół pogardliwym spojrzeniem ich złote dewizki, zwinięte parasole i wypolerowane buty.

- Cholerni głupi Jankesi - mruknął.

Mężczyźni, zajęci rozmową, nie usłyszeli tego, ale gdy tylko się oddalili, stary człowiek zmarszczył brwi,

- Nowy Jork to chyba nie miejsce dla ciebie, co? Od zakończenia wojny minęły tylko trzy miesiące. Nasz prezydent nie żyje. Nastroje są wciąż gorące.

Chłopiec przysiadł na krawężniku i zaczął jeść.

- Nie popierałem zbytnio pana Lincolna. Myślę, że był infantylny.

- Infantylny? *Madre di Dio!* A cóż to znaczy?

- Naiwny jak dziecko.

- A skąd znasz takie słowo?

Chłopiec osłonił oczy od słońca i spojrzał na sprzedawcę spod zmrużonych powiek.

- Czytanie książek to moje zajęcie. Tego słowa nauczyłem się od Ralph'a Walda Emersona. Jestem wielbicielem pana Emersona.

Zaczął delikatnie obgryzać brzeg ciasta.

- Rzecz jasna, kiedy zaczynałem czytać jego eseje, nie wiedziałem, że jest Jankesem. Gdy się dowiedziałem, nieźle się wściekłem. Ale za późno, już byłem jego wyznawcą.

- A co takiego ten Emerson mówi?

Chłopiec zlizął kawałek jabłka z brudnego palca.

- Mówi o silnej woli i poleganiu na sobie. Uważam, że wiara w siebie jest najważniejszą cechą człowieka. A pan?

- Wiara w Boga. To jest najważniejsze.

- Nie wierzę już za bardzo w Boga. Kiedyś tak, ale przez ostatnie lata napatrzyłem się na różne rzeczy. Widziałem, jak Jankesi wyrzynali nasze bydło i palili stodoły. Patrzyłem, jak zastrzelili mojego psa, Fergi-

sa. I jak pani Lewis Godfrey Forsythe jednego dnia straciła męża i syna. Czuję się stary.

Mężczyzna przyjrzał się chłopcu bliżej. Mała twarz w kształcie serca, lekko zadarty nos. Szkoda, że wkrótce wiek męski zatrze te delikatne rysy.

- Ile masz lat, *ragazzo*? Jedenaście? Dwanaście?

W oczach o zadziwiającym odcieniu ciemnego fioleto zabłysła czujność.

- Wystarczająco dużo.

- A gdzie twoi rodzice?

- Matka umarła przy porodzie. Ojciec zginął pod Shiloh trzy lata temu.

- A ty, *ragazzo*? Po co przyjechałeś do Nowego Jorku?

Chłopiec wepchnął do ust ostatni kawałek ciastka, wsunął swój pakunek pod pachę i wstał.

- Muszę bronić tego, co moje. Dziękuję uprzejmie za ciastko. Było mi bardzo miło pana poznać.

Miał już odejść, ale zawahał się.

-A jeśli chce pan wiedzieć... Nie jestem chłopcem. I na imię mam Kit.

Wędrując w kierunku Washington Square według wskazówek, których udzieliła jej jakaś kobieta na promie, Kit doszła do wniosku, że nie powinna była zdradzać przкупniowi swojego imienia. Ktoś, kto ma zamiar zabić, nie powinien się z tym afiszować. Zresztą to nie miało być morderstwo, lecz wymierzenie sprawiedliwości - nawet gdyby jankeskie sądy, jeśli ją złapią, nie podzieliły tego zdania. Musi zrobić wszystko, żeby nigdy nie wyszło na jaw, iż Katharine Louise Weston z plantacji Risen Glory koło Rutheford w Karolinie Południowej zbliżyła się na odległość rzutu kamieniem do ich przeklętego miasta.

Mocniej przycisnęła do siebie pakunek. W środku znajdował się sześciostrażkowy rewolwer jej ojca - samoprzeładowujący się pettingill. Jakich używano w armii - bilet powrotny do Charleston, *Eseje. Cześć pierwsza* Emersona, ubranie na zmianę i pieniądze. Żałowała, że nie może załatwić tego od razu, by już dziś wrócić do domu. Potrzebowała jednak czasu na obserwację tego jankeskiego łajdaka i poznanie jego zwyczajów. Zabicie go to tylko połowa zadania - ważne też, żeby nie dać się złapać.

Charleston był największym miastem, jakie widziała, ale Nowy Jork w niczym go nie przypominał. Przemierzając gwarne, ruchliwe ulice, Kit musiała przyznać, że było tu kilka ładnych miejsc. Piękne kościoły, wytworne hotele, duże sklepy z wejściami wykładanymi marmurem. Gorycz jednak nie pozwalała jej cieszyć się pięknymi widokami. Miasto

nie nosiło śladów wojny, która zniszczyła Południe. Kit miała nadzieję, że jeśli Bóg istnieje, to dopilnuje, aby generał William T. Sherman smażył się w piekle.

Zamiast uważać, dokąd idzie, zapatrzyła się na katarynkę i wpadła na człowieka śpieszącego do domu.

- Uważaj, chłopcze!

- Sam uważaj - odburknęła. - Nie jestem chłopcem.

Ale mężczyzna zniknął już za rogiem.

Gdzie oni wszyscy mają oczy? Od dnia, w którym opuściła Charleston, ciągle brano ją za chłopca. Nie sprawiało jej to przyjemności, ale może tak było nawet lepiej - wędrujący samotnie chłopiec nie rzucał się w oczy tak bardzo jak dziewczyna. W jej stronach ludzie nigdy się nie mylili. Naturalnie, znali ją od urodzenia i wiedzieli, że różne takie dziewczynskie ozdóbki tylko ją denerwują.

Gdyby tylko wszystko nie zmieniało się tak szybko: Karolina Południowa, Rutheford, Risen Glory, nawet ona sama. Sprzedawca wziął ją za dziecko, którym już nie była. Skończyła osiemnaście lat, była kobietą. Ciało nie pozwalało jej o tym zapomnieć, ale umysł się wzbraniał. Wiek i płeć były dla niej nieistotne i jak koń stojący przed zbyt wysoką przeszkodą - postanowiła je lekceważyć.

Zauważyła przed sobą policjanta i wmieszała się w grupę robotników niosących skrzynki z narzędziami. Zjadła ciastko, ale wciąż była głodna. I zmęczona. Gdybyż mogła być teraz w Risen Glory, wspiąć się na jedno z drzew brzoskwiniowych w sadzie, pójść na ryby lub pogadać w kuchni z Sophronią. Zacisnęła palce na skrawku papieru, aby upewnić się, że ciągle jest w kieszeni, choć wypisany na nim adres i tak miała wryty w pamięć.

Zanim znajdzie nocleg, chciała zobaczyć ten dom na własne oczy. Może ujrzy człowieka, który zagrażał wszystkiemu, co kochała. Potem przygotowuje się do zrobienia tego, czego nie dokonał żaden żołnierz armii konfederatów: wyjmie broń i zastrzeli majora Nathaniela Caina.

Baron Cain był niebezpiecznie przystojnym blondynem o rzeźbionym nosie i stalowoszarych oczach nadających jego twarzy wyraz zuchowałości. Czuł się znudzony. Chociaż Dora Van Ness była piękna i nie stroniła od przygód, żałował, że zaprosił ją na późny obiad. Nie miał nastroju, by słuchać jej paplaniny. Wiedział, że gotowa mu ulec, ale zwlekał z dopiciem swojej brandy. Brał kobiety na własnych, nie ich warunkach, a tak starą brandy należało pić bez pośpiechu.

Poprzedni właściciel miał świetnie zaopatrzoną piwnicę. Jej zawartość, jak i sam dom, Cain zawdzięczał stalowym nerwom i szczęściu w kartach. Z drewnianego humidora*, który gospodyni umieściła na stole, wyjął cienkie cygaro, odciął koniec i zapalił. Za kilka godzin miał się spotkać w jednym z najelegantszych klubów Nowego Jorku na partii pokera - oczywiście będą grać o wysoką stawkę. Przedtem jednak zakosztuje najskrytszych wdzięków Dory.

Gdy rozparł się w krzesło, zobaczył, że Dora zatrzymała spojrzenie na bliźnie zniekształcającej wierzch jego prawej dłoni. Była to jedna z kilku ran, które zostały mu w spadku po wojnie, a które zdawały się ją podniecać.

- Nie sądzę, abyś usłyszał choć słowo z tego, co mówiłam przez całą wieczór, Baronie.

Oblizła wargi i posłała mu szelmowski uśmiech.

Cain był świadom, że podoba się kobietom, jednakże własny wygląd niezbyt go interesował i nie był powodem do dumy. Uważał, że twarz nie jest jego zasługą - otrzymał ją w spadku po ojcu o słabym charakterze i matce rozkładającej nogi przed każdym mężczyzną, który wpadł jej w oko.

W wieku czternastu lat zorientował się, że kobiety mu się przyglądają. Ich zainteresowanie sprawiało mu przyjemność. Teraz, dwanaście lat później, miał już dość kobiet i czuł się znudzony.

- Oczywiście, że słyszałem. Wyliczyłaś powody, dla których powinienem zacząć pracować u twojego ojca.

- Jest bardzo wpływowy.

- Ja już mam pracę.

- Doprawdy, Baronie, trudno to nazwać pracą. To rozrywka.

Przyjrzał się jej bez emocji.

- Nie ma w tym nic z rozrywki. Hazardem zarabiam na życie.

- Ale...

- Pójdiesz na górę czy wolisz, żebym cię odwiózł do domu? Nie chciałbym cię zbyt długo zatrzymywać.

Zerwała się na nogi, a po chwili już była w jego łóżku. Piersi miała pełne i krągłe i Cain nie rozumiał, dlaczego ich dotyk nie cieszy go bardziej.

- Zadaj mi ból - wyszeptwała. - Niewielki.

Był zmęczony ranieniem i bólem, przed którymi trudno uciec, choć wojna już się skończyła. Wykrzywił usta w cynicznym uśmiechu:

* Pojemnik do utrzymywania stałego poziomu w i l g o t n o ś c i .

- Wszystko, czego sobie życzysz.

Później, gdy został znowu sam i przebrał się na wieczór, zaczął krążyć po pokojach wygranego w karty domu. Myślał o miejscu, w którym się wychował.

Gdy miał dziesięć lat, matka uciekła, zostawiając go z ojcem w ponurej, popadającej w ruinę rezydencji w Filadelfii. Trzy lata później ojciec zmarł, a Cain trafił do sierocińca. Pewnej nocy uciekł. Nie miał konkretnego celu tylko kierunek - Zachód. Przez następne dziesięć lat dryfował od miasta do miasta, pasając bydło, układając tory kolejowe, płucząc piasek w poszukiwaniu złota, aż odkrył, że więcej może go zdobyć przy karcianym stoliku niż w strumieniu. Zachód był nową ziemią, która potrzebowała wykształconych ludzi, ale Cain nie przyznałby się nawet, że umie czytać.

Kobiety szalały za przystojnym chłopcem. Jego rzeźbione rysy i chłodne szare oczy skrywały tysiące tajemnic. Miał w sobie jednak coś lodowatego, czego żadnej z nich nie udało się rozgrzać. Brakowało mu łagodnych uczuć, jakie rodzą się i rozwijają w dziecku otaczanym miłością. Nie wiedział, czy uczucia te umarły już na zawsze, czy tylko zamarły. Nie obchodziło go to.

Kiedy wybuchła wojna, po raz pierwszy od dwunastu lat przedostał się na drugi brzeg Missisipi i zaciągnął się do wojska. Nie po to, by pomóc Unii, ale dlatego, że nade wszystko cenił wolność i nie mógł ścierpieć idei niewolnictwa. Dołączył do ponoszących ciężkie straty oddziałów generała Grania i dał się zauważyć, gdy przejmowali Fort Henry. Kiedy dotarli do Shiloh, Cain należał już do sztabu generała. Dwa razy omal nie poległ: raz pod Vicksburgiem, a następnie cztery miesiące później pod Chattanooga w czasie ataku na Missionary Ridge, w bitwie, która otworzyła generałowi Shermanowi drogę do morza.

O Cainie zaczęły się rozpisywać gazety, okrzyknięto go bohaterem spod Missionary Ridge i wychwalano jego odwagę oraz patriotyzm. Po kilku udanych atakach Barona na linie nieprzyjaciela, przytaczano wypowiedź generała Granta: „Wolałbym stracić prawą rękę niż Barona Caina”.

Nikt - ani Grant, ani gazety - nie wiedziały jednak, że Cain żył właśnie po to, by podejmować ryzyko. Niebezpieczeństwo, podobnie jak miłość fizyczna, nadawało jego życiu sens. Może dlatego zarabiał hazardem na życie. Potrafił stawiać wszystko na jedną kartę.

Tylko że karty, ekskluzywne kluby i kobiety traciły smak i nie znaczyły tyle, ile powinny. Czegoś mu brakowało, ale nie miał pojęcia czego.

Kit zbudził nagle nieznamy męski głos. Żdźbło słomy kłuło ją w policzek, przez chwilę poczuła się jak u siebie, w stodole w Risen Glory. Przypomniała sobie, że przecież ją spalono.

- Może pójdziesz już spać, Magnus? Napracowałeś się dzisiaj.

Głos dochodził zza ściany stajni. Był głęboki i dźwięczny, bez przeciąganych samogłosek i szeptanych spółgłosek jak w jej rodzinnych stronach.

Zamrugwała, wpatrując się w ciemność. Nagle oprzytomniała. Słodki Jezu! Zasnęła w stajni Barona Caina!

Uniosła się lekko na łokciu, żałując, że tak niewiele widzi. Wskazówki, które dała jej kobieta na promie, okazały się złe i odnalazła ten dom dopiero po zmroku. Przez chwilę stała za drzewami po drugiej stronie drogi. Ponieważ nic się nie działo, obeszła dom od tyłu i żeby lepiej widzieć, wdrapała się na okalający go mur. Gdy spostrzegła otwarte drzwi stajni, postanowiła wsunąć się do środka i rozejrzeć. Niestety, znajomy zapach koni i świeżej słomy okazał się niezwykle nęcący i zasnęła w jednym z pustych boksów.

- Czy zamierza pan jutro wziąć Saratogę? - rozległ się inny głos, w którym znajome, płynne dźwięki przywodziły na myśl byłych niewolników z plantacji.

- Niewykluczone. Dlaczego?

- Nie podoba mi się to otarcie na pęcinnie. Lepiej dać jej kilka dni spokoju.

- Dobrze. Rzucę na nią okiem jutro. Dobranoc, Magnusie.

- Dobranoc, majorze.

Majorze? Serce Kit waliło jak młotem. Mężczyzna o donośnym głosie to Baron Cain! Podpełzła do stajennego okna i zerknęła ukradkiem. Zdażyła tylko dostrzec jego sylwetkę, gdy zniknął w oświetlonym domu. Za późno! Straciła szansę zobaczenia jego twarzy. Cały dzień zmarnowany.

Przez moment czuła zdradziecki ucisk w gardle. Bardziej skomplikować spraw już chyba nie mogła. Było już dobrze po północy, znajdowała się w obcym jankeskim mieście i od razu pierwszego dnia omal nie dała się złapać. Przełknęła głośno ślinę i próbowała dodać sobie otuchy, mocno wciskając na oczy swój wyświechtany kapelusz. Co się stało, to się nie odstanie. Teraz musi się stąd wydostać i znaleźć jakiś nocleg. A jutro podejmie obserwację z bezpieczniejszej odległości.

Chwyciwszy tobołek, dopełzła do drzwi i nasłuchiwała. Cain wszedł do domu, ale gdzie jest człowiek zwany Magnusem? Ostrożnie uchyliła drzwi i wyjrzała. Światło zza zasłoniętych okien sączyło się na otwarty teren między stajnią a powozownią. Kit wysunęła się powoli na zewnątrz,

wyteżając słuch, lecz podwórze było ciche i puste. Wiedziała, że żelazna brama w wysokim, ceglany murze jest zamknięta, a zatem będzie musiała wydostać się tak, jak weszła: górą

Niepokoili ją otwarta przestrzeń podwórza, które będzie musiała przebiec. Jeszcze raz spojrzała w kierunku domu, po czym wzięła głęboki oddech i ruszyła przed siebie.

Już po kilku susach zorientowała się, że coś jest nie tak. W nocnym powietrzu poczuła wyraźnie lekki zapach dymu z cygara.

Krew zaczęła jej krążyć szybciej. Zebrała siły i skoczyła na mur, lecz pnącze, po którym chciała się wdrapać, zostało jej w ręku. Złapała gorączkowo inną gałąź, rzuciła swój pakunek i podciągnęła się na mur. Gdy była już na górze, ktoś chwycił ją za spodnie. Zamachała rękami w powietrzu i z łomotem spadła na brzuch. Ciężki but przycisnął ją do ziemi.

- I kogo tu mamy? - wycodził nad nią, właściciel buta.

Upadek pozbawił ją tchu, lecz rozpoznała ten niski głos. Człowiekiem, którego but ją przygniatał, był jej zaprzysięgły wróg, major Baron Nathaniel Cain.

Wściekłość zasnuła jej wszystko czerwoną mgiełką. Wspierając się na dłoniach, próbowała wstać, ale nie ustąpił.

- Zdejmij ze mnie tę swoją cholerną nogę, ty brudny sukinsynu!

- Nie sądzę, abym miał taki zamiar - odpowiedział ze spokojem, który ją rozwścieczył.

- Pozwól mi wstać! Natychmiast pozwól mi wstać!

- Jak na złodzieja jesteś strasznie zajadły.

- Złodzieja! Z oburzeniem uderzyła pięściami w ziemię. - Nigdy w życiu nic nie ukradłem. Kto mówi inaczej, jest cholernym kłamcą!

- A więc co robiłeś w mojej stajni?

To ją otrzeźwiło. Szukała gorączkowo wiarygodnego wyjaśnienia.

- Szukam... szukam... pracy. W pobliżu nikogo nie było, więc wszedłem do środka, żeby poczekać, aż ktoś przyjdzie. Musiałem zasnąć.

But się nie poruszył.

- Gdy się obudziłem, było ciemno. Usłyszałem głosy i przestraszyłem się, że ktoś mnie zobaczy i pomyśli, że chcę zrobić krzywdę koniom.

- Wydaje mi się, że ktoś, kto szuka pracy, powinien mieć na tyle rozumu, żeby zapukać do tylnych drzwi.

Kit też się tak wydawało.

- Jestem nieśmiały - powiedziała.

Cain zaśmiał się krótko i powoli zdjął swój ciężki but z jej grzbietu.
- Pozwolę ci teraz wstać. Ale jeśli spróbujesz uciekać, pożałujesz.
- Nie jestem... - W samą porę ugryzła się w język. - Nie mam zamiaru uciekać - poprawiła się, wstając z trudem. - Nie zrobiłem nic złego.
- To się dopiero okaże.

Księżyc wyszedł zza chmury i zobaczyła przed sobą już nie niepokojący cień, ale mężczyznę z krwi i kości. Wstrzymała oddech.

Był wysoki, szeroki w ramionach i wąski w biodrach. Chociaż z reguły nie zwracała uwagi na takie rzeczy, był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego dotąd widziała. Krawat miał rozluźniony, kołnierzyk eleganckiej białej koszuli rozpięty, a w mankietach tkwiły małe spinki z onyksu. Ubrany w czarne spodnie, stał z ręką nonszalancko opartą na biodrze i cygarem w zębach.

- Co tam masz? - Skinął głową w kierunku leżącego na ziemi tobołka.

- Nic pańskiego!

- Pokaż!

Kit chciała się sprzeciwić, ale czuła, że mu się to spodoba, więc wyciągnęła pakunek z chwastów i rozwiązała.

- Ubranie na zmianę, egzemplarz *Esejów* pana Emersona i pettingill mojego ojca.

Nie wspomniała o powrotnym bilecie do Charlestonu wetkniętym w książkę.

- Nic pańskiego tu nie ma.

- A na co komuś takiemu jak ty *Eseje* Emersona?

- Jestem jego wielbicielem.

Kąciki ust Caina lekko zadrgały.

- Masz jakieś pieniądze?

Schyliła się, żeby spakować swoje rzeczy.

- Oczywiście, że mam pieniądze. Myśli pan, że byłbym tak naiwny i wybrał się do obcego miasta bez nich?

- Ile?

- Dziesięć dolarów - odpowiedziała zadziornie.

- Za tyle nie utrzymasz się długo w Nowym Jorku.

Byłby jeszcze bardziej krytyczny, gdyby wiedział, że naprawdę miała tylko trzy dolary i dwadzieścia osiem centów.

- Mówiłem panu, że szukam pracy.

- Tak, mówiłeś.

Gdyby tylko nie był taki wysoki. Kit była wściekła na siebie, że c o f -nęła się o krok.

- Lepiej już sobie pójść.
- Wiesz, że wchodzenie na cudzy teren jest naruszeniem prawa. Muszę chyba oddać cię w ręce policji.
- Kit czuła, że zapędza ją w kozi róg. Uniosła brodę.
- Jest mi bez różnicy, jak pan postąpi. Nie zrobiłem nic złego. Skrzyżował ręce na piersi.
- Skąd jesteś, chłopcze?
- Z Michigan.
- Kiedy wybuchnął śmiechem, pojęła swoją pomyłkę.
- Chyba mnie pan przyłapał. Naprawdę jestem z Alabamy, ale wojna dopiero co się skończyła i nie mam ochoty się z tym obnosić.
- To lepiej trzymaj język za zębami zachichotał. - Nie jesteś za młody, żeby nosić broń?
- Niby dlaczego? Umieję się z nią obchodzić.
- Z całą pewnością. - Przyjrzał się jej dokładniej. - Dlaczego wyjechałeś z domu?
- Zabrakło pracy.
- A twoi rodzice?
- Powtórzyła historię, którą opowiedziała ulicznemu sprzedawcy. Cain chwilę się nad nią zastanawiał. Kit starała się stać spokojnie.
- Mój stajenny zrezygnował w zeszłym tygodniu. Może chciałbyś pracować dla mnie?
- Dla pana? wyszeptwała.
- Tak jest. Polecenia wydawałby ci mój zarządca, Magnus Owen. Nie ma śnieżnobiałej skóry, więc jeśli miałoby to urazić twoją południową dumę, to lepiej powiedz mi zaraz i nie marnujmy więcej czasu. - Gdy nie odpowiadała, kontynuował: - Możesz spać nad stajnią i jeść w kuchni. Trzy dolary pensji tygodniowo.
- Kopnęła ziemię czubkiem zdartego buta. W głowie miała zamęt. Dziś pojęła, że nie będzie łatwo zabić Barona Caina - szczególnie teraz, kiedy widział jej twarz. Wprawdzie, pracując w stajni, mogłaby być blisko niego, ale z drugiej strony w ten sposób jej zadanie stawało się podwójnie niebezpieczne.
- Ale czy kiedyś przejmowała się niebezpieczeństwem?
- Wetknęła kciuki za pasek spodni.
- Dorzuć jeszcze ze dwa dolary, Jankesie, i masz chłopca stajennego.

Pokoik nad stajnią pachniał znajomo końmi, skórą i kurzem. Był wygodnie umeblowany: stało w nim miękkie łóżko i dębowy fotel na

biegunach, a na podłodze leżał spleśniały sznurkowy dywan. Znajdował się tu też stolik z miednicą i dzbankiem, ale Kit je zignorowała. Najważniejsze, że miał okno wychodzące na tyły domu i że mogła stamtąd prowadzić obserwację.

Zaczekała, aż Cain wejdzie do domu, dopiero wtedy zrzuciła buty i wgramoliła się do łóżka. Chociaż zdrzemnęła się trochę w stajni, była zmęczona. Nie zasnęła jednak od razu. Rozmyślała, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby tata nie pojechał do Charlestonu, kiedy miała osiem lat, i nie wbił sobie do głowy, że musi się ponownie ożenić.

Garrett Weston zachowywał się jak odurzony od chwili, kiedy poznał Rosemary — mimo że była starsza od niego i miała trudny charakter. Rosemary nie ukrywała, że nie cierpi dzieci. Kiedy Garrett przywiózł ją do Risen Glory, natychmiast odesłała ośmioletnią Kit na noc do domku niedaleko chat niewolników. Po ślubie małżonkowie chcieli być sami. Kit już nigdy nie została wpuszczona z powrotem.

O tym, że nie ma nic do powiedzenia, Rosemary przypominała jej piekącymi klapsami lub szarpnięciem za ucho, Kit wołała więc wchodzić tylko do kuchni. Nieregularne lekcje, których udzielała jej nauczycielka z sąsiedztwa, też odbywały się w domku.

Garrett Weston nigdy nie był czułym ojcem. Zajęty swoją piękną, zmysłową żoną, nie zauważał, że poświęca córce mniej uwagi niż jego niewolnicy swoim dzieciom.

Sąsiedzi byli oburzeni: „To dziecko dziczeje! Nawet taki głupiec jak Garrett Weston nie powinien pozwalać małej dziewczynce włóczyć się po okolicy”. Rosemary tylko wrzeszczała ramionami, gdy zwracali jej uwagę, że Kit potrzebuje guwernantki i przyzwoitego ubrania. W końcu sąsiadki same zatroszczyły się o Kit: dały jej sukienki, z których wyrosły ich córki, i książki na temat dobrych obyczajów. Kit zignorowała lektury, a sukienki wymieniła na bryczesy i chłopięce koszule. Gdy skończyła dziesięć lat, potrafiła już strzelać, przeklinać, jeździć konno na oklep, zdążyła nawet wypalić cygaro.

Nocą, samotna, mówiła sobie, że jej nowe życie ma dużo zalet. Mogła wspinać się na drzewa brzoskwiniowe w sadzie, mogła się huścić na linie w stodole. Mężczyźni z sąsiedztwa nauczyli ją obchodzić się z koźmi i łowić ryby. Rankiem, zanim macocha wynurzyła się z sypialni, zakradała się do biblioteki i wybierała książki, jakie chciała. A jeżeli stłukła kolano albo w stopę weszła jej drzazga, zawsze mogła pobiec do kuchni do Sophronii.

Wojna zmieniła wszystko. Pierwsze strzały padły na miesiąc przed jej czternastymi urodzinami. Niedługo potem Garrett Weston przekazał

zarządzanie plantacją w ręce Rosemary i przyłączył się do armii konfederatów. Macocha nie interesowała się plantacją i Risen Glory zaczęła podupadać. Kit rozpaczliwie próbowała przejąć obowiązki ojca, ale była zbyt młoda i niedoświadczona, by temu podołać.

Gdy Garrett Weston zginął pod Shiloh, okazało się, że zapisał plantację żonie. Kit wpadła w rozpacz. Co prawda kilka lat wcześniej babka utworzyła dla Kit fundusz, powierniczy, ale nie miało to dla niej znaczenia.

Wkrótce potem przez Rutheford przemaszerowali jankescy żołnierze, paląc wszystko, co napotkali na drodze. Dzięki słabości Rosemary do przystojnego porucznika z Ohio, udało się uratować dom, choć bez otaczających go zabudowali. Niedługo po porażce generała Lee nad Appomattox Rosemary zmarła podczas epidemii grypy.

Kit straciła wszystko: ojca, dzieciństwo, sposób życia. Została jej tylko ziemia. Tylko Risen Glory. Leżąc zwinięta w kłębek na cienkim materacu w pokoiku nad stajnią, pojęła, że musi ją odzyskać za wszelką cenę.

Zasnęła, wyobrażając sobie, co zrobi, kiedy Risen Glory będzie narzeczcie jej własnością.

W stajni stały cztery konie: para do powozu i dwa do polowań. Kit trochę się uspokoiła, kiedy duży gniadosz o długiej, eleganckiej szyi trącił nozdrzami jej ramię. Wszystko będzie dobrze. Będzie miała oczy szeroko otwarte i poczeka na odpowiedni moment. Baron Cain był niebezpieczny, ale ona miała przewagę - znała swojego wroga.

- Nazywa się Apollo.

- Co? - Odwróciła się szybko. Za nią, po drugiej stronie drzwi oddzielających boksy od środkowego korytarza, stał młody mężczyzna o czekoladowej skórze i dużych, wyrazistych oczach. Miał dwadzieścia kilka lat, był wysoki, szczupłej budowy. Przy jego nodze czekał cierpliwie czarno-biały kundel.

- Ten gniady. Nazywa się Apollo. Ulubiony koń majora.

- Nie mów? - Kit otworzyła drzwi i wyszła z boksu.

Kundel obwąchał Kit. a miody człowiek obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

- Jestem Magnus Owen. Major powiedział, że dał ci pracę, kiedy cię wczoraj przyłapał, jak uciekałeś ze stajni.

- Nie uciekałem. No, niezupełnie. Ten major jest podejrzliwy, ot co. Spojrzała na kundla.

- To twój?

- No. Wołam go Merlin.

- Nie jest zbyt bystry.

Gładkie, wysokie czoło Magnusa zmarszczyło się.

- Czemu tak mówisz? Nawet go nie znasz!

- Całe popołudnie spałem wczoraj w tamtym boksie. Gdyby Merlin był coś wart, to na pewno by czekał.

Kit schyliła się i w roztargnieniu podrapała psa za uchem.

- Merlina nie było tu wczoraj po południu. Był ze mną- rzekł Magnus.

- No, cóż. Może jestem uprzedzony. Mojego psa, Fergisa, zabili Jankesi. Najlepszego psa, jakiego znałem. Do dziś nie mogę go odżałować.

Twarz Magnusa trochę złagodniała.

- Jak się nazywasz?

Zamilkła na moment. Zdecydowała, że będzie łatwiej, jeśli użyje prawdziwego imienia. Za plecami Magnusa zauważyła puszkę oleju Finneya do konserwacji uprząży.

- Kit. Kit Finney.

- Śmieszne imię dla chłopca.

- Moja rodzina podziwiała Kita Carsona, tego indiańskiego wojownika.

Magnus przyjął to wyjaśnienie i pokazał, co będzie robiła. Potem poszli do kuchni na śniadanie i przedstawił ją gospodyni.

Edith Simmons była tęga, miała rzadkie siwiejące włosy i zdecydowane poglądy. Była kucharką i gospodynią poprzedniego właściciela. Zgodziła się zostać, dopiero gdy się okazało, że Baron Cain nie jest żonaty i nikt nie będzie jej niczego dyktował. Edith wierzyła w oszczędność, dobre jedzenie i higienę osobistą. Ona i Kit były naturalnymi wrogami.

- Ten chłopak jest brudny, nie powinien jeść z kulturalnymi ludźmi!

- Nie będę się z tobą spierał - odpowiedział Magnus.

Kit była zbyt głodna, żeby się długo kłócić. Poczłapała do spiżarni i ochlapała wodą twarz i ręce, ale nie dotknęła mydła. Pachniało dziewczynko, a Kit unikała wszystkiego, co kobiece.

Pochłaniając z apetytem obfite śniadanie, przyglądała się Magnusowi. Po sposobie, w jaki odnosiła się do niego pani Simmons, zrozumiała, że jest tu kimś ważnym. Było to niezwykle, bo Magnus miał czarną skórę, a w dodatku był taki młody. Uświadomiła sobie, że Magnus przypomina jej Sophronię, kucharkę z Risen Glory -jedyną osobę na świecie, którą Kit kochała. Oboje - i Magnus, i Sophronia - zachowywali się, jakby pozjadali wszystkie rozumy.

Ogarnęła ją tęsknota za domem. Odsunęła to uczucie, tłumacząc sobie, że już niedługo wróci do Risen Glory i postawi plantację na nogi.

Po południu siedziała w cieniu przed wejściem do stajni. Jej dłoń spoczywała na grzbiecie Merlina, który zasnął z nosem opartym o jej udo. Pies nawet się nie poruszył, kiedy podszedł Magnus.

- Ten kundel jest do niczego - wyszeptała Kit. - Gdybyś był mordercą, już bym nie żyła.

Magnus zaśmiał się krótko i kucnął obok niej.

- Racja, nie najlepszy z niego stróż. Ale jest jeszcze młody. Major przyłapał szczeniaka, gdy kopał nory w alejce za domem.

Kit widziała Caina tego dnia tylko raz - szorstkim tonem kazał jej osiodłać Apolla. Był zbyt zapatrzonej w siebie, żeby zamienić z nią choć parę słów. To nie to, że chciałaby rozmawiać z takimi jak on - chodziło o zasadę.

Jankeskie gazety nazywały go bohaterem spod Missionary Ridge. Wiedziała, że walczył pod Vicksburgiem i Shiloh; może nawet właśnie on zabił jej ojca. To niesprawiedliwe, że Cain żyje, kiedy tylu dzielnych konfederatów poległo. A najgorsze, że ciągle jeszcze zagrażał jedynej rzeczy, jaka jej została.

- Jak długo znasz majora? - zapytała ostrożnie.

Magnus zerwał źdźbło trawy i zaczął je żuć.

- Od Chattanooga. Naraził życie, żeby mnie uratować. Od tej chwili jestem cały czas z nim.

W Kit zaczęło kiełkować straszliwe podejrzenie.

- Magnusie, chyba nie walczyłeś dla Jankesów?

- Oczywiście, że walczyłem dla Jankesów!

Poczwała się rozczarowana. A już zaczynała go lubić.

- Powiedziałaś, że jesteś z Georgii. Dlaczego nie walczyłeś po stronie swojego stanu?

Magnus wyjął trawkę z ust.

- Musisz być bardzo odważny, chłopie. Siedzisz tu i jakby nigdy nie pytasz czarnego człowieka, dlaczego nie walczył za ludzi, którzy trzymali go w niewoli. Miałem dwanaście lat, jak mnie wyzwolili. Pojechałem na Północ. Dostałem pracę i poszedłem do szkoły. Ale nie byłem wolny tak naprawdę, rozumiesz? Żaden czarny w tym kraju nie mógł być wolny, dopóki jego bracia i siostry byli niewolnikami.

- Ale w wojnie nie chodziło o niewolnictwo - wyjaśniała cierpliwie Kit. - Chodziło o to, czy stany mogą rządzić się same, bez mieszania się innych w ich wewnętrzne sprawy. Kwestia niewolnictwa była tylko przy okazji.

- Może dla ciebie, białasie. Na pewno nie dla mnie.

Ależ ci czarni są drażliwi, pomyślała, gdy Magnus już odszedł. Później, kiedy drugi raz dała koniom paszę, rozmyślała nad tym, co powie-działa. Przypomniała sobie kilka gorących sporów z Sophronią.

Cain zgrabnie zeskoczył z grzbietu Apolla.

- Zajmij się nim porządnie, chłopcze. Nie chcę, żeby się rozchoro-wał.

Rzucił Kit wodze i pomaszerował w stronę domu.

- Znam się na swojej robocie! - krzyknęła za nim Kit. - I żaden Jankes nie musi mi mówić, co mam robić ze zgonionym koniem.

Pożałowała swoich słów, jeszcze zanim skończyła mówić. Była do-piero środa - nie mogła ryzykować, że Cain ją zwolni.

Zauważyła, że tylko w niedzielę pani Simmons i Magnus nie nocują w domu. Pani Simmons miała wolne i zostawała u siostry. Magnus nato-miast spędzał noc w rozwiązły, jak to określiła pani Simmons, sposób, o którym rozmawiać mogą wyłącznie dorośli. Kit musiała wytrzymać jesz-cze cztery dni. Potem, w niedzielę w nocy, zabije tego jankeskiego drania, który spoglądał na nią z wyższością swoimi szarymi, zimnymi oczami.

- Jeżeli wolisz pracować gdzie indziej, bez trudu znajdę innego sta-jennego.

- Nie mówię, że chcę pracować gdzie indziej - wymamrotała.

- Więc lepiej trzymaj język za zębami.

Kopnęła ziemię czubkiem zakurzonego buta.

- I jeszcze jedno, Kit.

- Tak?

- Wykap się. Ludzie skarżą się na twój zapach.

- Wykapać się?!

Kit zatrzęsała się z oburzenia. Ledwo się powstrzymała, żeby nie wybuchnąć.

Cain patrzył na nią z rozbawieniem.

- Czy masz mi jeszcze coś do powiedzenia?

Zacisnęła szczęki i wyobraziła sobie, jaką ogromną dziurę zrobi w jego głowie kula z rewolweru.

- Nie, proszę pana - powiedziała cicho.

- A zatem podstaw powóz przed frontowe drzwi za półtorej godzi-ny.

Oprowadzając Apolla wokół podwórza. Kit puściła wiązanek so-czystych przekleństw. Zamordowanie tego Jankesa będzie największą

przyjemnością w jej osiemnastoletnim życiu. Co go to obchodzi, czy ona się kąpie, czy nie? Wystrzegająca się kąpeli - przecież wiadomo, że od nich dostaje się grypy. Poza tym, trzeba się rozebrać, a ona nie cierpiała oglądać swojego ciała, od kiedy urosły jej piersi - nie pasowały do tego, kim chciała być.

Mężczyzną.

Dziewczyny były słabe i miękkie, ale ona tak długo walczyła z tymi cechami u siebie, aż stała się silna i twarda jak mężczyzna. I jeśli tylko będzie o tym pamiętać, to wszystko się ułoży.

Kiedy, czekając na Caina, stała między dwoma siwymi końmi przy powozie, nie opuszczała jej fatalny humor. W pokoju spryskała twarz wodą i przebrała się w drugie ubranie, które nie było wcale czystsze od poprzedniego; nie rozumiała więc, jaką to robi różnicę.

Schodząc ze schodów, Cain obrzucił uważnym spojrzeniem swego stajennego w połatanych bryczesach i spłowiejącej, niebieskiej koszuli. Dzieciak wyglądał jakby gorzej. Przyjrzał się jego twarzy ukrytej pod poszarpanym kapeluszem i pomyślał, że broda mogłaby być trochę czystsza. Pewnie nie powinien był zatrudniać tego hultaja, ale chłopcu udało się go rozśmieszyć po raz pierwszy od niepamiętnych czasów.

Niestety, to popołudnie zapowiadało się niezbyt wesoło. Żałował, że dał się Dorze namówić na przejażdżkę po Central Parku. Zaczynał podejrzewać, że chociaż oboje od początku znali reguły gry, chciała trwalszego związku i że korzystając z przejażdżki, będzie próbowała to na nim wymusić. Chyba, że mieliby towarzystwo...

- Siadaj z tyłu, chłopcze. Już czas, żebyś poznał Nowy Jork.

- Ja?

Cain uśmiechnął się, widząc jego zdziwienie.

- Nie widzisz tu nikogo innego. Ktoś musi przytrzymać konie.

I uchronić mnie przed propozycją wejścia na stałe do rodziny Dory Van Ness.

Kit przełknęła ślinę i wskoczyła na wyściełane skórą siedzenie. Woląла jak najmniej czasu spędzać w towarzystwie tego pogromcy rebeliantów, ale teraz nie miała wyjścia.

Zreźnie prowadząc powóz ulicami, Cain pokazywał jej miasto. Wkrótce przyjemność oglądania ciekawych miejsc wzięła górę nad czujnością Kit. Minęli sławną restaurację Delmonico i teatr Wallacha, w którym wystawiano *Olivera Twista* z Charlotte Cushman. Kit oglądała modne sklepy, hotele otaczające pełen zieleni Madison Square i błąszące nowością siedziby bogaczy w wysuniętej bardziej na północ części miasta.

Cain zatrzymał powóz przed okazałą rezydencją z piaskowca.

- Pilnuj koni. Zaraz wracam.

Z początku czekanie jej nie przeszkadzało. Przyglądała się mijającym ją powozom, elegancko ubranym ludziom i koniom. Ale potem pomyślała o Charlestonie zmienionym w gruzowisko i znów wezbrała w niej gorycz.

- Wymarzony dzień na przejażdżkę. I muszę ci opowiedzieć prze-komiczną historię.

Kit uniosła głowę i zobaczyła wytworną damę o lśniących blond lokach i wydętych ustach, która schodziła ze schodów wsparta na ramieniu Caina. Miała na sobie jedwabną suknię w kolorze truskawkowym, a w ręce trzymała białą, koronkową parasolkę do ochrony przed słońcem. Na czubku jej głowy tkwił malutki czepeczek. Kit od razu ją znie-nawidziła.

Cain pomógł damie wsiąść do powozu. Opinia Kit o Cainie sięgnęła dna. Jeżeli podobają mu się takie kobiety, to nie jest tak bystry, jak sądzi-ła.

Postawiła swój zdarty but na żelaznym stopniu i wskoczyła na tył powozu. Kobieta odwróciła się, zdziwiona.

- Baronie, cóż to za brudne stworzenie?

Kit podskoczyła, zaciskając pięści.

- Kogo nazywa pani brudnym stworzeniem?

- Siadaj! - warknął na nią Cain.

Spojrzała na niego ze złością, ale jego zacięta twarz nawet nie drgnę-ła. Rzuciwszy mu groźne spojrzenie, opadła na siedzenie, wpatrując się nienawistnie w tył truskawkowo-białego czepeczka.

Powóz powoli ruszył.

- Kit jest moim nowym stajennym. Wziąłem go, żeby trzymał ko-nie, jeśli będziesz miała chęć na spacer po parku.

Wstażki na czepku Dory zatrzepotały.

- Jest za gorąco na przechadzkę.

Cain wzruszył ramionami. Dora, naburmuszona, osłoniła się para-solką i pograżyła w milczeniu, ale Cain, jak zauważyła z satysfakcją Kit, nie zwracał na to uwagi.

W odróżnieniu od Dory, Kit nie była skora do dąsów. Rozkoszowała się pięknym letnim popołudniem i widokiem miejsc, które pokazywał Cain. Miała teraz wyjątkową okazję, żeby zobaczyć Nowy Jork, i chcia-ła z niej skorzystać, nawet jeżeli przewodnikiem miał być jej zaprzysię-gły wróg.

- To jest Central Park.

- Nie rozumiem, dlaczego go tak nazywają. Przecież każdy głupi widzi, że znajduje się na północnym skraju miasta.

- Mowy Jork szybko się rozrasta - odparł Cain. - Teraz wokół parku jest tylko kilka chat i jakieś farmy. Ale już niedługo miasto je wchłonie.

Kit miała właśnie wyrazić swój sceptycyzm, kiedy Dora odwróciła się i utkwiała w niej miazdzące spojrzenie. Przesłanie było jasne: Kit powinna siedzieć cicho.

Dora zwróciła się do Caina ze sztucznym uśmiechem, poklepując jego ramię dłonią w koronkowej rękawiczce:

- Baronie, muszę ci opowiedzieć przekomiczną historyjkę o Sugar Plum.

- O kim?

- O moim malutkim, miłutkim mopsie, pamiętasz?

Kit wzniosła oczy do nieba.

Siedziała wygodnie i przyglądała się grze świateł, kiedy powóz sunął przez park promenadą wysadzaną drzewami. Potem zaczęła przyglądać się czepeczkowi Dory. Jak można włożyć na siebie coś równie bezsensownego? I dlaczego nie może od niego oderwać oczu?

Minęły ich dwie kobiety siedzące w czarnym landzie. Kit dostrzegła ich gorące spojrzenia utkwione w Cainie. Tak. kobiety po prostu głupiały na jego widok. Fakt. wiedział, jak się obchodzić z końmi, Kit musiała to przyznać. Ale dla tych kobiet nie to było ważne. Interesował je bardziej jego wygląd.

Spróbowała spojrzeć na niego bez emocji. Przystojny był skurczybyk, bez dwóch zdań. Włosy miał w kolorze dojrzalego zboża, lekko falujące nad kołnierzykiem. Kiedy odwrócił się, mówiąc coś do Dory, jego profil zarysował się wyraźnie na tle nieba. Miał w sobie coś pogańskiego, jak wiking na rycinie, którą kiedyś widziała: gładkie, wysokie czoło, prosty nos i mocny zarys szczęk.

- ...i wtedy Sugar Plum odepchnęła nosem malinowy cukierek i zamiast niego wzięła cytrynowy. Czyż to nie najśodsza historyjka na świecie?

Mopsy i malinowe cukierki. Ta kobieta była idiotką. Kit głośno westchnęła.

Cain odwrócił się do niej.

- Czy coś się stało?

Starła się być uprzejma.

- Po prostu nie przepadam za mopsami.

Kąciki ust Caina lekko drgnęły.

- O, a to dlaczego?

- Chce pan znać moje zdanie?

-A jakże!

Kit spojrzała na plecy Dory z odrazą.

- Mopsy są dobre dla bab.

Cain zaśmiał się cicho.

- Co za impertynent!

Cain zignorował Dorę.

- Wolisz kundle, Kit? Zauważyłem, że spędzasz dużo czasu z Merlinem.

- To Merlin spędza dużo czasu ze mną, a nie odwrotnie. Nie obchodzi mnie, co mówi Magnus. Ten pies jest bezużyteczny jak gorset w burdelu.

- Baronie!

Cain wydał z siebie dziwny, stłumiony odgłos, ale zaraz się opanował.

- Pamiętaj, że jest z nami dama!

-Tak, proszę pana - mruknęła Kit, chociaż nie rozumiała, jaki to ma związek.

- Ten chłopak nie zna swojego miejsca! - syknęła Dora. - Zwolniłabym każdego służącego, który by się tak oburzająco zachowywał!

- A zatem chyba lepiej, że pracuje dla mnie.

Nie podniósł głosu, ale reprimenda była oczywista i Dora zaczerwieniła się.

Zbliżali się do jeziora i Cain zatrzymał powóz.

- Mój stajenny nie jest zwykłym sługą- mówił dalej nieco lżejszym tonem. - Jest wielbicielem Ralpa Walda Emersona.

Kit oderwała wzrok od stadka łabędzi pływających między łódkami, żeby się przekonać, czy Cain sobie z niej żartuje. Chyba nie żartował. Odwrócił się i spojrzał jej w twarz.

- Czy Emerson to jedyny autor, którego czytujesz, Kit?

Widząc rozdrażnienie Dory, Kit się rozgadała.

-Och, czytam prawie każdą książkę, jaka wpadnie mi w ręce. Bena Franklina oczywiście, ale jego czytają wszyscy. Thoreau, Jonathana Swifta, Edgara Allana Poe, jeśli jestem w nastroju. Nie przepadam za poezją, ale poza tym pozeram wszystko.

- A może po prostu nie czytałeś dobrych poetów? Walta Whitmana, na przykład.

- Nie słyszałem o nim.

- Jest nowojorczykiem. W czasie wojny pracował jako pielęgniarz.

- Chyba nie strawiłbym jankeskiego poety.

Cain uniósł brew, rozbawiony.

-Jestem rozczarowany. Z całą pewnością taki intelektualista jak ty nie powinien dopuścić, aby uprzedzenia przeszkodziły mu docenić wielką literaturę.

Teraz kął z. niej, więc Kit się najeżyła.

- A mnie dziwi, że w ogóle pan zna nazwisko jakiegoś poety, majore, bo nie wygląda mi pan na miłośnika książek. Ale tak to jest z wyrośniętymi osobnikami: ich ciała składają się głównie z mięśni i nie ma tam zbyt dużo miejsca na rozum.

- Impertynent! - Dora spojrzała na Caina z wyrzutem.

Cain nie zwrócił na to uwagi i przyjrzał się Kit uważniej. Chłopak miał charakter, trzeba przyznać. Ma nie więcej niż trzynaście lat, tyle ile Cain, kiedy uciekł z domu. Ale Cain był już wtedy znacznie wyższy, a Kit miał trochę więcej niż metr pięćdziesiąt.

Cain zauważył delikatność rysów dziecka: twarz w kształcie serca, mały lekko zadarty nos, i oczy: ciemnofioletowe, ocienione gęstymi rzęsami. Kobieta szczyliłaby się nimi, ale u chłopca wydawały się nie na miejscu. A kiedy Kit dorośnie, będą wyglądały jeszcze dziwniej.

Stwierdził z podziwem, że Kit nie spuścił wzroku pod jego dociekliwym spojrzeniem. Odwaga chłopca musiała mieć związek z jego drobną budową; wyglądając tak krucho, na pewno musiał się często bić.

Mimo wszystko dzieciak był za młody, żeby żyć na własną rękę i Cain wiedział, że powinien oddać go do przytułku. Ale coś w Kicie przypominało mu jego samego w tym wieku: był uparty, zdecydowany i zawsze gotowy do walki. Umieścić go w sierocińcu, to jak podciąć ptakowi skrzydła. Poza tym umiał się obchodzić z końmi.

Chęć zostania z Cainem sam na sam wzięła górę nad niechęcią do wysiłku i Dora poprosiła, żeby się przeszli nad jezioro. Tam też, jak można było przewidzieć, rozegrała się scena, której Cain chciał uniknąć. Popełnił błąd. Dopuścił, żeby seks wziął górę nad rozsądkiem.

Gdy z ulgą wrócił do powozu, zobaczył, że Kit wdał się w pogawędkę z człowiekiem, który wypożyczał łódki, i dwiema mocno umalowanymi prostytutkami, które wyszły na spacer przed pracą.

Ten dzieciak miał gadane.

Po kolacji Kit rozłożyła się w swoim ulubionym miejscu przy drzwiach stajni z ręką opartą o ciepły grzbiet Merlina. Podziwiając Apollę, zastanawiała się nad tym, co powiedział Magnus.

- Major nie zatrzyma go długo.

- Dlaczego? Jest naprawdę piękny.
- Tak, ale major nie chce się przywiązywać do rzeczy, które lubi.
- Jak to?
- Rozdaje konie i książki, zanim się do nich zbytnio przywiąże. Taki już jest.

Kit nie mogła tego pojąć. Przecież dzięki ulubionym przedmiotom człowiek czuje się zakotwiczony w życiu. Ale może major nie chciał się zakotwaczyć.

Sięgnęła pod kapelusz i podrapała się po głowie. Przypomniawszy sobie truskawkowo-biały czepeczek Dory Van Ness. Składał się tylko z kilku wstążek i koronki, a jednak nie mogła przestać o nim myśleć. Próbowała sobie wyobrazić, jakby w nim wyglądała.

Czy coś z nią było nie tak? Ściągnęła swój sfatygowany kapelusz i rzuciła go na ziemię. Merlin podniósł głowę,

- Nie zwracaj na mnie uwagi, Merlin. Od tych Jankesów kręci mi się w głowie. Jakby nie miała o czym myśleć, tylko o czepeczkach.

Merlin wpatrywał się w nią wilgotnymi, brązowymi oczami. Będzie go jej brakowało, kiedy wróci do domu. Risen Glory na nią czeka. W ciągu roku postawi plantację na nogi.

Merlin doszedł do wniosku, że dziwny ludzki kryzys już minął i położył głowę na jej udzie. Kit głaskała go leniwie po łbie. Nienawidziła tego miasta. Miała dość Jankesów, ciągłego hałasu na ulicach, swojego starego kapelusza i tego, że wszyscy mówili do niej „chłopcze”.

To ironia losu, że wściekała się, kiedy brano ją za chłopca: ona, która nienawidziła wszystkiego, co kobiece. Może to nienormalne?

W zamyśleniu szarpnęła kosmyk brudnych włosów. Za każdym razem, gdy ten jankeski drań mówił do niej „chłopcze”, mdliło ją. Był taki arogancki i pewny siebie. Zauważyła, że kiedy wrócili ze spaceru, Dora miała mokre oczy. Współczuła jej. Dora może nie była najmądrzejsza, ale przecież obie cierpiały przez Caina, choć z różnych przyczyn.

Głaszcząc sierść psa, przypomniawszy sobie plan. Miał, co prawda, pewne wady, ale była z niego zadowolona. I zdecydowana. Miała tylko jedną szansę, żeby zabić tego jankeskiego diabła, i nie zamierzała jej zmarnować.

Następnego dnia rano Cain rzucił jej egzemplarz *Źdźbeł trawy* Walta Whitmana.

- Możesz to zatrzymać.

Hamilton Woodward wstał, gdy Cain wchodził przez mahoniowe drzwi do jego kancelarii. Więc to jest bohater spod Missionary Ridge, który opróżnia kieszenie najbogatszych finansistów Nowego Jorku, pomyślał. Nie ubiera się ekstrawagancko - dobrze, że ma choć tę jedną zaletę. Prażkowna kamizelka i ciemnobrazowy fular Caina wyglądały na drogie, ale bez przesady, a perłowoszary surduty był doskonale skrojony. Jednak było w nim coś gorszącego, pomijając fatalną reputację. Może sposób, w jaki wszedł do biura - jakby to on był właścicielem.

Prawnik obszedł biurko i wyciągnął rękę.

- Witam, panie Cain. Jestem Hamilton Woodward.

- Dzień dobry, panie Woodward.

Podając mu rękę, Cain też taksował Woodwarda wzrokiem. Mężczyzna korpulentny, w średnim wieku. Kompetentny. Nadęty. Prawdopodobnie marny pokerzysta.

Woodward wskazał Baronowi stojący przy biurku skórzany fotel.

- Przepraszam, że poprosiłem pana o spotkanie z tak krótkim wyprzedzeniem, lecz sprawa odwleka się już nazbyt długo. Nie z mojej winy zresztą. Dowiedziałem się o niej wczoraj. Zapewniam pana, że nikt w tej firmie nie zachowałby się niefrasobliwie w podobnie ważnej kwestii. Szczególnie, że dotyczy ona kogoś o tak wielkich zasługach. Pańska odwaga podczas...

- W liście pisał pan, że chce się ze mną widzieć w bardzo ważnej sprawie -przerwał mu Cain. Nie lubił, kiedy przywoływano jego bohaterские czyny przy byle okazji.

Woodward włożył okulary w drucianych oprawkach.

- Jest pan synem Rosemary Simpson Cain, *secundo voto* Weston?

Cain nie zarabiał przy karcianych stolikach, opowiadając o swoim życiu, ale teraz z trudem zdołał ukryć paskudne uczucia, jakie wywołało w nim to pytanie.

- Nie wiedziałem, że wyszła powtórnie za męża. Ale tak, to nazwisko mojej matki.

- To było nazwisko pana matki, chciał pan powiedzieć? - Woodward wpatrywał się w leżący przed nim dokument.

- Nie żyje? - Cain nie czuł nic.

Pulchne policzki prawnika zdrzęzały.

- Tak mi przykro. Myślałem, że pan wie. Zmarła prawie cztery miesiące temu. Proszę mi wybaczyć, że przekazałem tę wiadomość tak obcesowo.

- Proszę nie zawracać sobie głowy przeprosinami. Ostatni raz widziałem ją, gdy miałem dziesięć lat. Jej śmierć nic dla mnie nie znaczy.

Woodward zaczął przesuwając papiery na biurku, nie wiedząc, jak się zachować wobec kogoś, kto tak ozięble przyjął wiadomość o śmierci własnej matki.

- Mam tutaj... hm... list od pana W.D. Rittera z Charlestonu, adwokata, który zajmuje się majątkiem pana matki. - Odchrząknął. - Pan Ritter prosi mnie, żebym przekazał panu jej ostatnią wolę.

- Nie jestem zainteresowany.

- Cóż, to się jeszcze okaże. Dziesięć lat temu pana matka poślubiła niejakiego Garretta Westona, właściciela plantacji bawełny Risen Glory koło Charlestonu. Kiedy Weston zginął pod Shiloh, plantacja przeszła na panią Weston, która cztery miesiące temu zmarła na gripę, zapisując tę plantację panu.

Cain nie okazał zdziwienia.

- Nie widziałem matki od szesnastu lat. Dlaczego miałyby to zrobić?

- Pan Ritter dostarczył też list, który do pana napisała krótko przed śmiercią. Może on coś wyjaśni.

Woodward wyjął z teczki zapieczętowany list i podał go Cainowi nad biurkiem.

Baron włożył go do kieszeni, nawet nań nie spojrzawszy.

- Co pan wie o plantacji?

- Chyba prosperowała całkiem nieźle, ale zniszczono ją w czasie wojny. Ciężką pracą można ją odbudować. Niestety, zapis nie przewiduje żadnych pieniędzy. No i jest jeszcze córka Westonów, Katharine Louise.

Tym razem Cain nie zdołał ukryć zaskoczenia.

- Chce pan powiedzieć, że mam przyrodną siostrę?

- Nie, nie. Nie jesteście spokrewnieni. To córka Westona z pierwszego małżeństwa. Ale jest dla pana ważna.

- Nie rozumiem dlaczego.

- Jej babka zostawiła dla niej sporą sumkę, na szczęście w banku na północy kraju. Dokładnie piętnaście tysięcy dolarów w funduszu powierniczym. Otrzyma ją, gdy skończy dwadzieścia trzy lata albo kiedy wyjdzie za mąż, w zależności od tego, co nastąpi wcześniej. Został pan wyznaczony na zarządcę funduszu i jej opiekuna.

- Opiekuna! - wybuchnął Cain.

Woodward skulił się za biurkiem.

- A co matka miała zrobić? Dziewczyna dopiero skończyła osiemnaście lat, nie można jej powierzyć tak dużej sumy, zresztą prócz pana nie ma innych krewnych.

Cain przechylił się nad błyszczącym, mahoniowym blatem.

- Nie mam zamiaru zajmować się ani tą dziewczyną, ani zrujnowaną plantacją.

Woodward zmienił ton.

- Oczywiście, decyzja należy do pana, chociaż zgadzam się, że powierzenie opieki nad młodą kobietą osobie... mającej takie jak pan doświadczenia, wydaje się niezbyt stosowne. Ale to pański wybór. Kiedy pojedzie pan do Charlestonu zobaczyć plantację, może pan się rozmówić z Ritterem.

- Nie będzie żadnej decyzji - rzekł stanowczo Cain. - Nie prosiłem o ten spadek i nie chcę go. Proszę napisać temu Ritterowi, żeby znalazł innego frajera.

Cain wrócił do domu w ponurym nastroju, który jeszcze się pogorszył, gdy stajenny nie przyszedł po powóz.

- Kit, gdzie jesteś, do cholery!

Musiał zawołać dwa razy, zanim chłopak wybiegł.

- Pracujesz dla mnie i masz tu być, gdy cię potrzebuję! Żebym więcej nie musiał czekać!

- No i jeszcze witam serdecznie - mruknęła Kit.

Udając, że nie słyszy, Cain zeskoczył z powozu i pomaszerował przez, podwórze do domu. Skierował się prosto do biblioteki i nalał sobie whisky. Dopiero kiedy szklaneczka była pusta, sięgnął po list i złamał czerwoną pieczęć.

Ze środka wypadła kartka papieru pokryta drobnym, niewyraźnym pismem.

6 marca 1865

Drogi Baronie!

Wiem, że zdziwisz się, gdy dostaniesz ode mnie list po tylu latach. Może będzie to list zza grobu. Co prawda, nie mam zamiaru umierać, ale gorączka nie spada i przeczuję najgorsze. Dopóki jeszcze mam siły, chcę załatwić kilka spraw.

Nie spodziewaj się przeprosin. Życie z twoim ojcem było strasznie nudne. Nie mam też cierpliwości do dzieci, a ty byłeś wyjątkowo niesforny. Nie mogłam tego wytrzymać. Muszę jednak przyznać, że czytałam o tobie w gazetach z pewnym zainteresowaniem. Szczególnie ucieszyło mnie, że piszą o tobie „przystojny”.

Ale do rzeczy. Byłam bardzo przywiązana do drugiego męża, Garretta Westona. Było mi z nim dobrze i myśląc o nim, piszę ten list. Nie

znosiłam, co prawda, jego rozwydrzonej córki Katharine, ale wiem, że ktoś musi się nią zaopiekować do pełnoletności. Dlatego zostawiam ci Risen Glory z nadzieją, że będziesz jej opiekunem. Być może odmówisz. Plantacja była najlepsza w okolicy, ale wojna jej nie oszczędziła.

Bez względu na to, jak zdecydujesz, ja spełniłam swój obowiązek.

*Twoja matka
Rosemary Weston*

Po szesnastu latach tylko tyle.

Kit słyszała, jak zegar na kościele metodystów wybił drugą. Klęczała przy otwartym oknie i wpatrywała się w ciemny dom. Baron Cain nie dożyje świtu.

Nocne powietrze niesło zapach burzy i chociaż jej pokój był jeszcze nagrany od popołudniowego upału, Kit zadrzała. Nienawidziła burzy, szczególnie w nocy. Może gdyby w dzieciństwie miała u kogo szukać pocieszenia, pewnie ten strach by minął. A tak, zawsze kuliła się w swoim domku, samotna i przerażona, że za chwilę ziemia się rozewrze i ją pochłonie.

Cain nareszcie wrócił do domu pół godziny temu. Pani Simmons, służące i Magnus wyszli, więc był w domu sam. Gdy tylko zaśnie, droga będzie wolna.

Odległy grzmot wzmógł jej lęk. Próbowwała sobie wmówić, że burza ułatwi jej zadanie, bo zagłuszy hałas przy wchodzeniu do spiżarni przez okno, które wcześniej uchyliła. Nie uspokoilo jej to jednak. Wyobraziła sobie, jak za niecałą godzinę będzie biegła ciemnymi ulicami, a dookoła będą waliły pioruny. (A ziemia się rozewrze i ją pochłonie).

Błysnęło. Kit podskoczyła. Żeby nie myśleć o burzy, próbowała się skupić na swoim planie: wyczyściła już i naoliwiła rewolwer, chcąc dodać sobie odwagi, przeczytała ulubiony esej Emersona i schowała swoje rzeczy w powozowni, żeby móc je szybko zabrać. Kiedy już zabije Caina, pójdzie do doków przy Cortlandt Street. Tam złapie pierwszy prom do Jersey City. Potem znajdzie dworzec i pojedzie do Charlestonu. I dopiero wtedy koszmar, który zaczął się w dniu wizyty tego prawnika, nareszcie się skończy. Po śmierci Caina testament Rosemary straci ważność i Risen Glory wróci do Kit. Musi tylko znaleźć jego sypialnię, wycelować i nacisnąć spust.

Zadrzała. Nigdy nie zabiła człowieka, ale Baron Cain doskonale nadawał się na początek.

Powinien teraz spać. Już pora. Wzięła naładowany rewolwer i zeszła cicho po schodach, starając się nie obudzić Merlina. Huknął piorun. Kit przycupnęła pod drzwiami stajni. Przypomniała sobie, że przecież nie jest dzieckiem, i pognała przez podwórze w stronę domu. Przedarła się przez krzaki do okna spiżarni, wepchnęła broń za pasek i chciała je otworzyć. Nie ustąpiło. Popchnęła jeszcze raz, tym razem mocniej. Znowu nic. Okno było zamknięte.

W osłupieniu oparła się o ścianę. Jej plan może nie był doskonały, ale nie spodziewała się, że zawiedzie tak szybko. Pewnie pani Simmons przed wyjściem zamknęła okno na zasuwkę.

Spadły pierwsze krople deszczu. Kit miała ochotę uciec do pokoju i schować się pod kocem, póki burza nie przejdzie. Zebrała jednak całą odwagę i okrzyknęła dom, szukając innej drogi. Zaczęło mocniej padać – duże krople przesiąkały przez koszulę Kit. Wiatr zatrzęsł klonem, między gałęziami drzewa dostrzegła otwarte okno na piętrze.

Serce biło jej głośno, oddychała krótko i szybko. Pokonując strach, złapała najniższą gałąź i podciągnęła się w górę.

Błyskawica przeszła niebo i drzewo zadrżało. Kit przywarła do gałęzi, przerażona. Przeklinała swoje tchórzostwo. Zacisnęła szczęki i zaczęła wspinać się wyżej. W końcu dotarła do gałęzi, która sięgała najbliżej domu. Przez gęste strugi deszczu nie widziała jednak dokładnie, gdzie gałąź się kończy.

Jęknęła, gdy kolejny piorun przeciął powietrze z trzaskiem. Kit tylko siłą woli przesuwała się w kierunku okna. Gałąź uniosła się, szarpnięta wiatrem, po czym ugięła się pod ciężarem dziewczyny..

Następna błyskawica rozjaśniła niebo i wtedy Kit zobaczyła, że gałąź jest za krótka. Nie dotrze po niej do okna. Ogarnęła ją rozpacz.

Zamrugała oczami, wytarła nos rękawem i zaczęła schodzić z drzewa.

Kiedy już stała na ziemi, piorun uderzył tak blisko, że zadzwoniło jej w uszach. Dygocząc, przywarła plecami do pnia. Ubranie przykleiło jej się do ciała, a kapelusz zwiisał smętnie jak brudny naleśnik. Łzy paliły ją pod powiekami. Jak to się skończy? Czy zabiorą jej Risen Glory, bo jest za słaba, za strachliwa, za „dziewczyńska”?

Odskoczyła, gdy coś otarło się o jej nogę. Merlin patrzył na nią, przekrzywając łeb. Kit uklękła i zanurzyła twarz w brudnej sierści.

- Ty bezużyteczny psie... - Ramiona jej drżały, gdy przytuliła do siebie zwierzę. - Jestem tak samo bezwartościowa jak ty.

Merlin polizał ją w policzek. Znowu zagrzmiało. Strach dodał jej siły i Kit wstała, zdecydowana. Risen Glory należy do niej! Jeśli nie może dostać się do środka przez okno, to wejdzie drzwiami!

Na wpół ogłuszona burzą i zdesperowana, pobiegła przez ulewę na tyły budynku. Nie zwróciła uwagi na głos, który doradzał jej spróbować kiedy indziej. Tyłne drzwi nie chciały ustąpić. Zaczęła walić w nie pięściami.

Łzy wściekłości i porażki napływały jej do oczu.

- Wpuść mnie! Wpuść mnie, ty jankeski draniu!

Nikt nie otwierał.

Dobijała się dalej, klnąc i kopiąc.

Nagle błysnęło i piorun trafił w klon, na którym przed chwilą siedziała. Kit wrzasnęła i rzuciła się na drzwi... prosto w ramiona Barona Caina.

- Co, u diabła...

Przez mokrą koszulę Kit czuła ciepło jego nagiej, rozgrzanej snem piersi. Zapagnęła tak zostać, przytulona, żeby przestać się trząść.

- Kit, co się stało?

Złapał ją za ramiona. Szarpnęła się do tyłu, ale nie zauważywszy Merlina, który przybiegł za nią, rymnęła jak długa na twardą, kuchenną podłogę.

Cain przyglądał jej się ironicznie.

- Ta burza to chyba dla ciebie zbyt mocne przeżycie.

Chciała mu powiedzieć, żeby sobie poszedł do diabła, ale żeby jej tak szczękały, że nie mogła wykrztusić słowa. Poza tym upadła na bok i rewolwer boleśnie wrzynał się w jej biodro.

Cain zrobił krok nad nią, żeby zamknąć drzwi. Niestety, w tej samej chwili Merlin postanowił się otrzepać.

- Parszywy kundel. - Cain zdjął ręcznik z haczyka koło zlewu i zaczął się wycierać.

Kit zdała sobie sprawę, że kiedy wstanie, przez mokre ubranie będzie widać broń. Skorzystała więc z nieuwagi Caina i wsunęła rewolwer za koszyk z jabłkami.

- Nie wiem, które z was jest bardziej przerażone - mruknął Cain, widząc, jak Merlin ucieka w kierunku pokoju Magnusa - ale mogliście zaczekać do rana.

- Wcale się nie boję tej cholernej mżawki - odparła hardo Kit.

W tym momencie usłyszeli następny grzmot. Kit podskoczyła i zbladła.

- Jak mogłem się tak pomylić - wycedził Cain.

- To dlatego, że... - Kit przerwała i przełknęła głośno, kiedy spojrzała na Caina.

Był prawie nagi. Miał na sobie tylko ciemnobrązowe spodnie spuszczone nisko na biodra. W pośpiechu nie zdążył zapiąć dwóch górnych

guzików. Kit nieraz widziała rozebranych mężczyzn pracujących w polu lub tartaku, ale to było zupełnie coś innego.

Pierś miał szeroką i muskularną. Głęboka blizna przecinała ramię, druga przechodziła przez podbrzusze. Miał wąskie biodra i płaski brzuch przedzielony cienką linią ciemnych włosów. Jej wzrok przesunął się niżej.

- Wytrzymaj się.

Podniosła głowę. Cain, trochę zmieszany, podał jej ręcznik. Dotknęła nim twarzy pod obwisłym rondem kapelusza.

- Byłoby ci łatwiej, gdybyś go zdjął.

- Nie chcę. Lubię swój kapelusz.

Cain zniknął w korytarzu z pomrukiem rozdrażnienia. Wrócił trzymając w ręce koc.

- Zdejmuj mokre ubranie. Możesz się tym okryć.

Kit popatrzyła na koc, potem na niego.

- Nie zdejmę.

Cain zmarszczył brwi.

- Jesteś zmarznięty.

- Nie jestem!

- Szczękasz zębami.

- Nieprawda!

- Do diabła, jest trzecia rano, przegrałem w pokera dwieście dolarów i padam z nóg. Więc zrzucaj te cholerne łachy i chodźmy nareszcie spać. Możesz przenocować u Magnusa. I żebym cię nie słyszał aż do południa.

- Już powiedziałem, że się nie rozbiore.

Cain nie przywykł, by ktoś mu się sprzeciwiał. Jego zaciśnięte szczęki ostrzegły Kit, że powinna go zabić teraz. Kiedy zrobił krok do przodu, Kit rzuciła się w stronę koszyka z jabłkami. Ale Cain chwycił ją mocno za ramię.

- O, nie!

- Puść mnie, sukinsynu!

Próbowała go uderzyć, ale trzymał ją na wyciągnięcie ręki.

- Kazałem ci zdjąć te mokre szmaty i zrobisz to!

- Obyś zgnił w piekle, Jankesie!

Znowu się zamachnęła, ale jej cios trafił powietrze.

- Przestań, bo zrobisz sobie krzywdę. - Cain potrząsnął nią.

- Pieprz się!

Huknął piorun. Cain chwycił ją mocno i usiadłszy na krześle przełożył przez kolano. Kapelusz Kit spadł na ziemię.

- Wyświadczę ci przysługę.
Otwartą dłonią wymierzył jej siarczystego klapsa.
- Au!
- Nauczę cię kilku rzeczy, o których zapomniał twój ojciec.
Ręka Caina znowu spadła na jej pośladek. Kit krzyknęła, ale bardziej z upokorzenia niż z bólu.
- Puść mnie, ty jankeski bękarcie!
- Nigdy nie ubliżaj komuś, kto jest większy od ciebie. - Dał jej jeszcze jednego klapsa. - I silniejszy od ciebie...
Siedzenie zaczęło ją piec.
- A przede wszystkim...
Następne dwa uderzenia solidnie ją zabolowały.
- ...nie ubliżaj mi!
Zepchnął ją z kolan.
- Czy teraz się rozumiemy?
Kit upadła na podłogę. Wściekłość i ból ogłuszyły ją tak, że nie zauważyła, jak Cain wyciąga rękę w jej stronę.
- A teraz zdejmiesz te rzeczy.
Chwycił ją za koszulę. Kit zerwała się z wrzaskiem. Stary, wysłużony materiał nie wytrzymał i Kit usłyszała, jak guziki rozsypują się po drewnianej podłodze. Poczowała chłód. Spuściła oczy i zobaczyła swoje drobne piersi wystawione na jego spojrzenie.
- Do diabła... - wyjąkał Cain.
Przeżalenie i upokorzenie odjęło Kit mowę.
Cain puścił ją powoli i cofnął się. Kit chwyciła poły rozdartej koszuli, próbując się osłonić.
Zimne stalowe oczy przyglądały się jej uważnie.
- Więc mój chłopiec stajenny wcale nie jest chłopcem.
Kit ścisnęła kurczowo koszulę i zuchwałością próbowała pokryć wstyd.
- A co za różnica? Musiałam znaleźć pracę.
- I dostałaś. Przebrana za chłopca.
- To pan zwracał się do mnie „chłopcze”. Ja nigdy tak o sobie nie mówiłam.
- Ale też mnie nie poprawiałaś.
Podniósł koc i rzucił jej.
- Wysusz się, a ja sobie naleję drinka.
Podszedł do drzwi prowadzących w głąb domu.
- Kiedy wrócę, wszystko mi wyjaśnisz. I nawet nie próbuj uciec, bo to będzie największy błąd w twoim życiu.

Kiedy odszedł, Kit rzuciła koc i wyjęła rewolwer zza koszyka. Usiadła za stołem i położyła broń na kolanach. Dopiero teraz zawiązała poły koszuli w niezdatny węzeł.

Cain wkroczył do kuchni, gdy Kit oglądała niezbyt zadowalający efekt tego zabiegu. Podkoszulek też był rozdarty i gołe ciało było widać aż do pępka.

Napił się whisky i gapił się na dziewczynę. Siedziała przy stole z rękami na kolanach, a pod miękkim materiałem koszuli wyraźnie rysowały się drobne piersi. Jak mógł choć przez chwilę pomylić ją z chłopcem? Zdradzała ją przecież delikatna budowa i te gęste rzęsy.

To brud go zmylił. Brud i przekleństwa, nie mówiąc już o jej charakterku. Co za dzikuska!

Zastanawiał się, ile może mieć lat. Czternaście albo coś koło tego. Cain wiedział dużo o kobietach, ale bardzo mało o dziewczynkach. Kiedy rosną im piersi? Jedno było pewne - jest za młoda, żeby zostać bez opieki.

Odstawił szklanekę.

- Gdzie twoi rodzice?
- Mówiłam panu, nie żyją.
- Nie masz żadnych krewnych?
- Nie.

Zirytował go jej spokój.

- Dziecko w twoim wieku nie może wałęsać się po Nowym Jorku. To niebezpieczne.

- Jedyne kłopoty, jakie tu miałam, to z pana powodu.

Miała rację, ale Cain udał, że nie słyszy.

- Jutro zabieram cię do ludzi, którzy się tobą zajmą, aż dorośniesz. Znajdą ci dom.

- Myśli pan o przytułku, majorze?

Kit wyglądała na ubawioną.

- Tak, o przytułku! Na pewno tu nie zostaniesz... Do diabła! Ktoś musi się tobą opiekować.

- Do dziś nie miałam żadnych problemów. A poza tym, nie jestem dzieckiem. Sierocińce nie przyjmują chyba osiemnastolatków?

-- Osiemnastolatków?

Po raz kolejny go zdumiała. Spojrzała na jej podarte chłopięce ubranie, brudną twarz i szyję, krótkie, czarne, sztywne od brudu włosy. W jego mniemaniu osiemnastoletnie panny były już prawie kobietami - nosiły suknie i brały kąpiele. Ale Kit w niczym nie przypominała przeciętnej osiemnastolatki.

- Przykro mi, że zniweczyłam taki misterny plan, majorze.

Uśmiechnęła się beczelnie i Cain z przyjemnością pomyślał o wcześniejszym laniu.

- Słuchaj, Kit... a może to też nieprawdziwe imię?

- Nie, naprawdę mam na imię Kit. A przynajmniej wszyscy tak mówią.

Jej dobry humor zniknął i Cain poczuł ściskanie w żołądku - takie samo, jak zawsze przed bitwą. Dziwne.

- Tylko, że nie nazywam się Finney, lecz Weston. Katharine Louise Weston.

To była jej ostatnia niespodzianka. Nim zdążył zareagować, Kit zerwała się z krzesła i wycelowała w niego lufę rewolweru.

- Jasna cholera... - wymamrotała.

Nie odrywając od niego oczu, obeszała stół. Rewolwer wycelowany w jego serce leżał pewnie w jej ręce i Kit uspokoiła się.

- Nie wygląda, żebyś się zbytnio przejmowała, kiedy sam klniesz - powiedziała.

Cain zrobił krok w jej stronę i natychmiast tego pożałował. Kula przeleciała ze świstem kilka milimetrów od jego skroni.

Kit nigdy dotąd nie strzelała w zamkniętym pomieszczeniu, od huku dzwoniło jej w uszach. Poczowała, że trzęsą jej się kolana, więc mocniej ścisnęła broń.

- Nie ruszaj się, dopóki ci nie pozwolę, Jankesie. - Splunęła ostro, by dodać sobie odwagi. - Następnym razem trafię w ucho.

- Może lepiej powiedz, o co chodzi.

- Przecież to jasne.

- Mimo wszystko, bądź tak miła.

Rozjuszyła ją kpina w jego głosie.

- O Risen Glory, ty bezduszny bydlaku! Jest moja!

- Prawo mówi co innego.

- Nie obchodzi mnie prawo! Nie obchodzą mnie testamenty, sądy i te wszystkie bzdury. Risen Glory należy do mnie i żaden Jankes mi jej nie odbierze!

- Gdyby twój ojciec chciał, żeby była twoja, to nie zapisałyby jej Rosemary.

- Ta kobieta zrobiła z niego głuchego i ślepego durnia.

- Naprawdę?

Obrzuciła ją chłodnym spojrzeniem. Nienawidziła go, chciała mu zadać tak mocny ból, jaki sama czuła.

- Chociaż właściwie powinnam być jej wdzięczna - rzekła z ironią.

- Gdyby nie to, że Rosemary żadnemu mężczyźnie nie skapiła swoich wdzięków. Jankesi spaliliby i pola, i dom.

Twarz Caina była nieruchoma jak maska.

- Była dziwką.
- Czysta prawda. Jankesie. I nie pozwolę, żeby mnie wykołowała nawet z za grobu.
- I teraz pewnie mnie zabijesz - stwierdził ze znudzoną miną Cain Kit zaczęły się pocić dłonie.
- Gdy cię usunę, Risen Glory będzie moja, tak jak powinno być od początku.
- Rozumiem. - Pokiwał głową. - Dobrze, jestem gotów. Jak chcesz to zrobić?
- Co?
- Zabić mnie. Czy mam się odwrócić, żebyś nie musiała patrzeć mi w oczy, jak będziesz naciskać spust?
- Chyba tylko ostatni matoł może powiedzieć coś takiego. Myślisz, że miałabym szacunek do samej siebie, gdybym strzelała komuś w plecy?
- Przepraszam, to tylko sugestia.
- Bardzo głupia.

Po plecach spłynęła jej strużka potu.

- Chciałem ci tylko ułatwić...
- O mnie się nie martw, Jankesie. Pomódl się raczej za spokój swojej duszy.
- W porządku. Strzelaj.

Kit przełknęła.

- Właśnie mam zamiar.

Podniosła broń i wymierzyła. Rewolwer ciążył jak kamień.

- Zabiłaś już kiedyś kogoś, Kit?
- Cicho!

Drżenie kolan udzieliło się rękom, a Cain był rozluźniony, jakby właśnie wstał z popołudniowej drzemki.

- Strzel mi dokładnie między oczy - rzekł łagodnie.
- Zamknij się!
- Tak będzie szybko i pewnie. Tył mojej głowy się rozprysnie, ale poradzisz sobie z bałaganem, prawda?

Poczuła mdłości.

- Zamknij się natychmiast!
- No dalej, Kit! Skończ z tym.
- Zamknij się!

Pistolet wypalił. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć razy. Szczęknął pusty magazynek.

Cain rzucił się na ziemię już przy pierwszym strzale. Kiedy zapadła cisza, spojrzął w górę: na ścianie za nim pięć dziur tworzyło zarys ludzkiej głowy.

Kit stała z opuszczonymi ramionami. Bezużyteczny rewolwer zwiślał jej w ręce.

Cain podszedł do ściany, w której utkwily kule przeznaczone dla niego. Kiedy podziwiał perfekcyjny łuk, powoli pokręcił głową:

- Muszę powiedzieć, że nieźle strzelasz, mała.

Dla Kit świat się skończył. Straciła Risen Glory, i to z własnej winy.

- Jestem tchórzem - wyszeptwała. - Przeklętym, zbabiałym tchórzem.

3

Tej nocy Cain kazał Kit położyć się w małej sypialni na piętrze zamiast w pokoiku nad stajnią. Jego polecenia były jasne: dopóki nie zdecyduje, co z nią zrobić, Kit nie może zajmować się końmi. A jeśli będzie chciała uciec, może zapomnieć o Risen Glory.

Następnego ranka Kit zakradła się do stajni i przycupnęła w kątku z książką *Rozwiążte życie Ludwika XV*, którą zwędziła z biblioteki kilka dni wcześniej. Po chwili przysnęła. Śniła jej się burza, czepeczki i król Francji baraszkujący na polach Risen Glory ze swoją metresą, madame de Pompadour.

Zbudziła się obolała i oszołomiona. Usiadła przed boksem Apolla z łokciami wspartymi na kolanach. Układając swój plan, nie przewidziała, że będzie musiała strzelać do nieuzbrojonego mężczyzny, patrząc mu w twarz.

Drzwi stajni uchyliły się, wpuszczając do środka smugę światła. Merlin w podskokach rzucił się na Kit, prawie strącając jej kapelusz. Za nim bez pośpiechu wszedł Magnus.

Kit nie podniosła oczu.

- Nie mam w tej chwili ochoty na rozmowę.

- Nic dziwnego. Major opowiedział mi, co się wczoraj działo. Nieźle nas nabrałaś, panno Kit.

Tak zwracano się do niej w domu, ale w ustach Magnusa brzmiało to jak obelga.

- To sprawa między mną a majorem. Nie twój interes.

- Nie lubię, gdy ludzie chcą uchodzić za kogoś innego, niż są naprawdę. I, szczerze mówiąc, w ogóle mnie już nie obchodzisz.

Chwycił puste wiadro i wyszedł ze stajni.

Kit rzuciła książkę, chwyciła zgrzebło i weszła do boksu gniadej Saratogi. Nieważne, co powiedział Cain. Jeżeli się czymś nie zajmie, to oszaleje.

Właśnie zaczęła czyścić zad Saratogi, kiedy w otwartych drzwiach pojawił się Cain. Patrzył na nią stalowym wzrokiem.

- Moje polecenia były wyraźne, Kit. Żadnej pracy w stajni.

- Bóg dał mi parę zdrowych rąk. Nie umiem siedzieć beczynnienie.

- Praca przy koniach nie jest odpowiednim zajęciem dla młodej damy.

Spojrzała na niego uważnie, próbując ocenić, czy stroi sobie żarty, lecz jego twarz była nieprzenikniona.

- Jeżeli jest coś do zrobienia, to trzeba to zrobić. Nie uznaję lenistwa.

- Trzymaj się z dala od stajni - uciął krótko Cain.

Kit chciała zaprotestować, ale Baron był szybszy.

- Bez dyskusji. Masz przyjść po obiedzie do biblioteki, umyta. Muszę z tobą porozmawiać.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł ze stajni sprężystym krokiem, wyjątkowo eleganckim jak na mężczyznę tego wzrostu.

Kit pierwsza zjawiła się w bibliotece. Wykonując ściśle polecenia Caina, umyła środek twarzy, ale na więcej nie umiała się zdobyć - chciała się czuć silna, a nie jak dziewczyna.

Wszedł Cain. Miał na sobie domowy strój: jasnobrązowe spodnie i białą koszulę rozpiętą pod szyją. Rzucił na nią krótkie spojrzenie.

- Kazałem ci się umyć - powiedział.

- Przecież umyłam twarz.

- To za mało. Nie przeszkadza ci, że jesteś taka brudna?

- Nie przepadam za kąpielą.

- Coś mi się zdaje, że nie przepadasz za wieloma rzeczami. Ale jeszcze dziś się wykąpiesz. Pani Simmons grozi, że odejdzie, a nie mam zamiaru jej stracić. Zatrujesz powietrze w domu.

- Nieprawda!

- Prawda, prawda. Ja jestem teraz twoim prawnym opiekunem, choć chwilowo, i będziesz mnie słuchać.

Kit zmartwiała.

- Jak to „prawnym opiekunem?” O czym pan mówi?
- Myślałem, że wszystko wiesz.
- Proszę mi powiedzieć!

Wydawało jej się, że w oczach Caina błysnął cień współczucia; zniknął jednak, kiedy mówił, na czym polega kuratela i że zarządza również jej funduszem powierniczym.

Kit słabo pamiętała babkę, która odłożyła dla niej pieniądze. Fundusz był solą w oku Rosemary, która zmuszała Garretta do konsultacji z kolejnymi prawnikami, chcąc przejąć te pieniądze. Na szczęście bez powodzenia. Kit przypuszczała, że powinna być wdzięczna babce, chociaż pieniądze były bezużyteczne - potrzebowała ich teraz, a nie za pięć lat albo kiedy wyjdzie za męża, co się, oczywiście, nigdy nie zdarzy.

- Ta opieka to pośmiertny żart Rosemary - podsumował Cain.
- Ten przekłety prawnik nic nie mówił o żadnym „opiekunie”. Nie wierzę w to.

- A dałaś mu dojść do słowa?

Kit z przerażeniem przypomniawszy sobie, że kiedy poznała testament Rosemary, wyrzuciła prawnika za drzwi, chociaż protestował i mówił, że jest jeszcze coś, o czym powinna wiedzieć.

- Powiedział pan: „chwilowo?”
- Chyba nie sądzisz, że wezmę sobie ciebie na kark na pięć lat? - Bohater spod Missionary Ridge aż się wzdrygnął. - Jutro rano jadę do Karoliny Południowej, aby doprowadzić ten bałagan do porządku. Pani Simmons zajmie się tobą do mojego powrotu, czyli przez jakieś trzy albo cztery tygodnie.

Kit splotła ręce z tyłu, żeby nie było widać, jak drżą.

- Jak zamierza pan załatwić tę sprawę?
- Znajdę ci innego opiekuna, ot co.

Kit wbijając sobie paznokcie w dłonie, spytała z trudem:

- A co się stanie z... Risen Glory?

Cain oglądał czubki swoich butów.

- Sprzedam ją.

Z gardła Kit wydobył się jęk.

- Nie!

Cain podniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

- Przykro mi, Kit. Tak będzie lepiej.

Kit wyczuła chłód w jego głosie. Resztki jej kruchego świata rozprysły się. Nawet nie zauważyła, kiedy Cain wyszedł.

Zamiast przygotowywać się do gry o wysoką stawkę w Astor House, Cain stał beczynnie przy oknie sypialni. Nawet zaproszenie na późną kolację od sławnej śpiewaczki operowej nie poprawiło mu humoru. Myślał o dzikusce o fiołkowych oczach, która wyglądała, jakby dostała cios w serce, kiedy oznajmił jej, że sprzeda Risen Glory.

Jego rozmyślania przerwał brzęk tłuczonego szkła i krzyk gospodyni. Zaklął pod nosem i wypadł na korytarz.

Pokój kąpielowy znajdował się w opłakanym stanie. Wokół miedzianej wanny leżały odłamki szkła, a cała podłoga zasłana była częściami garderoby. Talk z przewróconego pudełka rozsypał się na marmurowej umywalce i pokrył cienką warstwą orzechową boazerię. Tylko woda przygotowana do kąpieli pozostawała niezmacona, migocząc w świetle gazowych lamp.

Okręcona ręcznikiem Kit groziła pani Simmons lusterkiem. Trzymając je jak szablę, popychała nieszczęsną kobietę ku drzwiom.

- Nikt mnie nie będzie kąpał! Wynos się stąd!

- Co się tu dzieje, do licha?

Pani Simmons złapała Caina za ramię.

- Ta złośnica chce mnie zamordować! Rzuciła we mnie butelką! O mało nie trafiła mnie w głowę! - Wachlując się ręką, jęknęła: - Zaraz dostanę migreny!

- Idź odpocznij, Edith. Ja się nią zajmę. - Cain skierował na Kit twarde spojrzenie.

Gospodyni była całkiem wytrącona z równowagi, tak że nie zaprotestowała, zostawiając go z półnągą dziewczyną, i podreptała w głąb korytarza, mrużąc pod nosem o migrenie i wariatkach.

Cain widział, że Kit się boi. Przeszło mu przez myśl, żeby się wycofać, ale wiedział, że ostatecznie nie wyjdzie to Kit na dobre. Świat był zbyt niebezpieczny dla naiwnych dziewczątek, które wyobrażały sobie, że są tak silne jak mężczyźni. Kit musi się nauczyć zginać kark albo zginie, a w tej chwili nikt oprócz niego nie mógł jej tego uświadomić.

Powoli rozpiął mankiety koszuli i zaczął podwijać rękawy, spod których wyłaniały się muskularne, opalone ręce. Kit cofnęła się o krok, nie mogąc oderwać od nich wzroku.

- Co pan chce zrobić?

- Kazałem ci się wykapać.

Kit wyszło w ustach. Było jej trudno mierzyć się z Cainem, kiedy była kompletnie ubrana, a teraz, omotana tylko w ręcznik, czuła się wyjątkowo bezbronna. Gdyby miała rewolwer, nie wahałaby się.

Oblizwała wargi.

- Lepiej niech się pan nie zbliża.
- Cain spojrział na nią przenikliwie
- Kazałem ci się wykapać i zrobisz to.
- Kit uniosła szylkretowe lustro.
- Ani kroku dalej! Mówię poważnie. Kiedy rzuciłam w panią Simmons, nie celowałam. Teraz będę!
- Czas, żebyś wreszcie dorosła - powiedział cicho Cain.
- Serce Kit biło jak oszalałe.
- Ostrzegam, Jankesie. Stój tam, gdzie stoisz!
- Masz osiemnaście lat, zachowuj się jak dorosła kobieta. Mnie możesz grozić, ale nastraszyłaś panią Simmons, która nic złego ci nie zrobiła.
- Zabrała mi podstępem ubranie, a potem zaciągnęła mnie tutaj.
- Zastanawiała się, jak pani Simmons się to udało. Kit musiała sparaliżować wiadomość o sprzedaży Risen Glory. Otrzeźwiała dopiero, gdy gospodyni zaczęła z niej ściągać ubranie.
- Cain odezwał się znowu spokojnym tonem, którego Kit obawiała się bardziej niż krzyku:
- Zapomniałaś o dobrych manierach, a skoro tak, to ja wsadzę cię do tej wanny.
- Kit rzuciła lustro w ścianę, żeby odwrócić jego uwagę, i już chciała się wymknąć, ale Cain złapał ją, nim przebiegła kilka kroków.
- Nie zamierzasz się niczego nauczyć, prawda?
- Puść mnie!
- Szkoło trzeszczało mu pod podszewkami, kiedy wziął ją na rękę i wrzucił do wody razem z ręcznikiem.
- Ty wstrętny, parszywy... - Kit nie zdążyła wyrzucić z siebie nic więcej, bo Cain wpełznął jej głowę pod wodę. Usiadła, prychając.
- Ty obleśny... -Znowu znalazła się pod wodą. -Ty... -Cain jeszcze raz ją zanurzył.
- Kit nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. Cain nie chciał jej utopić, trzymał ją za krótko pod wodą, ale nie o to chodziło. Poniżył ją. I jeśli nie przestanie mu ubliżać, zrobi to znowu. Patrzyła na niego z wściekłością, ale nie powiedziała nic.
- Już wystarczy? - spytał słodko.
- Kit przetarła oczy i odparła z godnością:
- Zachowujesz się infantylnie.
- Jego uśmiech zniknął, gdy zerknął do wody. Kit spostrzegła, że jej ręcznik odpłynął. Podciągnęła kolana pod brodę.
- Proszę stąd wyjść!

Woda przelała się nad krawędzią, kiedy próbowała podnieść ręcznik z dna. Cain zrobił szybki krok w kierunku drzwi i stanął.

Kit uniosła się na kolanach, zmagając się z przemoczoną ręcznikiem. Cain odchrząknął:

- Dasz sobie radę?

Kit wydawało się, że zauważyła lekki rumieniec na surowej twarzy. Kiwnęła głową.

- Przyniosę ci swoją koszulę. Ale jeśli znajdę na tobie choćby odrobinę brudu, zaczniemy wszystko od początku.

Wyszedł, nie zamykając drzwi. Kit zgrzytnęła zębami i wyobraziła, sobie, jak sępy wydziobują mu oczy.

Wyszorowała się dwa razy i zmyła brud, który do tej pory tkwił spokojnie w różnych zakamarkach ciała; potem umyła włosy. Zadowolona z rezultatu wstała, żeby sięgnąć po suchy ręcznik.

Wanna otoczona była potłuczonym szkłem jak średniowieczny zamek fosą. Oto czym kończyły się kąpiele. Kit zakłęta i owinęła się mokrym ręcznikiem.

- Jankesie! - krzyknęła w kierunku otwartych drzwi. - Chodź tu i rzuć mi suchy ręcznik! Ale oczy masz mieć zamknięte, bo przysięgam, że zabiję cię podczas snu, wypatroszę i zjem twoją wątrobę na śniadanie!

Cain stanął w drzwiach z szeroko otwartymi oczami.

- Miło słyszeć, że woda i mydło nie zmieniły twoich przemitych skłonności. Już się martwiłem.

- Martw się lepiej o swoje wnętrze.

Cain zdjął ręcznik z półki, ale zamiast go podać, gapił się w rozbite szkło. Dobrze, że nie straciła nic ze swojej wojowniczości. Z długimi, kościstymi rękami i nogami była chuda jak młody żreback. Nawet ciemny puszek, który Cain zauważył, kiedy opadł jej ręcznik, był taki dziecinny.

W końcu podał jej ręcznik i odwrócił się tyłem. Przypomniał sobie jej piersi o koralowych sutkach; nie były już tak niewinne. Ten obraz wytrącił go z równowagi i Cain zapytał bardziej szorstko, niż zamierzał:

- Wytarłaś się?

- Na tyle. ile mogłam. Przecież ciągle pan tu sterczy.

- Owiń się ręcznikiem. Odwracam się.

- Szkoda. Miło było nie patrzeć na pana gębę.

Cain podszedł powoli do wanny.

- Powinienem ci kazać chodzić boso po tym szkle.

- Na pewno nie byłoby to gorsze niż pańskie towarzystwo.

Wyjął ją z wanny, przeniósł do korytarza i postawił twardo na podłodze.

- Zostawiłem ci koszulę w sypialni. Jutro pojedziecie z panią Simmons kupić przyzwoite ubranie.

Kit spojrzała na niego podejrzliwie.

- Co znaczy: przyzwoite?

Cain wiedział, co teraz może nastąpić.

- Sukienki, Kit.

- Zwariował pan?

Była święcie oburzona i Cain omal się nie uśmiechnął. Czas ją wziąć w karby.

- Kiedy wyjadę, masz robić, co powie pani Simmons. Jeśli będziesz sprawiać kłopoty, Magnus zamknie cię w pokoju i wyrzuci klucz. Nie żartuję, Kit. Masz się dobrze zachowywać. Przekażę cię nowemu opiekunowi czystą i odpowiednio ubraną.

Na twarzy Kit uraza mieszała się z wściekłością, ustępując w końcu rozpaczy. Z jej mokrych włosów kapała woda, krople jak łzy spadały na chude ramiona.

- Naprawdę pan to zrobi? - spytała nienaturalnie cicho.

- Oczywiście, znajdę innego opiekuna. Powinnaś się z tego cieszyć. Ścisnęła ręcznik, aż zbiały jej kostki.

- Nie o to mi chodzi. Naprawdę sprzeda pan Risen Glory?

Cain postanowił nie dać się zwieść cierpieniu w jej głosie. Nie chciał brać sobie na głowę zrujnowanej plantacji, ale ona tego nie pojmie.

- Nie zatrzymam tych pieniędzy sobie, Kit. Wpłacę je na twój fundusz.

- Pieniądze mnie nie obchodzą! Nie wolno panu sprzedać Risen Glory!

- Ale muszę. Może kiedyś mnie zrozumiesz.

Oczy dziewczyny pociemniały.

- Popełniłam śmiertelny błąd, że nie odstrzeliłam panu głowy.

Drobna, owinięta tylko w ręcznik Kit, prostując się z godnością, weszła do sypialni i zatrasnęła za sobą drzwi.

4

Chce pan powiedzieć, że w całym Rutheford nie ma nikogo, kto podjąłby się opieki nad panną Weston? Nawet jeżeli będę płacił za jej utrzymanie?

Cain i wielbny Rawlins Ames Cogdell mierzyli się wzrokiem.

- Proszę zrozumieć, panie Cain. Znamy Katharine Louise znacznie dłużej niż pan.

Wielebny Rawlins Cogdell miał nadzieję, że Bóg mu wybaczy satysfakcję, jaką sprawił mu widok rozczarowania na twarzy tego Jankesa. Bohater spod Missionary Ridge, też coś! Konieczność goszczenia kogoś takiego była wyjątkowo irytująca. Nie miał jednak wyboru. Dookoła pełno było ubranych w niebieskie mundury żołnierzy oddziałów okupacyjnych i nawet kapłan musiał uważać, żeby się nie narazić.

W drzwiach pojawiła się jego żona Mary, niosąc na talerzyku cztery malutkie kanapeczki z dżemem.

- Czy nie przeszkadzam?

- Ależ, nie. Wejdz, kochanie. Panie Cain, czeka pana prawdziwa uczta. Przetwory mojej żony znane są w okolicy.

Dżem pochodził z dna ostatniego słoika dżemu, jaki Mary zrobiła dwa lata temu, kiedy jeszcze był cukier, a chleb odkroiła z bochenka, który miał im starczyć do końca tygodnia. Rawlins jednak ucieszył się, że przygotowała poczęstunek. Wołał głodować, niż pokazać temu człowiekowi, jak bardzo są biedni.

- Ja nie będę jadł. Nie chcę zapełniać żołądka przed obiadem. Panie Cain, proszę wziąć dwie.

Cain nie był tak ograniczony, jak Cogdell podejrzewał. Zdawał sobie sprawę, jakim poświęceniem były te kanapki leżące na wyszczerbionym talerzu. Poczęstował się, choć wcale nie miał ochoty, i wyraził swój zachwyt. Przekleści południowcy. Sześćset tysięcy ludzi oddało życie za ich hardą dumę.

Cain uważał, że arogancja mieszkańców Południa była efektem choroego systemu - niewolnictwa. Właściciele plantacji żyli jak udzielni władcy i dzierżyli władzę absolutną nad setkami niewolników. Wierzyli, że mogą sobie pozwolić na wszystko, a przegrana wojna zmieniła ich tylko powierzchownie. Rodzina z Południa mogła nie dojadać, ale gość zawsze był podejmowany tym, co mieli najlepszego. Nawet jeśli nie był to gość mile widziany.

Wielebny Cogdell zwrócił się do żony:

- Usiądź z nami, kochanie. Może ty nam pomożesz. Pan Cain ma poważny problem. - Cogdell wyjaśnił powiązania Caina z Rosemary Weston i dodał, że Baron chce się zrzec opieki nad Kit. Mary pokręciła głową.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Było kilka rodzin, które chciały wziąć Katharine Louise, kiedy była mała. Ale teraz jest już za późno. Mój Boże, ona ma już osiemnaście lat!

- Nie jest zbyt wiekowa - zauważył oschle Cain.

- Normy zachowania na Południu są inne niż na Północy - zwróciła mu delikatnie uwagę pani Cogdell. - Nasze dziewczęta z dobrych rodzin od początku wychowywane są w tradycji łagodnej kobiecości. Katharine Louise nie tylko nie wykazuje chęci, żeby się do tradycji stosować, ona z niej szydzi. Nasza społeczność obawia się wpływu, jaki Katharine mogłaby mieć na inne dziewczęta.

Cain współczuł Kit. Na pewno nie było jej łatwo dorastać u boku macochy, która jej nie znosiła, ojca, który się nią nie interesował, i wśród ludzi, którzy ją potępiali.

- Czy naprawdę nie ma nikogo, kto miałby dla niej cieplejsze uczucia?

Drobne dłonie Mary poruszyły się nerwowo.

- Dobry Boże, panie Cain, pan mnie źle zrozumiał. Wszyscy ją bardzo lubimy. Katharine Louise jest wielkoduszna i życzliwa. Dzięki jej umiejętnościom łowieckim najbiedniejsze rodziny miały co jeść, no i zawsze potrafi nas rozbawić. Ale nie zmienia to faktu, że podjęcie się opieki nad nią jest trudne do przyjęcia nawet dla osób najbardziej liberalnych.

Cain za dużo grał w pokera, żeby nie wiedzieć, kiedy przegrywa. Willard Ritter dał mu listy polecające do czterech rodzin i wszystkie odesłały go z kwitkiem. Dokończył kanapkę z dżemem, pożegnał się i wyszedł.

Kiedy wracał do Risen Glory na pożyczonej w Charlestonie kościśtej klaczy, dotarła do niego gorzka prawda: nie pozbędzie się Kit.

Podjechał do domu na plantacji. Był to ładny, piętrowy budynek o ścianach wykończonych stiukami, stojący na końcu wijącego się, zarosniętego podjazdu. Odpadający tynk i połamane żaluzje zdradzały zaniedbanie, ale trzymał się nieźle. Otoczony był dębami, z których zwieszały się pnącza, ocieniając dach pokryty dachówką. Azalie, kolcowoje i ostrokrzewy wyrastały poza zachwaszczone rabaty, a magnolie sypały swoje błyszczące liście na wysoką trawę podwórza.

Ale to nie dom zainteresował Caina, kiedy przyjechał tu dwa dni temu. Spędził całe popołudnie, oglądając ruiny zabudowań i od czasu do czasu biorąc do ręki garść żyznej ziemi. Przesypywała się między palcami jak ciepły jedwab. Myślał o Nowym Jorku i o tym, jak się w nim dusi.

Cain skierował konia do Eliego, byłego niewolnika, który w dniu przyjazdu do Risen Glory powitał go ze strzelbą w dłoni.

- Ani kroku dalej - ostrzegł wtedy. - Panienska Kit kazała mi zastrzelić każdego, kto postawi nogę w Risen Glory.

- Panience Kit warto by przetrzepać spodnie - odparł Cain, nie chwając się jednak, że już to zrobił.

- Ma pan całkowitą rację. Ale i tak, jeśli się pan zbliży, będę musiał pana zastrzelić.

Cain mógł rozbroić staruszka bez wysiłku, ale zależało mu na jego współpracy. Cierpliwie tłumaczył, kim była dla niego Rosemary i kim on jest dla Kit. Kiedy Eli zrozumiał, że Cain nie jest nicponiem okradającym wiejskie gospodarstwa, odłożył broń i zaprosił go do środka.

Weszli do szerokiego, owalnego holu zaprojektowanego tak, by zapewniał przewiew. Odchodziły od niego: pokój muzyczny, salon i biblioteka. Wszystkie pomieszczenia były zapuszczone, pokryte warstwą kurzu. Ładny stół z drewna tekowego w jadalni nosił świeże nacięcia - żołnierze Shermana wyciągnęli go na dwór i używali przy zabijaniu pozostałych na plantacji zwierząt.

Poczuł zapach pieczonego kurczaka. Eli nie potrafił gotować, a przecież w domu nie było nikogo innego. Niewolnicy, skuszeni obietnicą kilku hektarów gruntu i jednego muła, poszli za armią Unii. Zastanawiał się, czy może wróciła Sophronia, bo Eli kilkakrotnie wspominał o kucharce z Risen Glory, a Cain jeszcze jej nie widział.

- Dobry wieczór, majorze.

Cain stanął jak wryty, kiedy drobna, dobrze znajoma postać pojawiła się w przedsiionku. Zaklął.

Kit nerwowo zacisnęła pięści. Czekwała, aż Cain trochę ochłonie.

Wydostała się z domu w Nowym Jorku tak, jak do niego weszła, czyli przez mur. Zabrała swój pakunek i *Rozwiążte życie Ludwika XV*, które w dniu wyjazdu Caina nasunęło jej ten desperacki pomysł.

Teraz stała z uśmiechem przyklejonym do twarzy.

- Mam nadzieję, majorze, że dopisuje panu apetyt. Upiekłam kurczaka i pyszne maślane ciasteczka. Wyszorowałam nawet stół w jadalni, więc możemy przy nim usiąść. Co prawda jest trochę porysowany, ale to oryginalny Sheraton. Wie pan, kim był Sheraton, majorze? Był Anglikiem, w dodatku baptystą. Czy to nie dziwne? Myślałam, że tylko ludzie z Południa są baptystami. Ja...

- Co tutaj robisz, do stu piorunów?

Przypuszczała, że będzie wściekły, ale nie sądziła, że aż tak. Nie była pewna, czy wytrzyma wybuch jego gniewu. Miała za sobą podróż pociągiem do Charlestonu, przejażdżkę rozklekotanym wozem i trzydziestokilometrowy spacer, po którym porobiły jej się bąble na stopach i schodziła poparzona słońcem skóra. Reszta pieniędzy poszła na dzisiejszy obiad. Kit nawet się wykapała i przebrała w czystą koszulę i bry-

czesy. Ze zdziwieniem odkryła, że kąpiele nie są takie złe, chociaż zmuszały ją do patrzenia na nagie piersi.

Rozciągnęła usta w jeszcze szerszym uśmiechu, chociaż żołądek podchodził jej do gardła:

- Podam panu kolację.

Cain zacisnął szczęki.

- Nie. Szykuj się na śmierć, mam zamiar cię zabić!

Nie całkiem mu uwierzyła, ale pozostała ostrożna.

- Proszę na mnie nie krzyczeć! Pan też by tak zrobił!

- Co bym zrobił?

- Nie zostałyby pan w Nowym Jorku, gdyby ktoś zabierał panu najdroższą rzecz! Nie siedziałby pan beczynnienie, czytając książki i przy mierzając jakieś okropne sukienki! Wróciłby pan jak najszybciej do Karoliny Południowej, tak jak ja. I zrobiliby pan to, co trzeba, żeby odzyskać swoją własność.

- I chyba już wiem, co wymyśliłaś!

Dwoma długimi krokami podszedł do Kit. Zanim zdążyła odskończyć, już ją obszukiwał.

- Proszę przestać!

- Dopiero jak cię rozbroję.

Kit westchnęła, kiedy dotknął jej piersi. Przeszyło ją jakieś dziwne uczucie. Cain pozostał niewzruszony. Przesunął ręce po jej talii i biodrach.

- Proszę przestać!

Znalazł nóż przyczepiony do łydki.

- Chciałaś go użyć, kiedy będę spał?

- Skoro nie miałam odwagi pana zastrzelić, to chyba nie starczyłoby mi jej, żeby użyć noża, prawda?

- Otwierasz nim puszkę, co?

- Zabrał mi pan rewolwer. Nie mogłam podróżować bez broni.

- No dobrze. - Cain odłożył nóż daleko, żeby nie mogła go dosięgnąć. - Więc jeśli nie chcesz mnie zabić, to o co chodzi?

Sytuacja rozwijała się nie po myśli Kit.

- Może najpierw coś zjemy? Kolacja wystygnie.

Cain zastanawiał się przez chwilę:

- Dobrze. Ale potem porozmawiamy poważnie.

Pobiegła do kuchni.

- Zaraz podam kurczaka!

Cain wiedział, że nie powinien ustępować, ale czuł głód. Od wyjazdu z Nowego Jorku nie jadł porządnego posiłku. Wyrzucił nóż i wkroczył do jadalni. Kit wniosła półmisek z pieczonym kurczakiem i postawiła na

stole. Dopiero teraz Cain zauważył coś, co umknęło mu wcześniej: Kit była czysta. Krótkie włosy, kraciasta koszula, ciemnobrązowe bryczesy za luzne na biodrach, wszystko wyglądało schludnie. Cain nie wyobrażał sobie, żeby Kit wykapała się dla przyjemności - dołożyła wszelkich starań, by go nie drażnić.

- Zapraszam do stołu, majorze. Mam nadzieję, że będzie smakowało.

Cain musiał przyznać, że była to prawdziwa uczta. Kurczak miał chrupiącą, przyrumienioną skórkę, a pachnące masłem herbatniki były jeszcze ciepłe.

Najadł się i usiadł wygodnie w krześle.

- To nie ty gotowałeś - powiedział.

- Oczywiście, że ja. Zwykle pomaga mi Sophronia, ale dziś jej nie ma.

- Sophronia jest kucharką?

- I zajmowała się mną, gdy byłem mała.

- Nie postarała się za bardzo.

Kit zmrużyła fiołkowe oczy.

- Miałabym też coś do powiedzenia o pańskim wychowaniu.

Posiłek nastroił go pokojowo i tym razem nie dał się sprowokować.

- Wszystko było pyszne.

Kit podała mu butelkę brandy, która stała przygotowana na kredensie.

- Rosemary ukryła ją, zanim przyszli Jankesi. Pomyślałam, że będzie pan miał ochotę na szklaneczkę, aby uczcić swój przyjazd do Risen Glory.

- Moja matka lepiej zatroszczyła się o trunek niż o pasierbicę.

Wziął butelkę i zaczął się mocować z korkiem.

- Skąd właściwie wzięła się nazwa Risen Glory?

- Wkrótce po tym, jak mój pradziadek zbudował ten dom - Kit oparła się o kredens - przyszedł wędrowny kaznodzieja, prosząc o coś do jedzenia. Był baptystą i choć moja babka była zdeklarowaną metodystką, nakarmiła go. Zaczęli rozmawiać. Kiedy kaznodzieja dowiedział się, że plantacja nie ma jeszcze nazwy, zaproponował coś związanego z nadchodzącą Wielkanocą. Od tego czasu jest Risen Glory*.

- Rozumiem. - Cain wyłowił ze szklanki kawałek korka. - A teraz powiedz mi, co tutaj robisz.

Kit zadrzała. Widziała, że Cain wypił łyk brandy, nie spuszczając z niej oczu. Zawsze musiał wszystko zauważyć.

* Ang. - „zmartwychwstała chwała”

Podeszła do otwartych drzwi wychodzących na ogród. Na zewnątrz było ciemno i cicho, a w nocnym powietrzu unosił się słodki zapach wiciokrzewu. Wiedziała, że los plantacji, ukochanych drzew, miejsc i zapachów zależy od kilku najbliższych minut. Zwróciła się do Caina:

- Przyjechałam tu z propozycją, majorze.
- Wystąpiłem z wojska. Mów mi po imieniu.
- Wolę tytułować pana majorem.
- Wolę to od innych twoich określeń.

Cain nie założył fularu do kolacji, jak czynili to dżentelmeni z Południa, a koszulę miał rozpiętą pod szyją. Przez moment Kit przyglądała się mocnym mięśniom jego karku. Zmusiła się, żeby odwrócić wzrok.

- Co to za propozycja?
- Cóż... - Kit zrobiła głęboki wdech. - Jak pan pewnie zgadł, chciałam prosić, żeby nie sprzedawał pan Risen Glory. aż będę ją mogła odkupić.

- Domyślałem się.
- To nie potrwa długo - dodała szybko. - Tylko pięć lat, aż dostanę pieniądze z funduszu.

Cain patrzył na nią uważnie. Kit przygryzła dolną wargę, teraz miała powiedzieć to najtrudniejsze.

- Z pewnością oczekuje pan czegoś w zamian.
- Oczywiście.

Rozdrażniło ją rozbawienie, które migotało w jego oczach.

- To, co mam zamiar zaproponować, jest może nietypowe, ale jeśli pan to przemyśli, zobaczy pan, że oferta jest uczciwa.

Przełknęła ślinę.

-Tak?

Kit zacisnęła powieki, wzięła głęboki wdech i wykrztusiła:

- Będę pana kochanką!

Cain zachłysnął się brandy. Kit szybko wyrzuciła z siebie:

- Wiem, że pana zaskoczyłam. Ale musi pan przyznać, że jestem lepszym towarzystwem niż te, za przeproszeniem, tanie imitacje kobiet w Nowym Jorku. Ja nie chichoczę, nie przewracam oczami i nie umiałabym flirtować, nawet gdybym chciała. Nie opowiadam o mopsach. A pan nie musiałyby chodzić na te wszystkie bale i napuszone obiady, które one lubią. Zamiast tego moglibyśmy polować, łowić ryby i jeździć konno. Świetnie byśmy się bawili!

Cain głośno się roześmiał. Kit żałowała, że nie ma teraz w ręce swojego noża.

- Czy byłby pan łaskaw powiedzieć mi, co w tym śmiesznego?

Cain w końcu się uspokoił. Odstawił szklanę i wstał.

- Kit, czy wiesz, po co mężczyźni biorą sobie kochanki?

- Jasne. Przeczytałam *Rozwiązłe życie Ludwika XV*.

Cain patrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

- Madame de Pompadour - wyjaśniła - była kochanką Ludwika XV. Stąd wpadłam na ten pomysł.

Nie dodała, że madame de Pompadour była też najpotężniejszą kobietą we Francji, która podporządkowała sobie króla i sprawowała faktyczną władzę w państwie dzięki własnemu sprytowi. Kit z pewnością pokieruje losem Risen Glory, jeśli będzie kochanką majora. Poza tym nic innego nie mogła zaoferować.

Cain zaczął coś mówić, ale przerwał, potrząsnął głową i wypił resztę brandy. Wyglądał, jakby znów ogarniała go irytacja.

- Bycie kochanką to coś więcej niż wspólne polowanie i łowienie ryb. Czy ty w ogóle masz pojęcie, o czym mówię?

Kit zarumieniła się. Nad tym aspektem dłużej się nie zastanawiała, a książka w ogóle o takich sprawach nie wspominała. Ponieważ wychowała się na plantacji, wiedziała, jak zwierzęta się rozmnażają, ale miała też wiele pytań, na które Sophronia nie chciała odpowiedzieć. Kit podejrzewała, że nie wszystko rozumie, ale miała pewność, że to było obrzydliwe. Cóż, stanowiło to część umowy. Z jakiegoś powodu parzenie się było dla mężczyzn ważne, a kobiety musiały się z tym pogodzić, chociaż nie mogła sobie wyobrazić wielebnego Cogdella wspinającego się od tyłu na panią Cogdell.

- Wiem, co pan ma na myśli. I jestem gotowa się z panem parzyć, chociaż będę tego nienawidzić!

Cain wybuchnął śmiechem; w następnej chwili jego twarz zachmurzyła się, jakby znowu myślał o sprawieniu Kit lania. Wyciągnął z kieszeni cygareto i wyszedł na zewnątrz, by zapalić.

Kit wyszła za nim. Cain stał przy starej, zardzewiałej ławce, patrząc w stronę sadu. Czekwała, aż się odezwie. Po chwili zapytała:

- Jaka jest pana odpowiedź?

- To najzabawniejsza propozycja, jaką słyszałem.

Żar cygara oświetlał jego twarz. Kit wpadła w panikę. To była jej jedyna szansa na odzyskanie Risen Glory. Musiała go przekonać.

- Dlaczego jest śmieszna?

- Bo jest!

- Ale dlaczego?

- Jestem twoim przyrodnim bratem.

- To nie jest żadne pokrewieństwo.

- Jestem też twoim opiekunem. Nie znalazłem w tym hrabstwie nikogo, kto chciałby mnie od ciebie uwolnić, ale sądząc po twoim zachowaniu, trudno się dziwić.

- Postaram się! Świetnie strzelam i potrafię doskonale przyrządzić każde mięso.

Cain zaklął pod nosem, po czym dodał:

- Mężczyzna szuka kochanki nie po to, żeby dla niego polowała. Chce, żeby wyglądała i zachowywała się jak kobieta. I pachniała jak kobieta.

- Ja dobrze pachnę! Proszę mnie powąchać! - Kit podsunęła mu dłoń pod nos, ale nie zwrócił na to uwagi.

- Mężczyźni chcą kobiet, które się uśmiechają, mówią miłe rzeczy i potrafią się kochać. To wszystko przecież ciebie nie dotyczy!

Kit odrzuciła resztkę dumy.

- Mogłabym się nauczyć.

- Och, na miłość boską!

Cain doszedł powoli do końca zwirowej ścieżki.

- Dobrze. Podjąłem decyzję.

- Błagam, nie...

- Nie sprzedam Risen Glory.

- Nie sprze... - Kit nie mogła znaleźć słów. - Majorze, to... to najcudowniejsza wiadomość w moim życiu!

- Chwileczkę! Jest jeden warunek.

Kit tknęło złe przeczucie.

- Żadnych warunków, majorze.

Cain stanął w smudze światła padającego z jadalni.

- Udasz się do Nowego Jorku i pójdziesz do szkoły.

- Do szkoły? - Kit nie wierzyła własnym uszom. - Mam osiemnaście lat, jestem za stara na szkołę! Poza tym, sama się uczyłam.

- Pójdziesz na pensję. Tam nauczysz się dobrych manier, nabierzesz ogłady.

Kit była przerażona.

- To najgłupsza, najbardziej infantylna...

W oczach Caina zaczęły się zbierać chmury. Kit zmieniła taktykę.

- Proszę mi pozwolić tu zostać. Nie będę sprawiać kłopotów, przysięgam. Nawet nie będzie pan wiedział, że tu jestem. Mogę się przydać - znam plantację lepiej niż ktokolwiek. Proszę mi pozwolić zostać.

- Będzie, jak powiedziałem.

- Nie, ja...

- Jeśli mnie nie posłuchasz, sprzedam Risen Glory i nie ma mowy, żebyś ją odkupiła.

Zrobiło jej się niedobrze, a w gardle czuła wielką, twardą kulę.

- Jak długo mam być w tej szkole?

- Aż zaczniesz się zachowywać jak dama, to zależy od ciebie.

- Może mnie pan tam trzymać w nieskończoność!

- Dobrze. Powiedzmy trzy lata.

- To o wiele za długo. Będę miała wtedy dwadzieścia jeden lat.

- Musisz się też wiele nauczyć. Wybór należy do ciebie.

Kit spojrzała na niego, urażona.

- A co potem? Czy będę mogła odkupić Risen Glory?

- Porozmawiamy o tym w odpowiednim czasie.

Mógł nie dopuszczać jej do plantacji całymi latami i odciąć od tego, co najdroższe. Kit wbiegła do jadalni. Przypomniała sobie, jak się ośmieszyla, mówiąc, że może zostać jego kochanką. Kiedy tułaczka się skończy, a Risen Glory znajdzie się w jej rękach, Cain zapłaci za wszystko.

- Co wybierasz, Kit? - dobiegł ją głos zza pleców.

Ledwie zdołała wykrztusić:

- Nie mam wielkiego wyboru, prawda, Jankesie?

- Proszę, proszę. Patrzcie państwo, co ta mała przywiozła z Nowego Jorku! - Gardłowy, uwodzicielski głos dochodził z przedsionka.

- Sophronia! - Kit podbiegła do kobiety i rzuciła się jej w ramiona.

- Gdzie byłaś?

- W Rutheford. Jason Baker zachorował.

Cain przyglądał się nieznajomej. Więc to jest Sophronia? Nie tak ją sobie wyobrażał. Sądził, że jest o wiele starsza, a miała około dwudziestu lat i była wyjątkową, egzotyczną pięknoscią. Szczupła, wysoka, o skórze w odcieniu jasnego karmelu i wydatnych kościach policzkowych. Patrzyła na Caina lekko skośnymi, piwnymi oczami.

Ich spojrzenia spotkały się nad głową Kit. Sophronia odsunęła ją i podeszła do Caina.

Poruszała się powoli i zmysłowo, a prosta, bawełniana sukienka wyglądała na niej, jakby była uszyta z najdroższego jedwabiu. Zatrzymała się na wprost Caina i wyciągnęła szczupłą dłoń.

- Witaj w Risen Glory, władco!

Przez całą drogę powrotną na Północ Sophronia zachowywała się niezdolnie. Ciągłe mówiła: „Tak, proszę pana” i „Nie, proszę pana”, słała Cainowi promienne uśmiechy i brała jego stronę w sporach z Kit.

- Bo on ma rację - broniła się, kiedy Kit miała do niej o to pretensję.

- Czas, żebyś zaczęła się zachowywać jak prawdziwa kobieta.

- A ty powinnaś sobie przypomnieć, po czyjej masz być stronie!

Sophronia i Kit były bardzo do siebie przywiązane, chociaż różniły się kolorem skóry. Co nie znaczy, że się nie kłóciły. Kiedy dotarli do Nowego Jorku, sprzeczki stały się coraz częstsze.

Magnus, od chwili kiedy zobaczył Sophronię, był jak nieprzytomny, a pani Simmons nie mogła się jej nachwalić. Po trzech dniach Kit miała tego serdecznie dość. Potem jej nastrój jeszcze się pogorszył.

- Wyglądam w tym jak kretynka!

Ciemnobrazowy kapelusz przycupnął na wystrzępionych włosach Kit jak zgnieciona sosjerka. Żakiet uszyty był z dobrego materiału, ale za szeroki w ramionach, a brzydka, brązowa sukienka z serży ciągnęła się po dywanie. Kit wyglądała w tym stroju jak własna ciotka.

Sophronia oparła ręce na biodrach:

- A jak myślałaś? Mówiłam ci, że ubrania, które kupiła pani Simmons, są za duże, ale mnie nie słuchałaś. Tak to jest, kiedy się myśli, że się wie lepiej niż inni.

- Tylko dlatego, że jesteś starsza o trzy lata i że jesteśmy w Nowym Jorku, nie musisz się zachowywać jak królowa!

Wąskie nozdrza Sophronii zadrżały:

- Uwważaj, co mówisz. Nie jestem już twoją niewolnicą, Kit Weston. Nie należę do ciebie ani do nikogo innego. Należę tylko do siebie. Zrozumiałaś?

- Jesteś niewdzięczna! Nauczyłam cię pisać i czytać, chociaż to było zabronione, ukryłam cię przed Jesse'em Overturfem, kiedy chciał, żebyś była jego kobietą. A teraz stoisz po stronie tego Jankesa!

- Nie mów mi o wdzięczności! Całe lata trzymałam cię z dala od pani Weston. Kiedy cię zamykała, to ja cię wypuszczałam. Zbierałam za ciebie baty! Nie chcę słyszeć o wdzięczności. Ciężysz mi jak kamień! Dusisz! Gdyby nie ty...

Sophronia przerwała nagle, słysząc kroki za drzwiami. Weszła pani Simmons z wiadomością, że Cain czeka na Kit przed domem. Zabierają do szkoły.

Jak na komendę, Kit i Sophronia padły sobie w ramiona. W końcu Kit odsunęła się, wzięła swój okropny kapelusz i już przy drzwiach szepnęła:

- Uwważaj na siebie.

- Sprawuj się dobrze w tej cudacznej szkole - odparła Sophronia. W oczach miała łzy. - Już niedługo się zobaczymy!

Cześć druga

Pensja pani Templeton

Dobre wychowanie to droga do sukcesu.

Ralph Waldo Emerson
Culture

5

Pensja dla młodych panien pani Templeton przy Piątej Alei wyglądała jak wielki, szary, kamienny wieloryb. Polecił ją Hamilton Woodward. Zwykle nie przyjmowano tam dziewcząt w wieku Kit, ale Elvira Templeton zgodziła się zrobić wyjątek dla bohatera spod Missionary Ridge.

Kit stała niepewnie w progu pokoju, który jej przydzielono. Patrzyła na pięć dziewcząt ubranych w jednakowe granatowe sukienki z białymi kołnierzykami i mankietami, wyglądających przez okno. Szybko się domyśliła, na co patrzą.

-Och, Elsbeth, czy to nie najprzystojniejszy mężczyzna na świecie?

Osoba, do której mówiono Elsbeth, westchnęła. Miała brązowe loczki i ładną, świeżą buzię.

- Pomyślcie tylko! Był w tym budynku, a żadnej z nas nie pozwolono zejść na dół! To takie niesprawiedliwe! -I dodała, chichocząc: - Mój ojciec mówi, że on wcale nie jest džentelmenem!

Dziewczęta zachichotały.

Piękna, jasnowłosa dziewczyna, przypominająca urodą Dorę Van Ness, stwierdziła:

- Madame Ricardi, ta śpiewaczka operowa, dostała rozstroju nerwowego, kiedy oznajmił jej, że przenosi się do Karoliny Południowej. Jest jego kochanką. Wszyscy to wiedzą.

- Ależ Lilith! - Dziewczęta udawały zgorzenie.

Lilith Shelton spozrzała na nie lekceważąco.

- Jesteście takie naiwne! Taki bywały mężczyzna jak Baron Cain ma setki kochanek.

- Pamiętajcie, co ustaliłyśmy - wtrąciła inna z dziewcząt. - Choć ona jest pod jego opieką, pochodzi z Południa i musimy ją nienawidzić.

Kit usłyszała już dość.

- Jeśli to znaczy, że nie będę musiała z wami rozmawiać, głupie suki, to się bardzo cieszę!

Dziewczęta odwróciły się, zaskoczone. Patrzyły na jej brzydką sukienkę i okropny kapelusz. Cain odpowie i za to.

- Wyoście się stąd wszystkie! I jeśli was tu jeszcze kiedyś zobaczę, to skopię wam te chude tyłki na kwaśne jabłko!

Dziewczęta wymaszerowały z pokoju z okrzykami oburzenia. Wszystkie oprócz jednej - dziewczyny o imieniu Elsbeth. Stała, drżąc z przerażenia, a oczy miała wielkie jak spodki.

- Ogłuchłaś? Kazałam wam wyjść!

- A... ale nie mogę.

- Dlaczego, u diabła?

- J... ja tu mieszkam.

- Uhm. - Kit dopiero teraz zauważyła, że w pokoju stoją dwa łóżka.

Dziewczyna miała słodką twarzyczkę, jak ktoś z natury łagodny, i Kit nie miała serca jej straszyć. Ale przecież była wrogiem.

- Będziesz musiała się wyprowadzić!

- Pani Templeton mi nie pozwoli. Już prosiłam.

Kit zakłęta, zebrała spódnice i rzuciła się na łóżko.

- Jak to się stało, że masz szczęście ze mną mieszkać?

- Mój ojciec jest adwokatem pana Caina. Jestem Elsbeth Woodward.

- Powiedziałybyśmy: „Bardzo mi miło”, ale obie wiemy, że byłoby to kłamstwo.

- Lepiej już pójdę.

- Chyba tak.

Elsbeth wybiegła w popłochu. Kit, leżąc na łóżku, zastanawiała się, jak przeżyje najbliższe trzy lata.

Na pensji pani Templeton za przewinienia karano minusami. Gdy któraś z dziewcząt zebrała ich dziesięć, przez całą sobotę nie mogła wychodzić z pokoju. Pod koniec pierwszego dnia Kit miała osiemdziesiąt trzy. Przy końcu pierwszego tygodnia straciła rachubę.

Pani Templeton wezwała Kit i zagroziła, że usunie ją z pensji, jeśli nie zastosuje się do regulaminu: ma chodzić na zajęcia, natychmiast

przebrać się w mundurek i poprawić słownictwo. Dama nie mówi „no” ani „coś ty” i używa określenia „mało interesujące” zamiast „nudne jak flaki z olejem”. I przede wszystkim nie klnie.

Kit słuchała reprimendy ze stoickim spokojem, ale czuła, że ogarniają panika. Jeśli ta stara prukwa ją wyrzuci, Kit nie dotrzyma umowy zawartej z Cainem i na zawsze straci Risen Glory.

Przysięgła sobie, że będzie się poprawnie zachowywać, ale stawało się to coraz trudniejsze - była trzy lata starsza od koleżanek, a umiała znacznie mniej od nich. Dziewczęta wyśmiewały za plecami jej krótkie włosy i chichotały radośnie, kiedy spódnica Kit zaczepiła się o krzesło. Któregoś dnia posklejały kartki jej podręcznika do francuskiego, a kiedy indziej znalazła koszulę nocną skręconą w jeden wielki węzeł. Kit nie mściła się, tylko wieczorem, leżąc w łóżku, zapisywała wszystko starannie w pamięci. Baron Cain jeszcze jej za to zapłaci.

Elsbeth zachowywała się w jej obecności jak przerażona myszka. Nie brała udziału w prześladowaniach, ale też nie miała odwagi powstrzymać dziewcząt. Jej czułe serce nie mogło jednak znieść niesprawiedliwości, szczególnie kiedy przekonała się, że Kit wcale nie jest taka straszna.

- To beznadziejne - wyznała jej kiedyś Kit po tym, gdy podczas lekcji tańca zaplątała się w spódnice i z hukiem zrzuciła z piedestału chińską wazę. - Nigdy nie nauczę się tańczyć. Mówię za głośno, nienawidzę spódnic, a jedyny instrument, na jakim gram, to grzebień. I nie mogę nie kłać, gdy patrzę na Lilith Shelton.

Duże oczy Elsbeth otworzyły się szerzej.

- Musisz być dla niej miłsza. Lilith to szkolna pupilka.
- Jest wstrętna.
- Na pewno nie chce taka być.
- Na pewno chce. Ty jesteś dobra i nie dostrzegasz zła w innych, nawet we mnie, a gorszą ode mnie chyba nie można być.
- Nie jesteś zła!

- Jestem. Ale może nie tak, jak te podłe dziewczyniska. Ty, Elsbeth, jesteś chyba jedyną przyzwoitą osobą w tej szkole.

- To nieprawda! - Elsbeth zaprotestowała gorąco. - W większości są bardzo miłe, tylko trzeba im dać szansę. Przerażasz je.

Kit poczuła się raźniej.

- Dziękuję ci, chociaż nie wiem, jak mogę kogokolwiek przerazić. We wszystkim jestem kiepska. Nie wytrzymam tu trzech lat.

- Ojciec nie mówił, że musisz tu być tak długo. Skończyłabyś dwadzieścia jeden lat, to za dużo, żeby być w szkole.

- Tak, ale nie mam wyjścia. - Kit bawiła się szarą, wełnianą narzutą. Nie miała zwyczaju się zwierzać, ale ostatnio czuła się bardzo samotna.
- Czy zdarzyło ci się kochać coś tak bardzo, że mogłabyś poświęcić dla tego czegoś wszystko?

- Och, tak. Moją młodszą siostrę Agnes. Jest trochę inna niż wszystkie dzieci. Ma dziesięć lat, a nie potrafi czytać ani pisać, ale jest taka słodka. Nikomu nie pozwoliłabym jej skrzywdzić.

- Więc wiesz, o co mi chodzi.

- Powiedz mi, Kit, co cię gnębi.

Kit opowiedziała jej o Risen Glory. Opisała pola i dom, Sophronię i Eliego, i to, jak drzewa zmieniają kolor w zależności od pory roku. Opowiedziała jej też o Baronie Cainie. Nie wszystko, bo Elsbeth zapewne nie pochwalałaby przebierania się za chłopca i próby morderstwa, nie mówiąc już o propozycji zostania jego kochanką. Ale i tak powiedziała jej dużo.

- Jeśli mnie wyrzucą ze szkoły, Cain sprzeda plantację. A jeśli uda mi się tu wytrzymać, to i tak będę musiała czekać, aż skończę dwadzieścia trzy lata, żeby dostać pieniądze z funduszu i wykupić Risen Glory. Im dłużej będę czekać, tym gorzej.

- A czy nie ma sposobu, żebyś dostała te pieniądze wcześniej?

- Tylko jeżeli wyjdę za mąż, ale to nie wchodzi w grę.

Elsbeth była córką prawnika.

- Gdybyś wyszła za mąż, mąż dysponowałby twoimi pieniędzmi. Tak stanowi prawo. Nie mogłabyś ich wydać bez jego pozwolenia.

Kit wzruszyła ramionami.

- To czysto teoretyczne rozważania. Nie ma na świecie mężczyzny, z którym chciałabym się związać. Poza tym jestem nieodpowiednio wychowana - jedyne, co umiem dobrze robić, to gotować.

Elsbeth współczuła jej, ale była praktyczna:

- Po to tu właśnie jesteśmy - żeby nauczyć się, jak być dobrą żoną. Wszyscy wiedzą, że dziewczęta z Templeton to najlepsze kandydatki na żony i dlatego co roku na bal absolwentek zjeżdżają się kawalerowie ze wszystkich wschodnich stanów.

- Mogą przyjechać nawet z Paryża. Nie pójde na żaden bal.

Ale Elsbeth, zajęta własnym pomysłem, nie słuchała jej.

- Musisz tylko znaleźć męża, który będzie chciał cię uszczęśliwić, a wszystko pójdzie gładko. Nie będziesz już podopieczną pana Caina i dostaniesz pieniądze.

- Jesteś naprawdę słodka, ale ten pomysł jest śmieszny. Jeśli wyjdę za mąż, to po prostu dam moje pieniądze innemu mężczyźnie.

- Gdybyś wybrała kogoś odpowiedniego, to tak jakbyś ty je miała. Kazałabyś mu obiecać, że kupi ci Risen Glory w prezencie ślubnym. - Splotła ręce, zapatrzona w swoją wizję. - Wyobraź sobie, jak by było romantycznie. Po miesiącu miodowym mogłabyś wrócić do domu.

Miodowy miesiąc, mąż... Elsbeth chyba śniła.

- To niemożliwe. Kto by mnie zechciał?

- Wstań!

Elsbeth wydała komendę jak pani Templeton. Kit wstała niechętnie.

Beth dotknęła palcem policzka:

- Jesteś strasznie chuda i masz okropne włosy. Ale odrosną- dodała litościwie. - Mają piękny kolor, czarne jak smoła. Oczy masz trochę za duże, ale to chyba dlatego, że jesteś taka szczupła. - Okrzyknęła Kit powoli. - Będziesz całkiem ładna i chyba nie będziemy musiały się tym przejmować.

Kit nachmurzyła się.

- Czym nie będziemy musiały się przejmować?

Elsbeth już nie dała się onieśmielić.

- Wszystkim innym. Musisz nauczyć się chodzić, rozmawiać, pamiętać, co mówić, a czego nie. Wszystkiego, czego uczą na pensji. Masz szczęście, że pan Cain przeznaczył taką dużą sumę na stroje.

- ...których nie potrzebuję. Potrzebny mi jest koń.

- Koń nie zdobędzie dla ciebie męża. a pensja - tak.

- Niby jak? Nie odniosłam tu wielkich sukcesów.

- To prawda. - Elsbeth uśmiechnęła się figlarnie. - Ale wcześniej nie miałas mnie do pomocy.

Pomysł był szalony, ale Kit zaświtała nadzieja.

Mijały tygodnie i Beth dotrzymała słowa. Podcięła włosy Kit nożyczkami do paznokci i pomagała w przedmiotach, które sprawiały jej trudności. Kit przestała strącać wazy i odkryła, że potrafi całkiem ładnie wyszywać, ale nie jakieś skrawki materiału, tylko na przykład swój mundur (dziesięć minusów). Świetnie radziła sobie z francuskim i wkrótce udzielała korepetycji tym, które ją kiedyś wyśmiewały.

Koło Wielkanocy plan Elsbeth nie wydawał się już tak nierealny i Kit zasypiała marząc, że Risen Glory jest na zawsze jej.

Słodkie marzenie...

Sophronia nie była już kucharką w Risen Glory, tylko nią zarządzała. Wepchnęła list od Kit do szuflady wykładanego mahoniem biurka, w którym trzymała dokumenty plantacji, i owinęła się szczelnie szalem.

żeby nie czuć lutowego chłodu. Kit była na pensji od siedmiu miesięcy i wyglądało, że pogodziła się z losem.

Sophonria tęskniła za nią. Kit nie dostrzegała pewnych faktów, ale zauważała te, których nie widzieli inni. I była jedyną osobą, która ją kochała. Zawsze jednak potrafiły znaleźć powód do kłótni, nawet w listach, a to był pierwszy list od miesiąca.

W pierwszym odruchu chciała odpisać natychmiast, ale zdecydowała, że odłoży to na później. Jej listy tylko złościły Kit. Zamiast cieszyć się, że pod rządami Caina plantacja kwitnie. Kit oskarżała Sophronię o współpracę z wrogiem.

Rozejrzała się po wygodnie urządzonej pokojach. Prześlizgnęła się wzrokiem po nowym, różowym obiciu kanapy i błyszczących w słońcu holenderskich kafelkach wokół kominka. Wszystko lśniło od wosku i świeżej farby.

Czasem miała do siebie pretensję, że tak bardzo się stara, że pracuje tak ciężko, jakby wciąż jeszcze była niewolnicą. Teraz jednak płacono jej, i to nieźle - dostawała najwyższą pensję w okolicy. Ale nie była zadowolona.

Podeszła do wysokiego lustra umieszczonego między oknami. Nigdy nie wyglądała lepiej. Dzięki regularnym posiłkom jej wystające kości policzkowe zaokrągliły się. Długie włosy nosiła związane w upięty wysoko węzeł, który jeszcze ją podwyższał. Lekko skośne oczy i jasnobrązowa skóra upodabniały ją do Amazoнок z książki, którą znalazła w bibliotece.

Zmarszczyła brwi, patrząc na swoją prostą sukienkę. Chciała mieć stroje szyte na miarę, chciała jedwabiu, perfum i szampana. A najbardziej chciała mieć swój dom, jeden z tych eleganckich budynków w Charlestonie. Miałaby służącą i czułaby się bezpieczna. Wymyśliła już, jak to zdobyć. Musi zrobić coś okropnego - zamiast pracować dla białego człowieka, musi zostać jego kochanką.

Za każdym razem, kiedy podawała Cainowi kolację, kołysała kusząco biodrami i muskała piersiami jego ramię. Czasem nawet zapominała o strachu przed białymi mężczyznami i dostrzegała, jaki był przystojny. Był jednak zbyt silny, zbyt potężny i nie potrafiła się czuć swobodnie w jego obecności. Mimo to zwilżała wargi i patrzyła na niego zachęcająco, próbując wszystkich swoich sztuczek.

Przed oczami stanął jej Magnus Owen. Oby szczęść! Nie znosiła sposobu, w jaki na nią spoglądał tymi swoimi ciemnymi oczyskami. Jakby jej współczuł! To śmieszne! Magnus Owen, który bezgranicznie jej pragnął, śmiał współczuć jej, Sophronii.

Dreszcz ją przeszedł na myśl o białych rękach oplatających jej smagłe ciało. Szybko odsunęła od siebie ten obraz, żeby nie czuć odrazy.

Czy Magnus naprawdę sobie wyobrażał, że pozwoli mu się dotknąć? Czy dbała o siebie i pilnie słuchała białych pań w Rutheford, by mówić tak jak one, tylko po to, żeby skończyć jako kobieta jakiegoś czarnucha? I to takiego, który znał zakamarki jej duszy? Nigdy.

Poszła do kuchni. Wkrótce będzie miała to wszystko, czego chce - jedwabne suknie i dom z mocnym zamkiem. A zdobędzie je w jedyny dostępny sposób - zaspokajając żądze białego mężczyzny. Tylko on mógł zapewnić jej bezpieczeństwo.

Wieczorem zaczął padać deszcz. Wiatr wył w kominie i trząsał okiennicami. Sophronia przystanąła przed drzwiami biblioteki. W jednej ręce trzymała srebrną tacę, na której stała butelka brandy i jedna szklanka. Drugą rozpięła górne guziki sukienki, żeby odsłonić dekolt. Nadszedł czas na następny krok. Wzięła głęboki wdech i weszła.

Cain podniósł głowę znad dokumentów.

- Chyba czytasz w moich myślach.

Wstał z krzesła i przeciągnął się. Sophronii udało się nie cofnąć, kiedy wyszedł zza biurka jak wielki, płowy lew. Pracował od świtu do zmierzchu i wyglądał na zmęczonego.

- Noc jest zimna - powiedziała, stawiając tacę na biurku. - Pomyślałam, że będzie pan chciał się rozgrzać. - Położyła rękę w wycięciu dekoltu, żeby sens jej słów był jasny.

Gdy Cain przyglądał się jej, czuła narastającą, znajomą panikę. Przypomniła sobie, że zawsze dobrze ją traktował, ale przecież miał też w sobie coś groźnego.

Jego wzrok zatrzymał się na piersiach.

- Sophronio...

Myślała o wyszukanych strojach i domu w pastelowych kolorach.

- Ciiiicho... - Podeszła do niego i położyła mu ręce na piersi. Szal zsunął się jej z ramion.

Od siedmiu miesięcy pracował bez wytchnienia. Teraz zamknął oczy i zacisnął swoje długie palce na jej ramieniu. Jego opalone ręce były ciemniejsze od skóry Sophronii.

Ujął ją pod brodę.

- Jesteś pewna?

Z wysiłkiem skinęła głową.

Cain pochylił się, ale nie dążył jej pocałować. Za ich plecami rozległ się hałas i w otwartych drzwiach stanął Magnus Owen. Jego zwykle łagodną twarz wykrzywił grymas, gdy zobaczył Sophronię w uścisku

Barona. W gardle narastał mu ryk. Wpadł do pokoju i rzucił się na człowieka, którego uważał za swego najbliższego przyjaciela.

Nagłość ataku zaskoczyła Caina. Zachwiał się, omal nie stracił równowagi. Zasłonił się przed ciosem.

Sophonria patrzyła z przerażeniem. Magnus uderzył, ale Cain uchylił się. Spróbował znowu, tym razem celnie. Cios w szczękę powalił Caina na ziemię. Wstał, ale nie podjął walki.

Magnus powoli ochłonał. Kiedy zobaczył, że Cain nie chce się bić, opuścił pięści. Cain spojrział na niego, potem na Sophronię. Podniósł wywrócone krzesło i powiedział ochrypłym głosem:

- Lepiej się prześpij, Magnusie. Czeka nas ciężki dzień. - Potem zwrócił się do Sophronii: - Możesz odejść. Nie będę cię więcej potrzebował.

Nie pozostawił jej żadnych złudzeń.

Sophonria wypadła z pokoju wściekła, że Magnus pokrzyżował jej plany. Bała się o niego - to Karolina Południowa, a on uderzył białego.

Prawie nie spała tej nocy, czekając na ludzi w białych opończach i kapturach. Nikt jednak nie przyszedł. Rankiem zobaczyła Magnusa i Caina pracujących ramię w ramię przy wycinaniu krzaków. Strach zamienił się w złość. Magnus nie miał prawa wtrącać się w jej życie.

Cain kazał jej wieczorem stawiać brandy na stoliku przed biblioteką.

6

Salę balową pensji pani Templeton wypełniały kwiaty. Przed kominami ustawiono piramidy białych tulipanów, gzymy przystrojono kryształowymi wazami pełnymi bżów. Wokół luster wisiały bukiety śnieżno-białych azalii.

Grupki szykownie ubranych gości spoglądały w stronę przybranego różami baldachimu na końcu sali. Wkrótce miały przejść pod nim tego-roczne absolwentki.

Wśród gości, oprócz rodziców debiutantek, byli przedstawiciele najznakomitszych rodzin Nowego Jorku: Schermerhornowie, Livingstoneowie, kilku Jayów i przynajmniej jeden Van Rensselaer. Żadna licząca się w towarzystwie matka nie mogła pozwolić, aby jej syn w odpowiednim wieku opuścił jakąś uroczystość związaną z zakończeniem roku w Templeton, a już na pewno nie Bal Absolwentek - najlepszą okazję na znalezienie odpowiedniej synowej.

Kawalerowie, chociaż ich szeregi przerzedziła wojna, stawili się w liczbie satysfakcjonującej matki debiutantek. Młodszy zachowywali się swobodnie w nieskazitelnych białych koszulach i czarnych frakach, choć kilku nie miało rąk lub chodzili o lasce. Starsi, którzy dorobili się na powojennej koniunkturze, manifestowali swe bogactwo diamentowymi spinkami przy mankietach koszul i ciężkimi, złotymi łańcuchami.

Dziś wieczorem także dżentelmeni z Bostonu, Filadelfii i Baltimore mieli po raz pierwszy zobaczyć najbardziej rozchwytywane debiutantki Manhattanu. Nie mogąc bywać na herbatkach i popołudniowych rautach, których ukoronowaniem był dzisiejszy bal, uważnie słuchali komentarzy kolegów z Nowego Jorku.

Piękna Lilith Shelton będzie ozdobą każdego domu, a w posagu dostanie dziesięć tysięcy dolarów.

Margaret Stockton ma krzywe zęby, ale wnosi osiem tysięcy. I ładnie śpiewa; miła cecha u kandydatki na żonę.

Elsbeth Woodward jest warta tylko pięć tysięcy, ale jest ładna i pogodna - taka żona na pewno nie przysporzy mężowi kłopotów. Zdecydowana faworytka.

Fanny Jennings się nie liczy - najmłodszy syn Vanderveltów już rozmawiał z jej ojcem. A szkoda, bo jest warta osiemnaście tysięcy.

Kiedy oceniono już wszystkie kandydatki i rozmowa zaczęła schodzić powoli na ostatni mecz bokserski, jeden z gości z Bostonu zapytał:
- Czy to prawda, że jest jeszcze jedna panna? Z Południa, starsza od pozostałych? Ma podobno dwadzieścia jeden lat?

Na chwilę zapadła cisza. Jeden z nowojorczyków odchrząknął.

- A, tak. Zapewne chodzi o pannę Weston.

Orkiestra zagrała fragment bardzo modnych ostatnio *Opowieści lasku wiedeńskiego*. Był to sygnał, że za chwilę pojawiają się debiutantki.

Dziewczęta ubrane w białe suknie balowe, stawały pod baldachimem i wdzięcznie dygały, po czym witane oklaskami schodziły po schodach posypanych płatkami róż do sali balowej, gdzie czekali już na nie ojcowie i bracia.

Elsbeth uśmiechała się tak promiennie, że najlepszy przyjaciel jej brata, który do tej pory uważał ją za nieznośną smarkulę, zaczął mieć wątpliwości. Lilith Shelton przydepnęła lekko skraj sukni, chciała więc natychmiast umrzeć, ale jako wychowanka Templeton nie dała nic po sobie poznać. Margaret Stockton, nawet z krzywymi zębami, wyglądała tak ponętnie, że zwróciła uwagę jednego z mniej zamożnych Jayów.

- Katharine Louise Weston!

Wśród dzentelmenów z Nowego Jorku dało się zauważyć poruszenie. Goście ze wschodnich stanów czuli, że zaraz wydarzy się coś wyjątkowego.

Wyszła spod baldachimu i stanęła na szczycie schodów. Już na pierwszy rzut oka było widać, że różniła się od reszty dziewcząt. To nie była łagodna kura domowa czuwająca nad ciepłem domowego ogniska - to była kobieta, która w mężczyznach burzyła krew, dzika kotka o błyszczących, kruczoczarnych włosach, upiętych wysoko srebrnymi grzebykami i spadających z tyłu głowy kaskadą czarnych loków; wyjątkowa piękność o ogromnych, fiołkowych oczach i rzęsach tak gęstych, że od ich ciężaru powinny jej opadać powieki, o ustach tak zuchwałych i wilgotnych, że mężczyźni marzyli tylko o tym, aby je całować.

Miała na sobie białą satynową suknię z draperiami podtrzymwanymi przez fiołkowe kokardy. Dekolt w kształcie serca podkreślał zarys piersi, a bufiaste rękawy wykończono szerokimi mankietami z francuskiej koronki. Suknia była piękna i kosztowna, ale Kit nosiła ją niedbale - jedna z kokard z boku rozwiązała się, a rękawy podciągnięte były za wysoko nad szczupłymi nadgarstkami.

Najstarszy syn Hamiltona Woodwarda zrobił krok do przodu i podał jej ramię. Dziewczyna stawiała odrobinę za długie kroki - nie tak długie, żeby miały źle świadczyć o Templeton, ale dały się zauważyć. Mężczyzna coś do niej szepnął. Przechyliła głowę i roześmiała się, pokazując drobne, białe zęby. Wszyscy obecni na sali mężczyźni pożałowali, że ten uśmiech nie jest przeznaczony dla żadnego z nich. Tylko ojciec Elsbeth nie patrzył na nią.

Goście ze wschodu chcieli dowiedzieć się czegoś więcej o pannie Weston, ale nowojorczyzy nie byli zbyt rozmowni. Napomykali tylko, że Elwira Templeton nie powinna była przyjmować dziewczyny z Południa tak krótko po wojnie, ale skoro to podopieczna bohatera spod Missionary Ridge...

Komentarze stały się bardziej osobiste. Łakomy kąsek, nieprawdaż? Trudno oderwać oczy. Chyba zbyt niebezpieczna na żonę: starsza, trochę dzika. Idę o zakład, że będzie sprawiać kłopoty. Jak zajmować się interesami, kiedy w domu czeka taka kobieta? Jeżeli czeka.

Podobno w ciągu ostatnich sześciu tygodni o pannę Weston pytało kilkunastu najbardziej pożądanym kandydatów. Świetne partie, mężczyźni, którzy kiedyś będą rządzić miastem, może krajem. Ale zostali odrzuceni. Nie interesowali jej.

Najbardziej drażniło, że okazywała względy zupełnie nieodpowiednim osobom. Na przykład Bertrand Mayhew - pochodził z dobrej rodziny, ale nie miał grosza przy duszy i nie był w stanie samodzielnie podejmować decyzji, odkąd zmarła jego matka. Albo Hobart Cheney - jąkała bez pieniędzy i prezencji. Wyборы panny Weston były niepojęte. Wołała Bertranda Mayhew i Hobarta Cheney'a od Rensselaersów, Livingstonów i Jayów.

Matki kawalerów na wydaniu czuły ulgę. Co prawda, bardzo lubiły pannę Weston, bo rozśmieszała je i współczuła ich dolegliwościom, ale nie o taką synową im chodziło. Ciągłe nadrywała falbanki albo gubiła rękawiczki, a włosów nie potrafiła zaczesać idealnie gładko - koło uszu lub nad czołem zawsze z fryzury wymykał się jakiś niesforny loczek. I zbyt odważnie patrzyła w oczy - nie, panna Weston nie była wymarzoną synową.

Kit wiedziała, co myślą o niej kobiety z towarzystwa, i nie miała o to pretensji. Jako wychowanka Templeton nawet je rozumiała i niczym niezrażona zabawiała swoich partnerów błyskotliwą rozmową na wzór pań z Rutheford. W tej chwili tańczyła jednak z nieszczęsnym Hobartem Cheneyem, który w ogóle ledwo mówił, a teraz zawzięcie liczył pod nosem kroki, więc Kit nie odzywała się.

Cheney potknął się, ale dzięki Kit złapani krok, zanim ktokolwiek to zauważył. Posłała Hobartowi swój najpiękniejszy uśmiech, żeby się nie zorientował, że to ona prowadzi. Biedny Cheney: nigdy się nie dowie, że prawie został wybrany na męża. Gdyby był odrobinę mniej inteligentny, miałby szansę, bo był przemiły. Tymczasem Bertrand Mayhew wydawał się być lepszym kandydatem.

Kit zobaczyła, że Mayhew stoi samotnie, czekając na pierwszy z dwóch tańców, które mu obiecała. Ogarnęła ją uczucie przygnębienia - działało się tak zawsze, kiedy na niego patrzyła, rozmawiała z nim, a nawet gdy tylko o nim myślała.

Był niewiele wyższy od niej i miał wydatny brzuch. Czterdziestolatek żyjący w cieniu matki, po jej śmierci gorączkowo szukał kobiety, która zajęłaby jej miejsce. Kit postanowiła, że ona nią będzie.

Elsbeth martwiła się, bo przecież Kit mogła mieć każdego z najlepszych kawalerów, bogatszych niż Mayhew i mniej odrażających. Ale rozumiała. Żeby odzyskać Risen Glory, Kit potrzebowała władzy w małżeństwie, a nie bogactwa. Nie chciała męża, któremu musiałaby się podporządkować.

Kit miała nadzieję, że nie będzie trudno namówić Bertranda do wykupienia Risen Glory za pieniądze z funduszu i zamieszkania tam na

stałe. Po północy, pod pozorem oglądania fotografii wodospadu Niagara, zaprowadzi go do świetlicy i zagadnie o to. Postępowanie z mężczyznami było nadzwyczajnie proste. Za miesiąc będzie w drodze do Risen Glory - niestety jako pani Mayhew.

Nie zaprzętała sobie głowy listem, który dzień wcześniej dostała od Barona Caina. Rzadko do niej pisał i najczęściej z wymówkami po przeczytaniu raportu od pani Templeton. Jego listy były suche i utrzymane w tak rozkazującym tonie, że Kit nie czytała ich w obecności Elsbeth, żeby jej nie gorszyć potokiem przekleństw, jakie wyrwały się z jej ust.

Po trzech latach spędzonych na pensji miała do Caina mnóstwo pretensji. W ostatnim liście rozkazywał jej zostać w Nowym Jorku. Nie miała zamiaru go słuchać. Już niedługo będzie niezależna i nigdy więcej nie pozwoli mu się wtrącać w swoje sprawy.

Orkiestra przestała grać. Bertrand Mayhew natychmiast pojawił się u jej boku.

- Panno Weston, zastanawiałem się... to znaczy, chciałem powiedzieć... czy pani pamięta...?

- Pan Mayhew!

Kit przechyliła głowę i spojrzała na niego spod rzęs. Ćwiczyła tę sztuczkę pod okiem Elsbeth tak długo, że stała się jej drugą naturą.

- Drogi, kochany pan Mayhew. Już się bałam, byłam przerażona, że pan o mnie zapomniał i odszedł z którąś z młodszych panien.

- Ależ nie, skądże! Och, panno Weston, jak mogła pani pomyśleć, że zrobię coś równie niewłaściwego! Naprawdę, mamusia nigdy by...

- Nie wątpię.

Kit przeprosiła Hobarta Cheneya i wzięła Bertranda pod rękę gestem może trochę zbyt poufałym.

- Och, już dobrze. Żadnych smutnych min. Tylko żartowałam.

- Żartowała pani?

Bertrand był zaskoczony, jakby Kit właśnie oznajmiła, że zamierza przejechać nago Piątą Aleją.

Słumiła westchnienie. Orkiestra zagrała szybką galopkę i Kit pozwoliła się poprowadzić do tańca. Jednocześnie próbowała otrząsnąć się z przygnębienia, ale widok ojca Elsbeth skutecznie to uniemożliwiał.

Cóż za nadęty głupiec! W czasie Wielkanocy jeden z jego współników wypił za dużo i osaczył Kit w pokoju muzycznym Woodwarda. Jeden pocałunek zaślinionymi ustami i Kit przyłożyła mu pięścią w brzuch. Cała historia na tym by się skończyła, ale właśnie wtedy ojciec Elsbeth wszedł do pokoju. Wspólnik oskarżył Kit o napaść i chociaż gwałtownie wszystkiemu zaprzeczała, Woodward uwierzył męż-

czyźnie. Od tamtej chwili próbował bez powodzenia zerwać przyjaźń jej i Elsbeth i cały wieczór rzucał jej karcące spojrzenia.

Zapomniała o Woodwardzie, gdy do pokoju weszła nowa para. Mężczyzna wydawał się znajomy. Gdy podchodzili do pani Templeton, żeby się przywitać, poznała go.

- Panie Mayhew, czy nie chciałby pan zaprowadzić mnie do pani Templeton? Rozmawia z kimś, kogo znam, a kogo wieki nie widziałam.

Zgromadzeni w sali balowej dżentelmeni zauważyli, że panna Weston nagle przestała tańczyć i podeszła do szczupłego, bladego nieznanego.

W Brandonie Parsellu, byłym oficerze kawalerii słynnego Legionu Hampton z Karoliny Południowej, było coś z artysty, chociaż jako plantator z dziada pradziada niewiele wiedział o sztuce poza tym, że lubił pewnego malarza, który malował konie. Włosy miał brązowe i proste, zaczesane na bok nad wysokim czołem. Nosił starannie przystrzyżone włosy i niemodne już bokobrody.

Jego wygląd nie budził sympatii mężczyzn. Miał twarz, która podobała się kobietom, przypominała bowiem bohaterów powieści o szlachetnych rycerzach, romantyczne sonety i malowidła na greckich urnach.

Obok niego stała Eleonora Baird, bezbarwna, niegustownie ubrana córka pracodawcy Parsella. Przedstawił ją pani Templeton z lekkim ukłonem i stosownym komplementem. Słyszając, jak swobodnie się wypowiada, nikt nie zgadłby, jaką odrazę czuł do tych wystrojonych gości, dostojnej gospodyni, a także do tej starej panny, której z obowiązku towarzyszył. Nagle delikatny, słodki zapach płynący z bukietka jaśminu przypiętego do sukni z białej satyny spowodował, że - wydawałoby się bez powodu - Parsell poczuł tęsknotę za domem, za ogrodami Charlestonu w niedzielne popołudnie i za cichymi nocami w Holly Grove, dawnej siedzibie swojej rodziny.

- Och, Katharine, moja droga!

Pani Templeton powiedziała to ostrym północnym akcentem, który ranił Brandonowi uszy.

- Jest tu ktoś, kogo powinnaś poznać. Twój krajan.

Parsell powoli odwrócił się w stronę, skąd dochodził zapach jaśminu. Młoda kobieta uśmiechnęła się.

- Znamy się z panem Parsellem, chociaż widzę po jego twarzy, że mnie nie pamięta. Wstyd, panie Parsell, nie poznał pan jednej ze swych najgorętszych wielbicielek.

Brandon nie rozpoznał twarzy, ale poznał niewyraźne samogłoski i miękkie spółgłoski języka swojej matki, ciotek i siostr - to był głos dobrze wychowanych kobiet z Południa, który podtrzymywał żołnierzy na duchu pod Bull Run i Fredericksburgiem, który słyszeli umierający pod Chickamauga i którego nie chcieli słyszeć ci, którzy poddali się nad Appomattox.

Stojąca przed nim kobieta różniła się jednak od tych, które czekały w domu. Biała satynowa suknia szeleściła nowością, a ledwo widoczne zacerowane miejsce nie zostało przemyślnie zasłonięte broszką. Suknia nie była przerabiana z szerszej, mieszczącej obręcz krynoliny, na węższą, modniejszą. Była jeszcze jedna rzecz - jej fiolkowe oczy nie skrywały cichej, niewypowiedzianej urazy.

Kiedy przemówił, jego głos dochodził jakby z daleka.

- Proszę mi wybaczyć, pani. Trudno wprost uwierzyć, że mógłbym zapomnieć taką twarz, ale jeśli pani tak twierdzi, nie będę dyskutował. Przepraszam za słabą pamięć. Czy może mnie pani oświecić?

Elvira Templeton, przyzwyczajona do prostej mowy jankeskich przedsiębiorców, musiała zamrużyć dwa razy, zanim przypomniała sobie o dobrych manierach.

- Panie Parsell, przedstawiam panu pannę Katharine Louise Weston.

Brandon był zbyt dobrze wychowany, by okazać jawnie zaskoczenie, ale i tak nie mógł znaleźć słów. Panna Weston wyglądała na ubawioną.

Orkiestra zagrała pierwsze takty walca *Nad pięknym modrym Dunajem*. Parsell zwrócił się do Bertranda Mayhew:

- Czy mógłby pan przynieść szklaneczkę ponczu dla panny Baird? Mówiła, że ma pragnienie. Panno Weston, czy przyjaciel z dawnych lat może prosić o ten walc?

Postąpił wbrew etykiecie, ale niewiele go to obchodziło. Kit z uśmiechem podała mu dłoń w rękawiczce. Przeszli na parkiet i zaczęli tańczyć. Brandon odezwał się pierwszy.

- Zmieniła się pani, panno Weston. Pani własna piastunka by pani nie poznała.

- Dobrze pan wie, że nigdy nie miałam piastunki.

Roześmiał się głośno z jej buńczuczności. Dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo potrzebował rozmowy z kobietą silnego ducha.

- Matka i siostry się zdziwią, gdy im powiem, że panią tu spotkałem. Słyszeliśmy, że Cain wysłał panią do szkoły na Północy, ale nie utrzymujemy z nim kontaktów, a Sophronia mówi niewiele.

Kit nie chciała rozmawiać o Cainie.

- Jak się miewa mama i siostry?

- Nie za dobrze. Utrata Holly Grove bardzo je przygnębiła. Ja pracuję w banku w Rutherford. - Roześmiał się ironicznie. - Parsell pracującej w banku. Czasy się zmieniają, nieprawdaż?

Kit przyglądała się czystym rysom jego wrażliwej twarzy i wdychała otaczający go subtelny zapach tytoniu i rumu.

Brandon i jego siostry brylowali w grupie beztroskiej młodzieży starszej od Kit o pięć czy sześć lat. Gdy wybuchła wojna, Kit widziała go, gdy jechał do Charlestonu. Siedział pewnie w siodle, miał na sobie szary mundur, a kapelusz z piórkami nosił tak dumnie, że Kit ścisnęło się serce. Był uosobieniem żołnierza Konfederacji. Zapragnęła wtedy pójść za nim na wojnę i walczyć u jego boku. Teraz Holly Grove leżało w gruzach, a Brandon pracował w banku.

- Co pan robi w Nowym Jorku?

- Pracodawca wysłał mnie tu, żebyem zajął się jego rodzinnymi sprawami. Jutro wracam do domu.

- Wysoko pana ceni, jeśli powierzył mu takie sprawy.

- Jeśli spyta pani moją matkę, to dowie się pani, że kieruję bankiem Planters and Citizens, ale tak naprawdę jestem kimś trochę ważniejszym od gońca.

- Niewierzę.

- Całe Południe żyje złudzeniami. Na przykład wiara, że jest niezwyciężone, jest wszystkim potrzebna jak powietrze. Ja nie będę się okłamywał - i Południe, i mnie można pokonać.

- Jest aż tak źle?

Parsell poprowadził ją pod ścianę.

- Wszystko się zmieniło. Karoliną rządzą ludzie znikąd i różni ciągnacze. Niedługo mamy być znów przyjeźdźcą do Unii, a tymczasem ulice wciąż patrolują jankescy żołnierze i odwracają wzrok, kiedy rabuje się szanowanych obywateli. Nasze prawo to kpina. Nie mieszka pani tam, więc nie wie, jak sprawy się mają.

Kit poczuła się nagle winna, zupełnie jakby przyjeżdżając do szkoły w Nowym Jorku, porzuciła Południe i uchyliła się od obowiązków. Muzyka umilkła, a ona nie chciała jeszcze przestać tańczyć. Brandon chyba też nie, bo ciągle trzymał ją w objęciach.

- Chyba ma pani już zarezerwowany ostatni taniec?

Kit skinęła głową, ale powiedziała:

- Jest pan moim sąsiadem, jutro pan wyjeżdża, więc myślę, że pan Mayhew nie będzie miał do mnie żalu.

Parsell ucałował jej dłoń.

- A zatem jest głupcem.

Gdy Parsell odszedł, Elsbeth rzuciła się na nią i zaciągnęła do pokoju, w którym debiutantki mogły poprawiać toalety.

- Kto to jest? Wszystkie dziewczęta o nim mówią. Wygląda jak poeta. Ojej! Porozwijały ci się kokardki i masz plamę na sukni. A włosy...

Posadziła Kit przed lustrem i powyciągała malutkie srebrne grzebyki, które w zeszłym roku dała jej w prezencie na urodziny.

- Nie wiem, dlaczego nie pozwoliłaś ich związać. Są potargane.

- Z tego samego powodu, dla którego nie dałam się wcisnąć w gorset. Nie lubię, gdy coś ogranicza mi wolność.

Elsbeth uśmiechnęła się przewrotnie.

- Jesteś kobietą. Nie możesz być wolna.

Kit roześmiała się.

- Elsbeth, co ja bym bez ciebie zrobiła przez te trzy lata?

- Wyrzuciliby cię ze szkoły.

Kit wzięła ją za rękę.

- Czy już ci dziękowałam?

- Wielokrotnie. A to ja powinnam ci dziękować. Gdyby nie ty, nie nauczyłabym się bronić swojego zdania. Przykro mi, że ojciec tak się zachował. Nigdy mu nie wybaczę, że ci nie uwierzył.

- Nie chcę stawać między wami.

- Wiem.

Elsbeth zajęła się włosami Kit.

- Po co ja cię pouczam? Nigdy nie zachowujesz się tak, jak powinna młoda dama. a kocha się w tobie połowa Nowego Jorku.

Kit skrzywiła się do lustra.

- Czasem nie podoba mi się sposób, w jaki na mnie patrzą. Jakbym nic na sobie nie miała.

- Wydaje ci się.

Elsbeth wpięła ostatni grzebyk i otoczyła Kit ramionami.

- Jesteś po prostu taka ładna, że nie mogą nie patrzeć.

- Głuptasie!

Kit roześmiała się i zerwała z krzesła.

- Nazywa się Brandon Parsell i usiądzie obok mnie podczas kolacji.

- On? Myślałam, że Mayhew...

Ale Kit już nie było.

Kelner przyniósł trzecią tacę ptifurek. Kit już wyciągnęła rękę, ale powstrzymała się w porę. Zjadła już dwie i pochłoneła wszystko, co miała na talerzu. Elsbeth na pewno to zauważyła. Kit czekał kolejny wykład. Absolwentki Templeton nie powinny zbyt dużo jadać na przyjęciach.

Brandon odstawił jej pusty talerz.

- Po kolacji lubię zapalić fajkę. Czy mogłaby mi pani pokazać ogród? Oczywiście, jeżeli nie przeszkadza pani zapach tytoniu.

Kit powinna być teraz z Bertrandem i pokazując mu fotografie, doprowadzić do oświadczyn, ale nie miała siły się wymówić.

- Nie przeszkadza mi. Kiedyś sama paliłam.

Brandon zmarszczył brwi.

- O ile pamiętam, pani dzieciństwo nie było zbyt szczęśliwe. - Prowadził ją w kierunku drzwi do szkolnego ogrodu. - To zadziwiające, jak dobrze poradziła sobie pani z nadrobieniem zaległości w wychowaniu. Podziwiam też, że wytrzymała pani tak długo wśród tych Jankesów.

Kit uśmiechnęła się, gdy Parsell prowadził ją kamienistą ścieżką oświetloną lampionami. Myślała o Elsbeth, Fanny Jennings, Margaret Stockton i pani Templeton.

- Nie wszyscy są źli.

- A tutejsi mężczyźni? Jak ich pani znajduje?

- Niektórzy są mili, inni nie.

Brandon zawahał się.

- Czy ktoś już się pani oświadczył?

- Wszystkim odmówiłam.

- Cieszę się.

Uśmiechnął się do niej. Stanęli. Delikatny powiew musnął włosy Kit. Brandon położył jej ręce na ramionach i delikatnie przyciągnął do siebie.

Zaraz ją pocałuje. Wiedziała, że to się zdarzy i że mu nie zabroni. Jej pierwszy prawdziwy pocałunek.

Czoło Parsella zmarszczyło się. Wypuścił ją z objęć.

- Proszę o wybaczenie. Zapomniałem się.

- Chciał mnie pan pocałować.

- Ze wstydem przyznaję, że tylko o tym myślałem, od kiedy ujrzałem panią po raz pierwszy. Mężczyzna narzucający się kobiecie nie jest dżentelmenem.

- A jeżeli kobieta nie ma nic przeciw temu?

W jego oczach pojawił się wyraz czułości.

- Jest pani niedoświadczona. Pocałunki prowadzą do większej poufałości.

Pomyślała o „hańbie Ewy” i wykładzie o małżeńskim pożyciu, którego wysłuchiwały starsze dziewczęta. Pani Templeton mówiła o bólu i obowiązku, zobowiązaniach i wytrzymałości. Radziła, żeby robiły to, czego chce mąż, choćby to było szokujące i okropne. Kazała wtedy recytować poezję lub wersety z Biblii, ale nie powiedziała, co dokładnie „hańba małżeńska” znaczy, zostawiając to ich bujnej wyobraźni.

Lilith Shelton mówiła, że ciotka jej mamy zwariowała w noc poślubną. Margaret słyszała o krwi. Kit wymieniała spojrzenia z Fanny Jennings, której ojciec hodował konie czystej krwi na farmie niedaleko Saratogi. Tylko one widziały, jak niechętna klacz wzdryga się, kiedy pokrywa ją rżący głośno ogier.

Brandon wyjął z kieszeni fajkę i sfatygowany woreczek z tytoniem.

- Podziwiam, że znosi pani to miasto. W niczym nie przypomina Risen Glory, prawda?

- Czasem wydaje mi się, że umrę z tęsknoty.

- Biedna Kit. Nie było pani lekko.

- Nie ciężej niż panu. Risen Glory przynajmniej ocalała.

Podszedł do muru otaczającego ogród.

- To wspaniała plantacja. Być może pani ojciec nie wykazał się rozsądkiem, jeśli chodzi o kobiety, ale na pewno znał się na uprawie bawełny-

Zaciągnął się dymem, wpatrując się w Kit.

- Czy mogę podzielić się z panią swoim sekretem?

Kit przebiegł dreszcz.

- Zawsze pragnąłem mieć Risen Glory. Była lepsza od Holly Grove. To ironia losu, że teraz najlepsza plantacja w kraju znajduje się w rękach Jankesa.

Serce Kit biło szybko, a w głowie kłębiły się nowe pomysły. Powiedziała wolno:

- Odzyskam ją.

- Proszę pamiętać, co mówiłem o złudzeniach. Niech pani nie popełnia tego błędu, co inni.

- To nie są złudzenia - stwierdziła stanowczo Kit. - Na Północy przekonałam się, że najważniejsze są pieniądze. I będę je miała. A potem wykupię plantację od Caina.

- Będzie to panią dużo kosztowało. Cain wymyślił, że sam zbuduje przędzalnię bawełny w Risen Glory. Niedawno przywieziono tam maszynę parową.

O tym Sophronia nie napisała, ale nie to zaprzętało uwagę Kit. Było coś ważniejszego.

- Dostanę piętnaście tysięcy dolarów.

-Piętnaście tysięcy!

W zrujnowanym kraju to fortuna. Brandon patrzył na nią osłupiały.

Potrząsnął głową.

- Nie powinna była pani tego mówić.

- Dlaczego?

- Chciałem złożyć pani wizytę w Risen Glory, a w tej sytuacji moje motywy mogą się wydać niejasne.

Motywy Kit były znacznie bardziej podejrzane. Roześmiała się.

- Niech pan nie będzie hipokrytą. Nie wątpię w szczerść pana intencji. I zapraszam do Risen Glory. Wracam tam, gdy tylko pozałatwiam sprawy.

Decyzja zapadła. Nie wyjdzie za Bertranda, jeszcze nie. Musi zobaczyć, co wyniknie z nowej możliwości. Nieważne, co pisał Cain - wracała do domu.

Kiedy zasypiała, wyobrażała sobie, że spaceruje po polach Risen Glory z Brandonem Parsellem.

Słodkie marzenie.

Część trzecia

Dama z Południa

Jesteśmy ulepieni z różnej gliny

Ralph Waldo Emerson

Eloquence

7

Powóz przechylił się na zakręcie podjazdu. Kit zamarła w oczekiwaniu - po trzech latach nareszcie ujrzy dom.

Głębokie koleiny, którymi, jak pamiętała, zryty był podjazd, zostały wyrównane, a powierzchnię wysypano świeżym żwirem. Usunięto chwasty i wycięto krzaki, więc droga wydawała się teraz jakby szersza. Na szczęście znajome drzewa: dęby, sykomora i szakłak oparły się zmianom. A za chwilę zobaczy dom.

Zbliżali się już do budynku, ale Kit odwróciła głowę. Wpatrywała się w pola bawełny.

Rozciągały się daleko, aż po widnokrąg. Wyglądały tak jak przed wojną, obsadzone rzędami młodych, zielonych krzaków.

Zastukała w dach powozu. Współtowarzyszka podróży, Dortea Pinckney Calhoun, upuściła miętową pastylkę, którą właśnie miała włożyć do ust.

Wychowanka Templeton, nawet zbuntowana, rozumiała, że nie może podróżować sama, nie mówiąc już o mieszkaniu pod jednym dachem z niezonatym mężczyzną, nawet jeśli był jej przeklętym przyrodnim bratem. Kit nie mogła dać Cainowi żadnego powodu, żeby ją odeśłał.

Bez trudu znalazła zubożałą damę z Południa, która po latach wygnania chciała wrócić do swoich ojczystych stron. Dowiedziała się o pannie Dolly z listu Mary Cogdell, której Dolly była daleką krewną.

Jej towarzyszka drobną budową i wypłowiałymi jasnymi loczkami przypominała podstarzałą chińską lalkę. Mimo swych pięćdziesięciu kilku lat wciąż stroiła się w niemodne suknie z mnóstwem falbanek i zawsze zakładała pod spód co najmniej osiem halek.

Była urodzoną kokietką. Trzepotała rękami w kierunku każdego, kto w jej mniemaniu był dżentelmenem. Ręce w koronkowych mitenkach wiecznie się poruszały, sprężynki wypłowiałych loczków podskakiwały, kokardy i falbanki powiewały. Opowiadała o tańcach z kotyliionem, lekarstwie na kaszel i o kolekcji porcelanowych psów, która przepadła gdzieś razem z jej dzieciństwem. Była uroczą, nieszkodliwą i, jak się okazało, trochę zwariowaną. Niezdolna pogodzić się z porażką uwielbianej Konfederacji, wciąż tkwiła umysłem w czasach pierwszych dni wojny, pełnych nadziei i optymizmu.

- Jankesi! - krzyknęła panna Dolly, gdy powóz się zatrzymał. - Atakuj nas! Ojej! Ojej!

Z początku Kit denerwowała się, kiedy panna Dolly przeżywała wydarzenia sprzed siedmiu lat. Zrozumiała jednak, że jest to sposób starej panny na radzenie sobie z życiem, które okazało się dla niej za trudne.

- Nic podobnego! - zapewniła ją Kit. - Zatrzymałam powóz. Chcę się przejść.

- Och, moja droga, to niedobry pomysł. Wszędzie pełno maruderów i twoja cera...

- Nic mi nie będzie.

Zanim panna Dolly zdążyła zaprotestować, Kit wysiadła.

Weszła na trawiasty wzgórek, żeby spojrzeć na pola. Podniosła woalkę i osłoniła oczy od słońca.

Krzaczki bawełny miały już około sześciu tygodni. Niedługo pojawią się na nich kremowe kwiaty. Zniszczone zabudowania postawiono od nowa, a padok ogrodzono pomalowanym na biało wysokim płotem. Nawet za czasów jej ojca Risen Glory nie wyglądała tak zasobnie i kwitnąco.

Spojrzała na dom. Znow był pomalowany kremową farbą, ściany różowił blask zachodzącego słońca. Czerwona dachówka koło podwójnego komina została naprawiona, a okiennice i drzwi lśniły, świeżo pociągnięte czarnym lakierem. Szyby błyszcząły z daleka. Wobec wszechobecnej dewastacji, jaką widziała z okien pociągu, Risen Glory jawiła się oazą piękna i dobrobytu.

Zmiany, zamiast ucieszyć, rozgniewały ją. Wszystko stało się bez niej! Opuściła woalkę i ruszyła w stronę domu.

Panna Dolly czekała przy powozie. Kit uśmiechnęła się do niej i poszła, by zapłacić woźnicy. Wzięła starą pannę pod rękę i pomogła jej wejść na schody. Uniosła mosiężną kołatkę.

Drzwi otworzyła nowa służąca, co jeszcze bardziej rozzłościło Kit.

Tęskniła za znajomą twarzą Eliego, ale starszek zmarł poprzedniej zimy. Cain nie pozwolił jej przyjechać na pogrzeb. Jeszcze jedna pretensja do kolekcji.

Dziewczyna patrzyła niepewnie na gości i stertę bagaży na podjeździe.

- Proszę zawołać Sophronię - powiedziała Kit.

- Nie mają jej.

- Kiedy wróci?

- Dziś rano zachorowała znachorka i panna Sophronia do niej poszła. Nie wiem, kiedy wróci.

- A czy jest major Cain?

- Nie, ale lada moment wróci z pola.

Bardzo dobrze, pomyślała Kit. Przy odrobinie szczęścia zdążą się rozgościć, zanim przyjdzie. Delikatnie ujęła pannę Dolly pod rękę i poprowadziła ją przez drzwi obok zdumionej służącej.

- Proszę dopilnować, aby nasze bagaże zaniecono do pokoi. To panna Calhoun. Z pewnością miałyby ochotę wypić u siebie w pokoju szklaneczkę lemoniady. Zaczekam na majora w salonie.

Kit widziała rozterkę służącej, która jednak nie śmiała się sprzeciwić elegancko ubranej nieznanym.

- Dobrze, proszę pani.

Kit zwróciła się do panny Calhoun niepewna, jak Dolly przyjmie wiadomość, że ma mieszkać pod jednym dachem z byłym oficerem wojsk Unii:

- Może się pani zdrzemnie przed kolacją? Mamy za sobą ciężki dzień.

- Chyba tak, kochana. - Dolly poklepała Kit po ręce. - Muszę pięknie wyglądać wieczorem. Tylko mam nadzieję, że panowie nie będą ciągle rozmawiać o polityce. Przecież w Charlestonie dowodzi generał Beauregard i nie musimy się obawiać tych krwiożerczych Jankesów.

Kit pchnęła lekko pannę Dolly w kierunku oszołomionej służącej.

- Zajrzę do pani przed kolacją.

Kiedy kobiety weszły na schody, mogła się nareszcie rozejrzeć. Drewniana podłoga była wypastowana, a na stoliku w holu stał bukiet wiosennych kwiatów. Przypomniała sobie, jak niechlujstwo Rosemary raziło Sophronię.

Przeszła przez hol i otworzyła drzwi do salonu. Świeżo pomalowane, kremowe ściany i jasnozielone listwy dawały wrażenie lekkości i chłodu. W otwartym oknie powiewały nowe zasłony z żółtej tafty. Pokój umeblowany był znajomą mieszaniną wygodnych sprzętów, lecz krzesła i sofy miały nowe obicia. Pachniało olejkami cytrynowym i woskiem, a nie pleśnią. Srebrne świeczniki nie miały śladu śniedzi, a stojący zegar chodził po raz pierwszy od lat. Spokojne, równomierne tykanie nie uspokoiło jej. Sophronia aż za dobrze się spisała: Kit czuła się obco w swoim własnym domu.

Cain patrzył, jak Vandal, nowy gniadosz, wchodzi do stajni. Koń był piękny, ale Magnus złościł się, kiedy Cain pozbył się Apolla, żeby go kupić. Cain nie przywiązywał się do koni. Jako dziecko przekonał się, że nie warto przywiązywać się do niczego.

Idąc w kierunku domu, myślał o tym, co osiągnął przez trzy lata. Życie w podbitym regionie, wśród niezyczliwych sąsiadów, nie było łatwe, ale ani razu nie żałował decyzji o sprzedaży domu w Nowym Jorku i przyjeździe do Risen Glory. Miał trochę doświadczenia w uprawie bawełny jeszcze sprzed wojny, z Teksasu, a Magnus wychował się na plantacji. Z pomocą broszurek rolniczych udało im się zebrać w zeszłym roku całkiem niezłe plony.

Cain nie czuł przywiązania do ziemi, tak jak nie rozczulał się nad wieloma innymi rzeczami, ale odbudowa Risen Glory okazała się ciekawym wyzwaniem. Największą satysfakcję sprawiała mu jednak budowa przędzalni.

Zainwestował w nią wszystko, co miał, i był bliski bankructwa, ale nie przerażało go to. Zawsze lubił ryzyko.

Właśnie wycierał buty przy tylnych drzwiach, kiedy przybiegła Lucy, nowa służąca.

- To nie moja wina, majorze. Panna Sophronia nie mówiła, że ktoś ma przyjechać. Ta dama pytała o pana, a potem weszła do salonu!

- Jest tam jeszcze?

- Tak. Ale to nie koniec. Przywiozła...

- Diabli nadali!

Tydzień wcześniej Cain dostał list od Towarzystwa Opieki nad Wdowami i Sierotami Konfederacji z prośbą o wsparcie. Szanowni sąsiedzi ignorowali go, chyba że potrzebowali pieniędzy. Teraz kolejna zasuszonej matrona o nerwowym spojrzeniu i zasznurowanych ustach będzie go

namawiać, żeby sypnął groszem. Podejrzewał, że pod pretekstem zbierania datków przychodzą tylko po to, żeby obejrzeć dom bohatera spod Missionary Ridge. Z rozbawieniem patrzył, jak te same szacowne damy ganiły swoje córki za kokieteryjne zerkanie w jego stronę. On sam relacje z kobietami ograniczał do rzadkich wizyt u bardziej doświadczonych pań w Charlestonie.

Przeszedł przez hol w kierunku salonu. Nie przejmował się, że ma na sobie spodnie i koszulę, w których pracował w polu - nie będzie się przebierał dla jakiegoś wścibskiego babska.

Dama wyglądała przez okno. W odróżnieniu od miejscowych kobiet była dobrze ubrana. Jej suknia zafalowała lekko, kiedy się odwracała.

Cainowi zaparło dech.

Była piękna. Miała na sobie jasnoszarą suknię obszytą różową lamówką, a na jej piersi pysznił się żabot z szarej koronki. Pióro w tym samym odcieniu co lamówka spływało łagodnym łukiem z kapelusza, opadając na czoło.

Twarz nieznajomej ukryta była pod lekką jak pajęczyna woalką ozdobioną drobnymi, dżetowymi koralikami. Widoczne spod niej były tylko wilgotne, czerwone usta i małe, wiszące kolczyki.

Nie znał jej. Zapamiętałby takie zjawisko. To pewnie córka kogoś z szanowanych obywateli z okolicy, skrętnie przed nim ukrywana.

Stała spokojnie, znosząc jego taksujące spojrzenie. Jakie rodzinne nieszczęście zmusiło taki smakowity kąsek do zastąpienia matki i wstąpienia do jaskini Jankesa?

Jego wzrok zatrzymał się na pełnych ustach. Piękna i intrygująca. Rodzice powinni byli trzymać ją od niego z daleka.

Kit przyglądała się Cainowi spod woalki. Była teraz starsza o trzy lata i patrzyła na niego dojrzałszymi oczami. Nie ucieszyło jej to, co zobaczyła - był jeszcze przystojniejszy, niż pamiętała. Słońce opaliło mu twarz, włosy rozjaśniły jasne pasemka. Miał na sobie przykurzone ubranie, zaś widok muskularnego ciała zaniepokoił ją. Podwinięte rękawy odsłaniały silne, opalone ręce, a pod opinającymi biodra spodniami rysowały się mocne uda.

Miała wrażenie, że przestronny pokój, w którym się znajdowali, zaczyna się kurczyć. Nawet stojąc bez ruchu, Cain emanował siłą i drażniącością. Jak mogła o tym zapomnieć i traktować go na równi z innymi mężczyznami? To błąd, którego więcej nie popełni.

Cain wiedział, że jest obserwowany. Dama nie miała chyba zamiaru pierwsza się odezwać. Jej pewność siebie zaintrygowała go. Przerwał ciszę, mówiąc szorstko:

- Chciała mnie pani widzieć?

Kit ucieszyła się - nie poznał jej. Maskarada nie potrwa długo, ale tymczasem będzie mogła przyjrzeć się przeciwnikowi lepiej niż niedojrzała osiemnastolatka.

- Bardzo ładny pokój - rzekła spokojnie.

- Mam dobrą gospodynię.

- To ma pan szczęście.

- Tak.

Wszedł w głąb pokoju kołyszącym krokiem kawalerzysty.

- Zazwyczaj ona zajmuje się takimi wizytami, ale wyszła w pewnej sprawie.

Kit zastanawiała się, za kogo Cain ją bierze i do czego zmierza. Powiedziała:

- Poszła do znachorki.

- Znachorki?

- Leczy ziołami, rzuca uroki i przepowiada przyszłość.

Po trzech latach w Risen Glory nawet tego nie wiedział. Najlepszy dowód, że tu nie pasuje.

- Zachorowała i Sophronia poszła ją odwiedzić.

- Zna pani Sophronię?

- Tak.

- A zatem mieszka pani w okolicy?

Lekko skinęła głową. Cain wskazał jej krzesło.

- Nie podała pani Lucy swojego nazwiska.

- Lucy? To znaczy służącej?

- Więc jednak czegoś pani nie wie.

Nie usiadła, tylko podeszła do kominka, celowo odwracając się do niego plecami. Zauważył, że stawiała dłuższe kroki niż inne kobiety. Nie starała się też pokazać swej modnej sukni w najkorzystniejszej pozycji, jakby strój był czymś, co rano narzuciła na siebie i szybko o tym zapomniała.

- Jak się pani nazywa?

- Czy to ważne?

Mówiła niskim, ochrypłym głosem.

- Być może.

- Ciekawe dlaczego?

Prowokujące unikanie odpowiedzi zastanowiło Caina, podobnie jak ledwo wyczuwalny zapach jaśminu unoszący się z sukni. Chciał, żeby się odwróciła i żeby mógł z bliska zobaczyć, co kryje się pod woalką.

- Tajemnicza dama - zakpił lekko - przychodzi do siedziby wroga bez matki i przyzwoitki. Niemądrze.

- Nie zawsze postępuję rozsądnie.

Cain uśmiechnął się.

- Podobnie jak ja.

Prześlizgnął się wzrokiem po jedwabistych puklach spoczywających na jej karku. Jak by wyglądały rozpuszczone na białych, nagich ramionach? Chyba już zbyt długo nie był z kobietą. Ale nawet gdyby poprzedniej nocy miał ich tuzin, ta na pewno wznieciłaby w nim żądę.

- Czy za chwilę wpadnie tu zazdrosny mąż szukający swej zbłąkanej żony?

- Nie mam męża.

- Nie? - Postanowił wypróbować jej pewność siebie. - I dlatego tu pani przyszła? Czy lista odpowiednich kandydatów z okolicy jest tak krótka, że panny z dobrych rodzin muszą zapuszczać się do domu Jan-kesa?

Odwróciła się. Przez woalkę widział błyszczące oczy i lekko drżące nozdrza.

- Zapewniam pana, majorze Cain, że nie przybyłam tu szukać męża. Ma pan zbyt wysokie mniemanie o sobie.

- Naprawdę tak pani myśli?

Podszedł bliżej. Jego nogi otarły się o jej suknię.

Kit chciała się cofnąć, ale oparła się pokusie. Cain był drapieżnikiem i jak wszystkie drapieżniki żerował na słabości innych. Nawet najmniejsze ustępstwo z jej strony dałoby mu satysfakcję, dlatego postanowiła nie okazywać niepewności. Jednocześnie jego bliskość trochę ją oszołomiła. I nie było to nieprzyjemne uczucie.

- Powiedz mi, tajemnicza damo, czego może chcieć młoda kobieta z dobrego domu, kiedy samotnie odwiedza mężczyznę? - Mówił głębo- kim, prowokującym głosem, a szare oczy lśniły dziko. Kit zaczęło pulsować w skroniach. - A może porządna młoda dama wcale nie jest taka porządna?

Kit wyprostowała się i spojrzała mu w oczy.

- Proszę nie sądzić innych swoją miarą.

Wyzwanie w jej głosie podnieciło go. Czy oczy za woalką były niebieskie, czy może ciemne, w jakimś niespotykanym odcieniu? Wszystko w tej kobiecie fascynowało go. Nie była głupio uśmiechniętą kokietką ani wychuchaną pięknotką. Przypominała raczej różę rosnącą dziko w leśnych ostępach, o ostrych kolcach zdolnych zranić każdego, kto by jej dotknął.

Nieokiełznana część jego natury odpowiedziała na to, co w niej wy-czuwał. Co by było, gdyby przedarł się przez kolce i zerwał ten leśny kwiat?

Jeszcze zanim się ruszył, Kit wiedziała, że zaraz coś się stanie. Chciała odejść, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Kiedy spoglądała na jego przystojną twarz, starała się pamiętać, że to jej śmiertelny wróg. Decydował o wszystkim, co było jej drogie: o domu, przyszłości, nawet o wolności. Zawsze jednak kierowała się emocjami i teraz wrząca krew odbierała jej rozsądek.

Cain uniósł dłoń i objął palcami jej podbródek. Jego dotyk był niespodziewanie delikatny i podniecający. Nie miała siły zaprotestować.

Przesunął kciukiem po jej policzku ukrytym pod woalkę. Zatrzymał się w zagłębieniu za uchem, pieszcząc delikatną skórę tak, że Kit przeszedł dreszcz.

Pogłaskał wrażliwe muszelki uszu i małe, wystające zza nich loczki. Jego oddech poruszył woalkę. Zniżył usta. Kit stała jak sparaliżowana.

Pocałunek był delikatny, zapraszający i w niczym nie przypominał oślizgłego dziobnięcia współnika Woodwarda. Ręce Kit bezwiednie spoczęły na biodrach Caina. Przez cieką koszulę poczuła ciepło jego ciała. Porwała ją burza zmysłów.

Muskał wargami jej zamknięte usta. Przesunął ręką delikatnie w dół pleców i mocno przycisnął ją do siebie.

Zakreśliło jej się w głowie, kiedy ich piersi zetknęły się, a na brzuchu poczuła jego silne biodra. Rzucił na nią czar, zmysłowo otwierając jej usta wilgotnym końcem języka.

Intymna bliskość rozpała ją. Czuła, jak przez ciało przetacza się fala gorąca. Cain nie był już wrogiem, lecz pierwotnym samcem, gwałtownym i niepohamowanym. Dla niego zaś ta zawołowana istota była wszystkim, czego do tej pory szukał u kobiety.

Niecierpliwiał się. Jego język poruszał się coraz mocniej, próbując wnikać głębiej.

Gwałtowna inwazja otrzeźwiła Kit. Działo się coś złego...

Gdy sięgnął do jej piersi, Kit odskoczyła, jakby ktoś oblał ją kubłem zimnej wody.

Cain był bardziej poruszony, niż chciałby się do tego przyznać. Zbyt szybko poczuł kolce dzikiej róży.

Stała przed nim z falującą piersią i dłońmi zaciśniętymi w pięści. Pewny, że reszta jej twarzy nie dorównuje pięknu ust, podniósł woalkę.

Spojrzał na gładkie, wysokie czoło, na ciemne brwi, gęste rzęsy i stanowczą brodę; wszystko to razem z ustami, które przed chwilą tak namiętnie całował, składało się na olśniewającą, niespotykaną urodę.

Poczuł niepokój. Coś znajomego, jakieś nieprzyjemne wspomnienie tłuło mu się po głowie. Patrzył na jej nozdrza, drżące jak skrzydełka kolibra. Zacisnęła szczęki i dumnie podniosła głowę.

W tej chwili ją poznał.

Spochmurniał, ale Kit była zbyt zmieszana tym, co się przed chwilą stało, żeby to zauważyć. Co ją tak zaślepiło? Przecież ten człowiek to jej śmiertelny wróg! Jak mogła o tym zapomnieć? Czuła się słaba, zła i zagubiona.

Z holu dobiegł jakiś hałas. Kula biało-czarnego futra, stukając łapami po drewnianej podłodze, wtoczyła się do pokoju i gwałtownie zahamowała. Merlin.

Pies przyjrzał się i rozpoznał ją szybciej niż Cain. Szczeknął, podbiegł i zaczął się do niej łąsić.

Kit przykłękała i serdecznie się z nim witała, nie bacząc, że jego brudne łapy niszczą jej podróżną suknię. Kapelusz spadł na podłogę i starannie uczesane włosy rozsypały się, ale Kit nie zwracała na to uwagi.

Radość powitań przerwał lodowaty głos Caina.

- Widzę, że szkoła cię nie zmieniła. Ciagle jesteś nieobliczalną dziwką.

Kit spojrzała na niego i wypaliła:

- Złóścisz się, bo pies okazał się bystrzejszy od ciebie!

8

Niedługo po tym, jak Cain wyszedł z pokoju, Kit usłyszała znajomy głos:

- Lucy, znowu wpuściłaś psa do domu!
- Prześlizgnął się koło mnie, panno Sophronio.
- Cóż, koło mnie na pewno się nie prześlizgnie!

Kit uśmiechnęła się, słysząc żwawe kroki. Przytuliła Merlina i wyszeptała:

- Nie dostanie cię!

Sophronia wpadła do pokoju i stanęła jak wryta.

- Przepraszam, Lucy nie uprzedziła mnie, że mamy gościa.

Kit spojrzała na nią z przebiegłym uśmieszkiem.

- Kit! - Sophronia zasłoniła ręką usta. - Czy to naprawdę ty?

Kit ze śmiechem zerwała się na nogi i podbiegła do niej.

- To ja, we własnej osobie!

Padły sobie w objęcia, a Merlin szczekając radośnie, biegał wokół nich.

- Tak się cieszę, że cię widzę, Sophronio. Jesteś jeszcze piękniejsza niż dawniej!

- Ja? Spójrz na siebie. Wyglądasz jak wyjęta z *Poradnika damy*.

- To dzięki Elsbeth.

Kit znowu się roześmiała i chwyciła Sophronię za rękę. Rozsiadły się na sofie, żeby nadrobić trzy lata rozłąki.

Kit wiedziała, że to z jej powodu korespondencja się nie kleiła. Sophronia nie lubiła pisać listów, a te nieliczne, które przysyłała, były tak pełne uznania dla tego, co Cain robił w Risen Glory, że odpowiedzi Kit stały się jadowite. W końcu Sophronia przestała pisać.

Kit zapomniała, że ma żal do Sophronii o zmiany wprowadzone w domu i chwaliła ją za wszystko.

Sophronia była z siebie dumna. Chłoneła pochwały, ale jej radość zmieszana była z niechęcią, jak zawsze wobec Kit.

- Nie wyobrażaj sobie, że teraz będziesz mogła w domu we wszystko się wtrącać.

Kit zachichotała.

- Ani mi się śni. Zależy mi tylko na ziemi. Nie mogę się doczekać, żeby wszystko zobaczyć.

Sophronia zaszepiła się. Czuła, że pozostawienie majora i Kit pod jednym dachem nie wróży nic dobrego.

Dawna sypialnia Rosemary Weston została przemalowana na kolor jasnoróżowy z zielonymi akcentami. Kit przypominało to dojrzałego arbuza, tę jego część, gdzie różowy miąższ przechodzi w zieleń skórki. Cieszyła się, że będzie tu mieszkać, chociaż jej pokój ustępował sypialni, którą zajmował Cain. Niepokoiło ją, że ich sypialnie są tak blisko siebie, rozdzielone tylko pokojem dziennym, ale przynajmniej będzie go mieć na oku.

Natętnie powracało do niej pytanie: jak mogła pozwolić mu na taki pocałunek? Gdyby to był Brandon Parsell, zrozumiałaby, ale Baron Cain?

Przypomniała sobie wykład o „hańbie Ewy”. Tylko kobieta nieobyczajna mogła tak się zapomnieć z najgorszym wrogiem. Może coś jest z nią nie tak?

Nonsens. Po prostu zmęczyła ją podróż, a paplanina panny Dolly każdego mogłaby przyprowadzić o chwilową niepoczytalność.

Zdecydowana nie zaprzętać sobie tym więcej głowy, zdjęła suknię i w białiznie stanęła przy umywalni. Uwielbiała się myć. Nie mieściło jej się w głowie, że kiedyś tego nie znosiła. Była głuptasem pod każdym względem - oprócz nienawiści do Caina.

Zakłęła cicho pod nosem. Tego nawyku nawet Elsbeth nie zdołała jej oduczyć. Cain, zanim rozwścieczony wyszedł z pokoju, kazał jej przyjść po kolacji do biblioteki. Z niechęcią myślała o czekającej ją rozmowie - będzie musiała mu pokazać, że nie jest już niedojrzałym podlotkiem.

Lucy rozpakowała jej bagaże i przez chwilę Kit miała ochotę włożyć jakąś starą suknię i wybiec na dwór, ale ponieważ wkrótce miała się spotkać z Cainem, odłożyła to na jutro.

Wybrała białą suknię w niezapominajki, lekko marszczoną i odsłaniającą pod draperią warstwę materiału w tym samym kolorze co kwiaty. Cain, niech go diabli, nie skąpił grosza na stroje, więc Kit miała piękną garderobę. Duża w tym zasługa Elsbeth, która nie dowierzała jej gustowi i nie puszczała samej na zakupy. Prawda była taka, że robiąc zakupy samotnie, Kit szybko się nudziła i brała to, co podsunął jej sprzedawca.

Niecierpliwym ruchem wyjęła z włosów spinki. Rano uczesała się w stylu hiszpańskim, z przedziałkiem pośrodku i włosami zebranymi na karku w prosty węzeł. Taka fryzura była idealna na pierwsze spotkanie z Cainem, ale gładko zaczesane włosy ją denerwowały. Teraz szczotkowała je, aż się naelektryzowały, potem odgarnęła z twarzy i upięła małymi, srebrnymi grzebykami, żeby spadały na ramiona burzą loków. Jeszcze kropla jaśminowego zapachu na nadgarstki i Kit mogła iść po pannę Dolly.

Zastukała do jej drzwi, zastanawiając się, jak Dolly zareaguje na wspólną kolację z bohaterem Północy. Zastukała jeszcze raz i nie słysząc odpowiedzi, weszła do środka.

Panna Dolly siedziała skulona na bujanym fotelu w rogu ciemnego pokoju. Po pomarszczonej twarzy ciekły łzy, a ręce ścisnęły zmiętą chusteczkę.

Kit podbiegła do niej.

- Panno Dolly! Co się stało?

Starsza kobieta nie odpowiadała. Kit uklękła przy niej.

- Panno Dolly?

- Kit? Nie słyszałam, jak weszłaś.

- Pani płacze. - Kit ujęła jej delikatne dłonie. - Dlaczego?

- Tylko wspomnienia, nic ważnego. Przypomniałam sobie, jak razem z siostrą robiłyśmy lalki ze szmatek i bawiłyśmy się w altance oplecionej winoroślą. Starość składa się ze wspomnień.

- Nie jest pani stara, wystarczy spojrzeć na panią w tej pięknej białej sukni! Jest pani świeża jak majowy poranek!

- Staram się ładnie wyglądać. - Panna Dolly wyprostowała się i osuszyła policzki. - Tylko czasami myślę o tym, co minęło, i robi mi się smutno.

- Na przykład o czym?

Panna Dolly poklepała Kit po ręce.

- Moja droga, nie chce cię nudzić.

- Ależ pani nie nudzi! - Kit zapewniła ją, chociaż jeszcze niedawno bezładne wspomnienia Dolly doprowadzały ją do szaleństwa.

- Masz dobre serduszko, Katharine Louise. Zrozumiałam to, gdy tylko cię zobaczyłam. Bardzo się ucieszyłam, kiedy mnie poprosiłaś, żebym z tobą pojechała do Karoliny Południowej. Nie podobało mi się na Północy, tam wszyscy tak głośno mówią. Nie lubię Jankesów, Katharine. Bardzo nie lubię.

- Denerwuje się pani spotkaniem z Cainem, prawda?

Kit pogłaskała ją po ręce.

- Nie powinnam tu pani przywozić. Jestem samolubem: nie pomyślałam, że mogę tym panią urazić.

- Nie, nie. Nie przejmuj się, kochana, wymysłami zdziecinniałej starszki.

- Nie zatrzymam pani, jeżeli będzie tu pani źle.

Oczy panny Dolly otworzyły się szeroko.

- Aleja nie mam dokąd pójść!

Podniosła się z fotela i znów zaczęła płakać.

- To głupstwa! Zaraz... zaraz doprowadzę się do porządku i możemy zejść na kolację. Jedną chwileczkę. Jedną małą chwileczkę!

Kit objęła szczupłe ramiona panny Calhoun.

- Spokojnie, panno Dolly. Jeśli zechce pani ze mną zostać, nie odeślę pani. Przyrzekam.

W oczach Dolly błysnęła nadzieja.

- Nie odeślesz mnie?

- Nigdy!

Kit wygładziła bufiaste rękawy jej sukni i pocałowała w upudrowany policzek.

- Proszę pięknie wyglądać na kolacji.

Panna Dolly niespokojnie zerknęła w stronę korytarza.

- Dobrze, kochanie.

- Niech się pani nie przejmuję Cainem. Proszę sobie wyobrazić, że to generał Lee.

Dolly spędziła przed lustrem dobre dziesięć minut, zanim zdecydowała, że jest gotowa, ale Kit tak się ucieszyła, że starsza pani odzyskała humor, iż jej nie popędzała. Kiedy schodziły, panna Dolly zwróciła uwagę na jej suknię.

- Nie ruszaj się, kochana. Draperia się obsunęła. Uważam, że powinnaś więcej uwagi zwracać na swój wygląd. Nie chcę cię krytykować, ale nie zawsze wyglądasz tak, jak powinnaś.

- Tak jest, proszę pani.

Kit przybrała potulny wyraz twarzy. Pomyślała też, że jeśli Cain przestraszy Dolly, to udusi go gołymi rękami.

W tym momencie Baron wyszedł z biblioteki. Ubrany był niezobowiązująco, w czarne spodnie i białą koszulę, chociaż wiedział, że siada do kolacji z damami.

Podniósł głowę i spojrzął na nie. W jego oczach zamigotało coś, czego Kit nie mogła rozszyfrować.

Serce biło jej mocno. Przypomniała sobie tamten pocałunek. Musi się wziąć w garść, bo czeka ją trudny wieczór. Trzeba zapomnieć o tym, co było, i myśleć o Dolly.

Pochyliła się w stronę starej panny, chcąc ją uspokoić, ale na ustach Dolly już pojawił się zalotny uśmiech. Panną Calhoun wyciągnęła rękę i schodziła po schodach z gracją debutantki,

- Drogi generale! Trudno mi wyrazić, jaki to dla mnie zaszczyt. Nie zliczę godzin spędzonych na modlitwach o pana bezpieczeństwo. Nawet w najpiękniejszych snach nie marzyłam, że pana spotkam.

Drobna dłoń w koronkowej rękawiczce spoczęła w jego wielkiej ręce.

- Dorteia Pinckney Calhoun. Jestem damą do towarzystwa Katharine.

Złożyła ukłon, jakiego nie powstydziałaby się żadna absolwentka Templeton.

Cain wpatrywał się w jej plisowany czepek. Kiedy się podniosła, czubkiem głowy ledwie sięgała środkowego guzika jego koszuli.

- Dołożę wszelkich starań, żeby miał pan wszelkie wygody w czasie pobytu w Risen Glory. Od tej chwili, od tej sekundy, jestem pana wierna służką.

Panna Dolly zatrzepotała rzęsami.

Cain spojrzął na Kit pytającym wzrokiem. Odchrząknął.

- Obawiam się, że pani się myli. Nie mam stopnia generała. Właściwie nie pełnię teraz żadnej funkcji, chociaż niektórzy ciągle zwracają się do mnie „majorze”.

Panna Dolly wydała z siebie dziewczęcy chichot.

- Ojej! Przyłapał mnie pan jak dziecko! - Zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu: - Zapomniałam, że się pan ukrywa. Świetnie się pan zakamuflował, żaden jankeski szpieg pana nie pozna. Tylko szkoda, że musiał pan zgolić brodę. Uwielbiam brody.

Zniecierpliwiony Cain zwrócił się do Kit:

- Co ona opowiada?

Panna Dolly wzięła go pod rękę.

- Ależ, drogi generale. Nie trzeba się irytować. Przrzekam, że kiedy nie będziemy sami, zawsze będę się do pana zwracać „majorze”. Umiem dotrzymać tajemnicy.

Głos Caina zabrzmiał groźnie.

- Kit...?

Miss Dolly cmoknęła.

- Generale, o Katharine Louise nie musi się pan martwić. To najłobniejsza córka Konfederacji. Nigdy nikomu nie zdradzi pana prawdziwego nazwiska, nieprawdaż, kochana?

Kit próbowała coś powiedzieć. Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Dolly postukała ją delikatnie w ramię zwisającym z nadgarstka wachlarzem.

- Powiedz panu generałowi, że tak, kochaniutka, i to w tej chwili. Nie pozwolimy mu martwić się niepotrzebnie. Biedny człowiek ma dość kłopotów na głowie. No, powiedz, że może ci zaufać.

- Może mi pan zaufać - wychrypiąła Kit.

Cain rzucił jej spojrzenie pełne nienawiści.

Stara panna uśmiechnęła się i pociągnęła nosem.

- Jeśli węch mnie nie myli, to czuję potrawkę z kurczaka. Uwielbiam ją, szczególnie przyprawioną odrobiną gałki muszkatołowej.

Wzięła Caina pod rękę i skierowała się do jadalni.

- Czy pan wie, generale, że być może jesteśmy spokrewnieni? Według mojej ciotecznej babki, Phoebe Littlefield Calhoun, rodzina ze strony jej ojca jest spowinowacana z rodziną Lee z Virginii.

Cain stanął jak wryty.

- Chce pani powiedzieć, że... Czy doprawdy bierze mnie pani za generała Roberta E. Lee?

Dolly otworzyła usta, żeby mu odpowiedzieć, ale tylko zachichotała.

- O, nie. Nie złapie mnie pan tak łatwo, generale. Przecież powiedziałam, że może pan liczyć na moją dyskrecję. Nazywa się pan Baron

Nathaniel Cain. Katharine Louise już mi to wyjaśniła. - I mrugnęła do niego znacząco.

W czasie kolacji Cain siedział nachmurzony. Kit nie mogła przełknąć kęsa. Musiała znosić jego obecność, pamiętając, co się między nimi wydarzyło, w dodatku wywołała u panny Dolly prawdziwy atak gadatliwości. Sama Dolly bez trudu wypełniała ciszę swoim szczebiotem. Opowiadała im o potrawkach, dalekich krewnych i leczniczych właściwościach rumianku tak długo, aż Cain wyglądał jak gradowa chmura. Kiedy podczas deseru zaproponowała recytowanie poezji w salonie, Cain odpowiedział z dziwnym pośpiechem:

- Co za pech, panno Calhoun. Katharine Louise przywiozła tajne rozkazy z Nowego Jorku i muszę się z nią spotkać sam na sam. - Podniósł brew, patrząc na Kit. - I to natychmiast!

Panna Dolly rozpromieniła się.

- Ależ, oczywiście, generale. Nie musi mi pan wyjaśniać. Z chęcią zostanę tu z tym pysznym imbirowym ciastem. Jeszcze nigdy...

- Jest pani prawdziwą patriotką.

Cain wstał i wskazał na drzwi.

- Do biblioteki, Kathanne Louise.

- Ja...

- Już!

- Pośpiesz się, kochanieńka. Pan generał nie ma zbyt wiele czasu - ponagliła panna Dolly.

- A będzie miał jeszcze mniej - dodał znacząco Cain.

Dobrze, pomyślała Kit, idąc w kierunku biblioteki. Czas zagrać w otwarte karty.

Biblioteka prawie się nie zmieniła przez te trzy lata. Przy starym, mahoniowym biurku wciąż stały wygodne obite skórą krzesła. Przez wysokie okna wpadało dużo światła, które rozweselało pokój pełen półek z oprawionymi w skórę książkami.

Zawsze było to ulubione miejsce Kit. Z niesmakiem spojrzała na humidor stojący na biurku i wojskowego kolta, który leżał obok w wyszczełanym drewnianym pudełku. Najbardziej jednak oburzył ją portret Abrahama Lincolna wiszący nad kominkiem w miejscu zarezerwowanym od niepamiętnych czasów dla *Śmierci Jana Chrzciciela*.

Cain rozsiadł się niedbale w fotelu i oparł nogi na biurku. Celowo zachowywał się arogancko, ale Kit nie dała mu poznać, że czuje się dotknięta. Wcześniej, nie wiedząc, kim była, traktował ją jak kobietę,

a teraz chciał z nią rozmawiać jak ze stajennym. Wkrótce się przekona, że Kit już nim nie jest.

- Kazałem ci zostać w Nowym Jorku - rzekł Cain.

- To prawda. - Kit udawała, że ogląda pokój. - Portret Lincolna w Risen Glory obraża pamięć mojego ojca.

- Z tego, co wiem, twój ojciec sam się na to naraził.

- Być może, niemniej jednak był moim ojcem i zginął jak bohater.

- W śmierci nie ma nic bohaterskiego.

W słabym świetle lampy zauważyła, że rysy jego twarzy stwardniały.

- Dlaczego nie posłuchałaś polecenia i wyjechałaś z Nowego Jorku?

- Bo twoje polecenie nie miało sensu.

- Nie mam obowiązku niczego ci tłumaczyć.

- To ty tak myślisz. Ja spełniłam warunki.

- Czyżby? Zgodnie z umową miałaś się dobrze sprawować.

- Skończyłam szkołę.

- Nie chodzi mi o twoje sukcesy na pensji.

Nie zdejmując nóg z biurka, sięgnął do szuflady i wyjął list. Rzucił go na blat.

- Bardzo ciekawa lektura, ale nie przeczytałbym tego komuś, kto łatwo się gorszy.

Kit wzięła list. Serce jej zamarło, gdy zobaczyła nadawcę: Hamilton Woodward.

Z przykrością informuję, że podczas Wielkanocy, będąc gościem na naszym corocznym przyjęciu, pańska podopieczna zachowała się w sposób skandaliczny. Zuchwale próbowała uwieść jednego z mych współpracowników, na szczęście w porę interweniowałem. Mój partner był zupełnie zdezorientowany. Jest żonaty, ma dzieci i udziela się w akcjach charytatywnych. Rozwiążte zachowanie Katharine Louise każe mi podejrzewać, że cierpi ona na nimfomanię...

Zmięta list i rzuciła na biurko. Nie miała pojęcia, co to nimfomania, ale brzmiało groźnie.

- To jedno wielkie kłamstwo. Nie wierz mu.

- Kazałem ci zostać w Nowym Jorku, sam osobiście chciałem porozmawiać z tobą o tej sprawie.

- Zawarliśmy umowę. Nie możesz jej zmieniać tylko dlatego, że Woodward jest głupcem.

- Uważasz Woodwarta za głupca?

-Tak.

Czuła, że palą ją policzki.

- I nie narzucasz się mężczyznom?

- Oczywiście, że nie!

Oczy Caina zatrzymały się na jej ustach i znowu przywołały zdarzenie sprzed kilku godzin.

- To dlaczego dziś byłaś taka uległa? Czy tak rozumiesz przyzwoite zachowanie?

Kit nie wiedziała, jak bronić czegoś, czego sama nie rozumiała, więc przeszła do ataku.

- To chyba ty powinieneś się wytłumaczyć. A może zawsze rzucasz się na odwiedzające cię kobiety?

- Rzucam się?

- Miałaś szczęście, że byłam zmęczona podróżą- odparła z godnością - i nie potraktowałam cię pięścią tak samo jak współnika Woodwarda.

Cain opuścił nogi.

- Naprawdę?

Nie uwierzył jej.

- Ciekawe, że tak cię martwi moje prowadzenie się. Lepiej zwróć uwagę na własne zachowanie.

- To co innego. Ty jesteś kobietą.

- Ach tak. I to robi jakąś różnicę?

- Doskonale wiesz, co mam na myśli.

- Skoro tak mówisz...

- Mówię, że wracasz do Nowego Jorku!

- Nie!

- To ja decyduję!

Kit myślała szybko.

- Chcesz się mnie pozbyć, prawda? I wypłatać z tej niedorzecznej „opieki”?

- Niczego bardziej nie pragnę.

- To pozwól mi zostać w Risen Glory.

- Wybacz, ale nie widzę związku.

Próbowała mówić spokojnie.

- Kilku dżentelmenów stara się o moją rękę. Potrzebuję trochę czasu, żeby któregoś wybrać.

- Przemyślisz to w Nowym Jorku.

- Nie mogę. To najważniejsza decyzja w życiu, żeby ją podjąć, potrzebuję spokoju, znajomych kątów. W przeciwnym razie nigdy się nie zdecyduję, a tego przecież oboje nie chcemy.

Wyjaśnienie było mocno naciągane, ale Kit włożyła w nie całą duszę.

Cain spojrział na nią z niedowierzaniem. Podszedł do kominka.

- Jakoś nie widzę cię w roli przykładnej żony.

Z pewnością miał rację, ale mimo to Kit poczuła się urażona.

- Niby dlaczego?

Przypomniała sobie Lilith Shelton. a także jej poglądy na temat mężczyzn i małżeństwa.

- Każda kobieta marzy, żeby wyjść za mąż. - Przywołała na twarz ten sam pusty wyraz, który widywała u swej dawnej koleżanki. - Mieć męża, który się nią zaopiekuje, ładne stroje, na urodziny dostawać biżuterię... Czegoż więcej kobieta może chcieć od życia?

W oczach Caina czaił się chłód.

- Trzy lata temu, kiedy byłaś moim stajennym, dawałaś mi do wiwatu, ale byłaś odważna i ciężko pracowałaś. Tamta Kit Weston nie sprzedałaby się za stroje i biżuterię.

- Tamta Kit nie była zmuszona pójść do szkoły, w której z dziewcząt robi się żony.

Punkt dla niej. Cain wzruszył ramionami i oparł się o kominek.,

- To już przeszłość.

- Ta przeszłość zrobiła ze mnie osobę, jaką teraz jestem. - Wzięła głęboki wdech. - Chcę wyjść za mąż, ale muszę dobrze wybrać. To wymaga czasu. I chciałabym ten czas spędzić tutaj.

Cain przyglądał się jej uważnie.

- Ci kandydaci na męża... - Mówił to niskim, ochrypłym głosem. - Czy całujesz ich tak, jak mnie dzisiaj?

Kit całą siłą woli starała się nie odwracać wzroku.

- Ci dżentelmeni nie są tak nachalni, jak ty.

- A więc to durnie.

Zastanawiała się, co miał na myśli. Cain oderwał się od kominka.

- Dobrze. Masz miesiąc - jeśli się nie zdecydujesz, pojedziesz do Nowego Jorku, zdecydowana na męża czy nie. I jeszcze jedno... - Wskazał głową hol. - Ta nawiedzona damulka wyjeżdża. Niech odpocznie dzień, a potem wsadź ją w pociąg. Wynagrodzę jej to.

- Nie! Nie mogę!

- Oczywiście, że możesz!

- Przyrzekłam jej.

- To błąd.

Był nieugięty. Jaki argument mógł go przekonać?

- Nie mogę tu mieszkać bez przyzwoitki.

- Trochę za późno na skrupuły.

- Może dla ciebie. Dla mnie nie.

- Będzie z niej świetna przyzwoitka. Gdy tylko zagada do któregoś z sąsiadów, od razu będą wiedzieli, że jest stuknięta.

- Wcale nie jest stuknięta! Jest trochę... inna.

-Więcej niż trochę.

Patrzył na Kit podejrzliwie.

- Skąd jej przyszło do głowy, że jestem generałem Lee?

-Może ja coś niechcący wspomniałam... Bała się spotkania z tobą, więc chciałam ją jakoś rozweselić. Nie wiedziałam, że potraktuje to poważnie.

- Mam brać udział w tej dziwacznej grze?

- To nie będzie zbyt trudne. Wystarczy nie przerywać pannie Dolly.

-Nie podoba mi się to.

- Będziesz musiał się przyzwyczaić.

Kit nie znosiła błagać. Słowa więzły jej w gardle.

- Proszę. Ona nie ma dokąd pójść.

- Kit! Ja jej tutaj nie chcę!

- Mnie też nie chcesz, a pozwalasz mi zostać. Jedna osoba więcej to przecież żadna różnica.

- Ogromna.

Przybrał chytry wyraz twarzy.

- Dużo ode mnie żądasz. Co dostanę w zamian?

- Będę ujeżdżać konie - odparła szybko.

- Myślałem o czymś bardziej osobistym.

Kit zaschło w gardle.

- Będę cerować twoje ubrania.

- Trzy lata temu miałaś więcej wyobraźni. Oczywiście, nie byłaś wtedy tak... doświadczona jak teraz. Pamiętasz, że chciałaś zostać moją kochanką?

Kit oblizła suche wargi.

- Byłam zdesperowana.

- A teraz nie jesteś?

- Ta dyskusja jest wysoce nieprzyzwoita - udało jej się odpowiedzieć tonem Elviry Templeton.

- Dzisiejszy pocałunek był bardziej nieprzyzwoity.

Podszedł do niej. Kit pomyślała, że znowu zamierzają pocałować. Cain posłał jej kpiący uśmiech.

- Panna Dolly może zostać. Później ci powiem, jak mi się odwzajemniczysz.

Do późnej nocy leżał bez ruchu, wpatrując się w sufit. Co za grę z nią prowadził? A może to ona prowadziła tę grę? Dzisiejszy pocałunek uświadomił mu, że Kit nie jest już niewiniątkiem, ale czy była tak rozpasana, jak utrzymywał Woodward? Musi poczekać, żeby się przekonąć. Przypomniał sobie jej miękkie usta i wezbrało w nim pożądanie.

Jedno było pewne: czasy, kiedy mógł ją traktować jak dziecko, minęły bezpowrotnie.

9.

Mimo nieprzespanej nocy Kit wstała wcześniej. Włożyła bryczesy w kolorze khaki, które na pewno zgorszyłyby Elsbeth, i obcisłą, chłopcę koszulę. Żałowała, że koszula ma długie rękawy, ale gdyby nie zakryła rąk, szybko by się opaliły.

Wepchnęła koszulę w spodnie i zapięła guziki. Z przyjemnością wciągała buty z miękkiej, brązowej skóry, które ściśle przylegały do stóp i łydek. Były to jej pierwsze własne buty jeździeckie z prawdziwego zdarzenia i nie mogła się doczekać, żeby je wypróbować.

Włosy zaplotła w warkocz. Na skroniach i koło uszu, w które włożyła srebrne kolczyki, odstawały pojedyncze loczki. Na głowie miała czarny filcowy kapelusz z niedużym rondem i cienkim skórzanym paskiem pod brodą.

Kiedy skończyła się ubierać, spojrzała w lustro i zmarszczyła brwi. Nawet w męskim stroju nikt nie wzięłby jej za chłopca. Miękki materiał opinał jej piersi, a krój spodni podkreślał kobiece biodra.

Nie szkodzi. Tak ubrana będzie jeździć tylko po polach Risen Glory. Na każdą inną okazję włoży amazonkę, mimo że tak bardzo tego nie lubi. Skrzywiła się, kiedy pomyślała o damskim siodle. Używała go tylko w czasie nielicznych przejażdżek po Central Parku. Nienawidziła go, bo pozbawiało ją poczucia mocy. Czuła się na nim niezgrabnie i miała kłopot z utrzymywaniem równowagi.

Wyszła z domu cicho, bez śniadania i porannej pogawędki z Sophronią. Przyjaciółka przyszła wieczorem do jej pokoju. Uprzejmie słuchała opowieści Kit, nie mówiąc wiele o sobie. Powtarzała plotki o sąsiadach, ale nie zwierzała się ze swojego własnego życia. Dopiero kiedy Kit zapytała o Magnusa, stała się znowu dawną Sophronią, hardą i zgryźliwą.

Sophronia była dla Kit zagadką. Wydawało się, że chowa do niej jakąś urazę. Może tak było zawsze, tylko wtedy Kit była za mała, żeby to zauważyć? Pod chłodem Sophronii Kit wyczuwała jednak przywiązanie i miłość.

Przechodząc przez podwórze za domem, Kit nabrała powietrza w płuca. Pachniało tak, jak pamiętała: dobrą, tłustą ziemią i świeżym nawozem. Wyczuła też zapach skunksa, z daleka nie aż tak nieprzyjemny. Merlin przybiegł, żeby się z nią przywitać; Kit podrapała psa za uchem i rzuciła mu patyk.

Konie nie wyszły jeszcze na padok, więc zajrzała do nowej stajni zbudowanej na ruinach poprzedniej, spalonej przez Jankesów. Buty stuknęły głośno na kamiennej podłodze zamiecionej prawie tak dokładnie jak wtedy, gdy robiła to Kit.

Z dziesięciu boksów tylko cztery były zajęte. W dwóch stały konie do powozu. Kit przyjrzała się pozostałym i od razu zrezygnowała ze starej gniadej klaczy, która wydała jej się zbyt łagodna. Odpowiednia dla spokojnego jeźdźcy, nie dla niej.

Ostatni koń ją zachwyił. Czarny jak smoła wałach z białą strzałką na głowie był duży, prawie metr osiemdziesiąt, i silny, a oczy miał błyszczące i bystre.

Kit pogłaskała długą, elegancką szyję.

- Jak masz na imię?

Koń zarżał cicho i potrząsnął masywną głową.

Kit uśmiechnęła się.

- Myślę, że się zaprzyjaźnimy.

W drzwiach stajni stanął jedenasto- lub dwunastoletni chłopiec.

- Czy pani jest panną Kit?

- Tak. A ty jak się nazywasz?

- Samuel. Major kazał mi powiedzieć, żeby pani wzięła Lady.

Kit spojrzała powątpiewająco na klacz.

- Lady?

- Tak, proszę pani.

Kit gładziła jedwabistą grzywę karosza.

- Przykro mi, Samuelu, ale osiodłamy tego.

- To Bies, proszę pani. Major powiedział, żeby pani trzymała się od niego z daleka i jeździła na Lady, a jeśli wypuszczę panią ze stajni na Biesie, major zedrze ze mnie skórę i będzie mnie pani miała na sumieniu.

Kit rozżłościła ta ewidentna manipulacja. Nie wierzyła, by Cain mógł skrzywdzić Samuela, ale wołała tego nie sprawdzać. Spojrzała

tęsknie na Biesa - nie można było dla tego konia wymyślić lepszego imienia.

- Osiodłaj Lady - westchnęła. - Porozmawiam z panem Cainem.

Tak jak podejrzewała, Lady bardziej interesowało pastwisko niż galopy. Po kilku próbach zmuszenia jej do czegoś więcej niż lekkiego kłusa, Kit poddała się i zaczęła oglądać okolicę.

Prawie wszystkie chaty niewolników zostały zniszczone. Kit nie lubiła myśleć o tej części plantacji i cieszyła się, że domki zniknęły. Te, które ocalały, pomalowano i naprawiono. Przy każdym był ogródek warzywny, a przed drzwiami rosły kwiaty. Pomachała dzieciom bawiącym się w cieniu znajomego szakłaku.

Kiedy dojechała do pierwszego obsadzonego pola, zsiadła z konia i podeszła, żeby przyjrzeć się roślinom. Młode krzaczki bawełny obsypane były zwartymi pąkami. Spod nóg umknęła jej jaszczurka. Kit uśmiechnęła się. Było jeszcze za wcześnie, żeby wyrokować, ale wyglądało na to, że Cainowi szykują się niezłe zbiory. Przepęłniała ją duma zmieszana ze złością; to powinny być jej zbiory, nie jego.

Nagle wpadła w panikę. Plantacja prosperowała lepiej, niż sobie wyobrażała. A jeśli nie będzie miała dość pieniędzy, żeby ją wykupić? Musi się dostać do dokumentów. Starąta się nie dopuścić do siebie myśli, że Cain mógłby nie chcieć odsprzedać Risen Glory.

Podeszła do Lady skubiącej młodą koniczynę i chwyciła wodze. Wsiadła na klacz i skierowała ją w kierunku stawu, nad którym dawniej spędzała letnie popołudnia. Zarośnięte wierzbą brzegi i czysta, przejrzysta woda pozostały niezmienione. Kit obiecała sobie, że się wykapie, jeśli nikogo nie będzie w pobliżu.

Podjechała do małego cmentarza, na którym leżała jej matka i dziadkowie, i zatrzymała się przy żelaznym płocie. Brakowało tylko ojca, pogrzebanego we wspólnej mogile w hrabstwie Hardin w Tennessee, niedaleko Shiloh. Rosemary pochowano samą, w odległym kącie cmentarza.

W ponurym nastroju skierowała się na południowy wschód, ciekawa przędzalni, o której wspominał Brandon. Zanim wyjechała zza ostatnich drzew, zobaczyła dużego kasztanka. Domyśliła się, że to Vandal, o którym opowiadał jej Samuel. Piękny koń, ale Kit wołała Apolla. Przypomniały jej się słowa Magnusa: „Major nie przywiązuje się do niczego - ani do koni. ani do miast, w których mieszka, ani do książek”.

Minęła drzewa i zobaczyła przędzalnię. Surową bawełnę zwykle wysyłano do Anglii, ale na krótko przed wojną garstka odważnych plantatorów pobudowała własne przędzalnie, w których z oczyszczonej ba-

wełny wytwarzano przędzę. Nawijano ją potem na szpule i tak wysyłano do angielskich tkalni, osiągając znacznie wyższe zyski. Pomysł ten po wojnie zdobywał coraz więcej naśladowców.

Kit stała przed wysokim na półtora piętra budynkiem z mnóstwem okien. Był mniejszy od tych na rysunkach, ale w Risen Glory wydawał się potężny i groźny.

Ze środka dochodziło stukanie młotków i głosy robotników. Trzech mężczyzn pracowało na dachu, a jeden wchodził po drabinie, niosąc na plecach stos dachówek.

Byli bez koszul. Jeden z nich wyprostował się i Kit zauważyła, jak na jego plecach prężą się mięśnie. Poznała go, chociaż był odwrócony tyłem. Podjechała bliżej i zsiadła z konia.

Krzepki mężczyzna pchający taczki zobaczył ją i trącił łokciem kolegę. Przystanęli, gapiąc się na Kit. Praca na budowie ustała, wszyscy wyszli na zewnątrz lub wyglądali ciekawie przez okna, patrząc na młodą kobietę w męskim ubraniu.

Cain zorientował się, że nagle zapadła cisza. Spojrzał z dachu w dół, ale zobaczył tylko kapelusze z płaskim rondem. Nie musiał widzieć twarzy, która była pod nim, żeby rozpoznać gościa. Szcupłe kobiece ciało w koszuli i bryczesach opinających długie nogi powiedziało mu wszystko.

Zszedł po drabinie na dół. Odwrócił się i przez chwilę obserwował Kit. Była piękna.

Poczuła, że się rumieni. Powinna była założyć skromny strój do jazdy konnej. Nie usłyszała jednak wymówek, których się spodziewała. Cain uśmiechnął się kąciakiem ust.

- Nawet w bryczesach nie wyglądasz już jak mój stajenny.

Drażnił ją jego dobry humor.

- Przestań się tak uśmiechać!

- Nie wolno?

- Nie! Ani do mnie, ani do nikogo! Wyglądasz wtedy niepoważnie. Twoja twarz zawsze powinna być ponura.

- Zapamiętam to.

Wziął ją za rękę i poprowadził do środka.

Budynek był prawie gotowy, ale jak dotąd zainstalowano tylko maszynę parową. Cain pokazywał jej biegnący pod sufitem pas transmisyjny i wrzeczona, ale Kit nie mogła się skupić. Jeśli chciał być jej przewodnikiem, to powinien założyć koszulę.

Przedstawił jej Jacoba Childsa, rudowłosego mężczyznę w średnim wieku, którego podkupił w jednej z tkalni w Providence. Kit uświadomiła

sobie, że w ciągu ostatnich kilku lat Cain nieraz przyjeżdżał na Północ oglądać tkalnie i ani razu nie wstąpił na pensję. Powiedziała mu to.

- Nie pomyślałem o tym - odparł jej zarzut.
- Jesteś beznadziejnym opiekunem.
- W tej kwestii masz rację.
- A gdyby pani Templeton mnie biła?
- To byś ją zastrzeliła. Byłem o ciebie zupełnie spokojny.

Zauważyła, że jest dumny z przędzalni, ale nie była w nastroju, żeby go chwalić.

- Chcę porozmawiać o Biesie.

Cain nie słuchał. Spojrzała po sobie, żeby zobaczyć, co go rozprasza, i zorientowała się, że jej kragłości pod koszulą są bardziej widoczne w ostrym słońcu niż w półmroku budynku. Stała więc w cieniu i wskazała oskarżycielsko na Lady spokojnie zjadającą kwiaty z klombu.

- Ten koń jest prawie tak stary jak panna Dolly. Chcę jeździć na Biesie!

Cainowi udało się przenieść wzrok na jej twarz.

- Jest zbyt narowisty dla kobiety. Lady ma swoje lata, ale musi ci wystarczyć.

- Jeżdżę na takich koniach jak Bies, od kiedy skończyłam osiem lat.
- Przykro mi, Kit. Bies nawet mnie sprawia kłopot.

- Ale nie mówimy o tobie - odparła Kit z miną niewiniątka - tylko o kimś, kto umie jeździć konno.

Cain był bardziej rozbawiony niż zły.

- Tak uważasz?

- Przekonajmy się. Ty na Vandalu, ja na Biesie. Wystartujemy spod bramy koło stajni, miniemy staw i lasek klonowy i skończymy tu.

- Nie dam się namówić.

- Ja cię nie namawiam. - Kit uśmiechnęła się słodko. - Ja cię wyzywam.

- Lubisz niebezpieczne życie, prawda, Katharine Louise?

- Nie ma innego.

- A więc dobrze. Pokaż, co potrafisz.

Będzie się z nią ścigał! Kit triumfowała w duchu. Cain włożył koszulę i wydał polecenia stojącym dookoła robotnikom. Wcisnął na głowę znoszony kapelusz.

- Spotkamy się przy stajni!

Wsiadł na Vandala i ruszył spod przędzalni, nie oglądając się na nią.

Lady pokonała drogę powrotną odrobinę szybciej, ale i tak przybyły długo po Cainie. Bies był już osiodłany, a Cain sprawdzał popręg. Kit

zsiadła i rzuciła wodze Samuelowi, potem podeszła do Biesa i pogładziła go po pysku.

Cain spytał krótko:

- Gotowa?

- Tak.

Podsadził ją lekko na siodło. Bies, czując ciężar na grzbiecie, stanął dęba i z trudem zdołała nad nim zapanować. Cain wsiadł na swojego Vandola.

Ruszyli spod stajni. Kit zachwyciła się ujarzmioną mocą zwierzęcia, którego dosiadła. Niechętnie ściągnęła wodze, kiedy dotarła do bramy.

- Kto pierwszy dojedzie do przędzalni, ten wygrywa - powiedziała do Caina.

Kciukiem uniósł brzeg kapelusza.

- Nie będę się z tobą ścigać.

- Dlaczego?

Kit chciała wyzwać go na pojedynek. Chciała się z nim zmierzyć w dziedzinie, w której wzrost i waga nie dadzą mu przewagi. Na koniu różnice między mężczyzną a kobietą zacierały się.

- Już mówiłem.

- Czyżby bohater spod Missionary Ridge bał się przegrać przed swoimi ludźmi?

Cain zmrużył oczy.

- Nie muszę niczego udowadniać. Nie namówisz mnie.

- To po co tu przyjechałeś, jeśli nie miałeś zamiaru się ścigać?

- Przechwalałaś się. Chcę zobaczyć, co naprawdę umiesz.

Oparła rękę na łęku siodła i uśmiechnęła się.

- To nie przechwałki. To fakty.

- Słowa nic nie kosztują. Pokaż, co potrafisz wykrzesać z tego konia.

Cain ruszył, zanim zdążyła odpowiedzieć. Vandal z lekkiego kłusa przeszedł w krótki galop.

Cain jeździł zadziwiająco dobrze jak na tak postawnego mężczyznę. Siedział w siodle jak przyrośnięty. Kit pomyślała, że jest równie dobrym jeźdźcem, jak ona. Włączyła to w swój rejestr pretensji.

Pochyliła się nad szyją Biesa.

- Ruszaj, malutki. Pokażemy mu!

Z początku jechała obok Caina, ale gdy poczuła, że Bies wrywa się do przodu, nie wstrzymywała go. Zostawiła za sobą pola uprawne i wjechała na łąkę. Przecięła ją ostrym galopem, zająminając o całym świecie

- czas się zatrzymał, nie było bezwzględnego mężczyzny o zimnych, szarych oczach, nic się między nimi nie wydarzyło.

W oddali pojawił się niski żywołot. Bez wysiłku skierowała Biesa w tę stronę i lekko wzięła przeszkodę.

Niechętnie zwołniła i zawróciła. Na dzisiaj wystarczy. Jeśli sforsuje konia, Cain będzie miał pretekst, żeby zabronić jej dosiadać Biesa.

Cain czekał na skraju łąki. Kit zatrzymała konia obok niego i rękawem otarła pot ze skroni.

- Niezły pokaz - stwierdził Cain. - Czy w Nowym Jorku miałaś okazję jeździć konno?

- Trudno to nazwać jazdą - odparła Kit.

- To jutro będziesz poobcierana jak diabli.

Cain skierował Vandala w stronę stajni. Tylko tyle miał jej do powiedzenia? Kit dogoniła go.

- No i...

- I co?

- Pozwolisz mi na nim jeździć?

- Czemu nie. Ale zabraniam ci zakładać mu damskie siodło.

Kit uśmiechnęła się i z trudem opanowała chęć, żeby zawrócić i jeszcze raz pogalopować.

Dotarła do stajni przed Cainem i zsiadła z konia.

- Porządnie się nim zajmij - powiedziała do Samuela, który podbiegł złapać wodze - i okryj go derką. Nieźle dostał w kość.

Cain usłyszał jej polecenie.

- Samuel jest prawie tak dobrym stajennym, jak ty. Ale w bryczesach wygląda znacznie mniej interesująco.

Od dwóch i pół roku Sophronia mściła się na Magnusie, że wówczas stanął między nią a Cainem. Teraz drzwi pokoju, w którym miała biuro, otworzyły się.

- Szukałaś mnie. Czy coś się stało?

Od kiedy Magnus pracował jako nadzorca w Risen Glory, zmienił się: zmeźniał i poruszał się bardziej sprężysto. Miał gładką i przystojną twarz, która jednak w obecności Sophronii tężała.

- Nic się nie stało - odparła oschle Sophronia. - Jedziesz po południu do miasta, więc chciałam, żebyś mi przywiózł różne rzeczy.

Podarła mu listę, nie ruszając się zza biurka.

- Przerwałaś mi pracę tylko po to, żeby zrobić ze mnie gońca? Nie mogłaś posłać Jima?

- Nie przyszło mi to do głowy - odparła z satysfakcją, że wytrąciła go z równowagi. - Poza tym Jim jest zajęty. Myje okna.

- I, oczywiście, mycie okien jest ważniejsze niż bawełna, która utrzymuje tę plantację?

- Ależ masz wysokie mniemanie o sobie! Myślisz, że plantacja się rozpadnie, jeśli pan nadzorca zejdzie na chwilę z pola?

Żyła na czole Magnusa zaczęła pulsować. Oparł rękę na biodrze i powiedział:

- Ostatnio strasznie zadzierasz nosa, kobieto. Ktoś powinien ci go utrzeć, zanim wpakujesz się w kłopoty!

- O, tym kimś na pewno nie będziesz ty!

Sophronia wyprostowała się dumnie i wy maszerowała do holu.

Magnus był bardzo spokojnym człowiekiem, niełatwo się denerwował, teraz jednak chwycił ją za ramię. Sophronia sapnęła gniewnie, gdy wciągnął ją z powrotem do pokoju i zatrzasnął drzwi.

- Pewnie! Ciągłe zapominam, że panna Sophronia jest lepsza od reszty czarnuchów!

Przycisnął ją swym ciałem do drzwi.

- Puść mnie! - krzyknęła.

Chciała go odepchnąć, ale mimo podobnego wzrostu Magnus był silniejszy. Równie dobrze mogła próbować przesunąć dąb w ogrodzie.

- Puszczaj mnie, słyszysz?!

Magnus albo nie dosłyszał przerażenia w jej głosie, albo dokuczyła mu o jeden raz za dużo. Przycisnął jej ramiona do drzwi.

- Panna Sophronia myśli, że skoro zachowuje się jak biała, to któregoś dnia rzeczywiście taka się stanie. I wtedy nie będzie już musiała zadawać się z czarnuchami, co najwyżej będzie im wydawać rozkazy.

Odwróciła głowę i zacisnęła powieki, próbując nie słyszeć szyderstwa. Nagle głos Magnusa złagodniał, choć słowa ciągle były twarde.

- Gdyby panna Sophronia była biała, nie musiałaby się przejmować jakimś czarnym, który chciałby, żeby była jego kobietą i miała z nim dzieci. Nie przejmowałaby się kimś, kto chce ją przytulić, kiedy czuje się samotna. Nikim takim nie zwracałaby sobie głowy. Jest przecież taka wytworna. I taka biała!

-Dosyć!

Sophronia zakryła uszy.

Magnus cofnął się krok, ale ona nie mogła się ruszyć. Stała sztywno z rękami przy uszach, a po jej twarzy ciekły łzy.

Ze stłumionym jękiem Magnus przyciągnął ją do siebie, głaszcząc i szepcząc do ucha uspokajającym tonem.

- Nie płacz, maleńka. Przepraszam, nie chciałem cię skrzywdzić. Ciiicho. Wszystko będzie dobrze.

Sophronia rozluźniła się powoli i na chwilę przywarła do niego. W ramionach Magnusa było tak spokojnie i bezpiecznie.

Bezpiecznie? Pod wpływem nagłej myśli wyrwała się z jego objęć i stanęła dumnie wyprostowana, chociaż łyzy dalej ciekły jej po policzkach.

- Nie masz prawa tak do mnie mówić. Myślisz, że mnie znasz, a naprawdę nic o mnie nie wiesz!

Magnus nie dawał za wygraną.

- Wiem za to, że wdzięczysz się do każdego bogatego białego, a na czarnych mężczyzn nawet nie spojrzysz!

- A co taki czarny może mi dać? - zapytała gniewnie. - Nie ma żadnej władzy! Moja matka, babka, prababka dobrze to wiedziały - biali zawsze zakradali się nocą do ich łóżek, a czarni mężczyźni nie mogli ich powstrzymać. Byli bezsilni, kiedy zabierano im dzieci i kiedy ich kobiety były przywiązywane nago do słupa i biczowane do krwi. Nie wspominaj mi o czarnych!

Magnus znów chciał ją objąć, ale zawahał się i podszedł do okna.

- Czasy się zmieniły - rzekł powoli. - Wojna się skończyła. Nie jesteś już niczyją własnością. Jesteśmy wolni, możemy głosować.

- Głupi jesteś, Magnus. Wierzysz w to, co mówią biali? To tylko puste słowa.

- Jesteś teraz obywatelką tego kraju. Chroni cię prawo.

- Chroni! - powiedziała Sophronia pogardliwie. - Czarna kobieta jest bezpieczna tylko wtedy, gdy sama sobie to bezpieczeństwo zapewni!

- Sprzedając ciało bogatemu białemu?

- A co mam innego? - Chłostała go tymi słowami. - Mężczyźni od wieków używali nas, nie dając w zamian nic oprócz gromady dzieci, których nie byliśmy w stanie ochronić. Ja chcę więcej i będę to mieć! Dom, ubrania i dobre jedzenie. I będę bezpieczna!

Magnus wzdrygnął się.

- Będiesz niewolnicą, tylko innego rodzaju.

Sophronia wytrzymała jego spojrzenie.

- Nie jestem niewolnicą, kiedy sama wybieram i ustalam warunki. I dobrze wiesz, że gdyby nie ty, to już dawno miałabym to, czego pragnę!

- Cain by ci tego nie dał.

- Mylisz się. Gdybyś się nie wtrącał, dostałabym wszystko, o co bym poprosiła.

Magnus położył rękę na rzeźbionym oparciu kanapy pokrytej różowym adamaszkiem.

- Nikogo na świecie tak nie cenię, jak Caina. Uratował mi życie i skoczyłbym za nim w ogień. Jest prawy i uczciwy, nigdy nie każe ludziom robić czegoś, czego nie robiłby sam, i za to go szanują. Ale jest twardy wobec kobiet, Sophronio. Żadnej nie udało się go ujarzmić.

- Pożądał mnie, Magnusie. I gdybyś nie wpadł wtedy do pokoju, dałby mi wszystko, czego bym zapragnęła.

Magnus podszedł i dotknął jej ramienia. Skuliła się instynktownie, chociaż jego dotyk był dziwnie przyjemny.

- A czy umiałabyś ukryć to drżenie, które cię przebiega przy najbliższym dotknięciu? Nawet jeśli byłby biały i bogaty, czy potrafiłabyś zapomnieć, że to mężczyzna?

Poznał najgorszy z jej koszmarów. Odwróciła się i ruszyła na oślep w stronę biurka. Kiedy miała już pewność, że głos jej nie zdradzi, powiedziała zimno:

- Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. Jeśli nie przywieziesz mi tych rzeczy, wyślę Jima.

Nie sądziła, że odpowie, ale Magnus po chwili skinął głową.

- Zrobię ci te zakupy.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Sophronia wpatrywała się w otwarte drzwi i miała ochotę rzucić się za nim. Po chwili jednak to pragnienie minęło. Magnus może i jest nadzorcą plantacji, ale nie zapewni jej bezpieczeństwa.

10

Następnego ranka Kit schodziła po schodach obolała. Miała na sobie skromną suknię z jasnofioletowego woalu i biały szal z delikatnej koronki, a w ręce trzymała miękki, słomkowy kapelusz.

Przy drzwiach czekała na nią panna Dolly.

- Wyglądasz jak z obrazka, ale zapnij ten guzik na rękawiczce, moja miła, i wygładź spódnice.

Kit uśmiechnęła się i wykonała polecenie.

- Pani też pięknie wygląda.

- Och, dziękuję, kochaniutka. Staram się, chociaż jest mi coraz trudniej. Młodość jest największą ozdobą. Ale ty! Żaden dżentelmen nie

będzie mógł się skupić na mszy, bo wyglądasz jak wielkanocne ciasteczko gotowe do schrupania.

- Na sam widok robię się głodny - usłyszały głos za sobą.

Kit wypuściła wstążki kapelusza, które usiłowała zawiązać pod brodą.

Cain stał w drzwiach biblioteki. Ubrany był w perłowoszary surduty, czarne spodnie i kamizelkę. Fular w kolorze burgunda w delikatne prążki wyraźnie odcinał się od białej koszuli.

Kit zmrużyła oczy, widząc go w oficjalnym stroju.

- Dokąd się wybierasz?

- Do kościoła, rzecz jasna.

- Nie prosiliśmy, żebyś z nami jechał.

Panna Dolly chwyciła się za głowę.

- Katharine Louise Weston! Jestem oburzona! Jak możesz tak niegrzecznie zwracać się do generała? To ja poprosiłam, żeby nam towarzyszył. Proszę jej wybaczyć, generale. Za długo jeździła wczoraj konno i ledwo mogła się ruszać, kiedy wstała. Dlatego tak zrzędzi.

- Och, jakże mi przykro.

Jego rozbawione oczy przeczyły słowom wyrażającym współczucie.

Kit szarpnęła wstążki.

- Nie zrzędzę.

Ręce jej się trzęsły i nie mogła porządnie zawiązać kokardy.

- Panno Calhoun, może jej pani pomoże, zanim porwie te wstążki na strzępy.

- Oczywiście, generale. Podejdz, kochanie. Unieś brodę.

Kiedy kokarda prezentowała się już odpowiednio, podeszli do powozu.

Kit zaczekała, aż Cain pomoże pannie Dolly wsiąść, po czym syknęła:

- Założę się, że wcześniej twoja noga nie powstała w tym kościele.

Może zostaniesz w domu?

- Nie ma mowy. Za nic nie odmówię sobie przyjemności oglądania twojego spotkania z szanownymi mieszkańcami Rutheford.

- Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

Przez kolorowe witraże sączyło się światło i padało na pochylone głowy wiernych. W Rutheford wierzono, że to cud, iż okna przeżyły najazd tego diabła wcielonego, Shermana.

Kit czuła się nieswojo w kosztownym stroju między kobietami w wyblakłych sukniach i niemodnych czepkach. Postara się więcej nie zapomnieć o biedzie panującej w okolicy.

Pomyślała o swoim prawdziwym kościele, baraku z desek niedaleko Risen Glory, który służył jako dom modlitwy niewolnikom z okolicznych plantacji. Garrettowi i Rosemary nie chciało się jeździć co tydzień do kościoła w Rutheford, więc Sophronia zabierała Kit ze sobą. Twierdziła, że dziecko powinno słuchać Słowa Bożego.

Kit była bardzo przywiązana do tamtego kościoła i nie mogła się powstrzymać od porównywania dzisiejszej statecznej celebry z radosną mszą zapamiętaną z dzieciństwa. Sophronia na pewno jest tam teraz z Magnusem i innymi.

Spotkanie Kit z Magnusem było bardzo oficjalne. Ucieszył się, że ją widzi, ale Kit była teraz dorosłą, białą kobietą, a on czarnym mężczyzną i ich dawna zażyłość minęła bezpowrotnie.

Patrzyła, jak mucha leniwie kręci w powietrzu ósemki. Ukradkiem spojrzała na Caina - wpatrywał się w pulpity z nieodgadzionym wyrazem twarzy. Na szczęście panna Dolly siedziała między nimi, inaczej Kit miałyby zmarnowany ranek.

Był jednak ktoś, kto nie studiował pulpitu tak uważnie. Kit posłała Brandonowi lekki uśmiech i schyliła głowę tak, że rondo kapelusza zasłoniło jej twarz. Zanim wyjdą z kościoła, postara się zamienić z nim parę słów. Ma tylko miesiąc i nie może zmarnować ani jednego dnia.

Po skończonej mszy otoczył ją tłum sąsiadów. Wszyscy chcieli się przekonać, czy rzeczywiście pensja tak bardzo ją odmieniła.

- Zmieniłaś się, Kit Weston.
- Jesteś prawdziwą damą.
- Doprawdy, twój własny ojciec by cię nie poznał.

Parafianie mieli dylemat. Witali Kit, a to znaczyło, że muszą też przywitać się z jej jankeskim opiekunem, którego dotąd skrupulatnie ignorowali.

Powoli jeden po drugim szacowni mieszkańcy Rutheford pozdrowili go skinieniem głowy. Ktoś spytał o zbiory, Della Dibbs podziękowała za datek dla Towarzystwa Biblijnego. Clement Jakes chciał się dowiedzieć, czy jego zdaniem wkrótce zaczną padać. Konwersacje były wstrzemięźliwe, ale stało się jasne, że Baron Cain przestał być traktowany jak wyklęty. Kit podejrzewała nawet, że mieszkańcy chętnie go przyjmą do swego grona, żeby mieć o kim plotkować, i do głowy im nie przyjdzie, że Cain może nie pragnąć ich towarzystwa.

Z dała od tłumy, przyglądając się tej scenie z ironicznym uśmiechem, stała kobieta. Była tu nowa. Zaledwie od trzech miesięcy mieszkała w Rutheford w dużym domu z cegły, ale wiedziała już prawie wszystko o Baronie Cainie. Nie spodziewała się tylko, że jest aż taki przystojny.

Veronica Gamble urodziła się w Charlestonie. Kiedy była niespełna osiemnastoletnią panną, wyszła za malarza portrecistę, Francis Gamble'a. Przez następne czternaście lat dzielili swój czas między Florencję, Paryż i Wiedeń, gdzie Francis malował pochlebne portrety żon i dzieci przedstawicieli arystokracji, otrzymując za nie niebotyczne honoraria.

Po śmierci męża zimą zeszłego roku Veronica stała się kobietą zamożną i zapragnęła wrócić do Karoliny Południowej, do ceglanego domu, który jej mąż odziedziczył po rodzicach, i tu zastanowić się nad przyszłością.

Pani Gamble rzucała się w oczy. Miała lśniące, kasztanowe loki, które spadały miękko na kark. Kontrastowały z nimi oczy, prawie tak zielone, jak jej modny kaftan. Wydatna dolna warga dodawała jej twarzy zmysłowości.

Uważano ją za piękność, choć miała trochę za długi nos i odrobinę kanciaste rysy. Mężczyźni nie dostrzegali jednak tych mankamentów, bo była inteligentna, błyskotliwa i patrzyła na świat z przymrużeniem oka.

Wolno podeszła do drzwi, gdzie wielebny Cogdell żegnał wiernych.

- Pani Gamble, cieszę się, że pani przyszła. Chyba nie poznała pani jeszcze panny Dorothei Calhoun? A to pan Cain z Risen Glory. Gdzie się podziała Katharine Louise? Ją też powinna pani poznać.

Veroniki nie interesowała panna Calhoun ani jakaś Katharine Louise. Skupiła się wyłącznie na pociągającym mężczyźnie stojącym koło pastora. Z wdziękiem pochyliła głowę.

- Wiele o panu słyszałam, panie Cain. Sądząc z opowieści, myślałam, że zije pan ogniem.

Rawlins Cogdell spojrział na nią z dezaprobatą, ale Cain się roześmiał.

- Ja, niestety, nie miałem tyle szczęścia i nic nie wiem o pani.

Veronica wsunęła mu rękę pod ramię.

- Temu łatwo możemy zaradzić!

Kit słyszała śmiech Caina, ale była zajęta Brandonem. Jego regularne rysy wydawały jej się teraz bardziej pociągające, a kosmyk włosów opadający na czoło - uroczy.

Stanowili z Cainem dokładne przeciwieństwo. Brandon był uprzejmy i nigdy z niej nie kpił, dżentelmen pod każdym względem.

Przyjrzała się jego ustom. Ciekawe, jak całuje? Na pewno delikatnie, nie rzuciłby się na nią jak Cain.

- Często o pani myślałem, od kiedy spotkaliśmy się w Nowym Jorku.

- Pochlebia mi pan.

- Czy nie wybrałyby się pani jutro na przejażdżkę? Bank zamykają o trzeciej. Mógłbym być w Risen Glory w ciągu godziny.

Kit spojrzała spod rzęs.

- Z przyjemnością, panie Parsell.

-A zatem do jutra.

Odwrociła się z uśmiechem i zobaczyła kilku młodych ludzi czekających cierpliwie, żeby zamienić z nią choć słowo.

Zauważyła, że Cain pograżony jest w rozmowie z miedzianowłosa pięknoscią. Uderzyło ją, że ta kobieta uważnie mu się przygląda. Żałowała, że Cain nie patrzy w jej stronę i nie widzi, jakie Kit ma powodzenie.

Panna Dolly prowadziła ożywioną rozmowę z pastorem i jego żoną. Cogdellowie wyglądali na zdezorientowanych, więc Kit pośpiesznie do nich podeszła.

- Czy możemy już jechać, panno Dolly?

- Oczywiście, kochana. Nie widziałam wielebnego Cogdella i jego drogiej żony całe wieki. Cóż to byłoby za radosne spotkanie, gdyby nie ostatnie wypadki pod Bull Run. Ale to nie jest rozmowa dla ciebie, małeńka. Nie musisz sobie niczym zawracać Swojej ślicznej główki.

Cain też chyba wyczuł nadciągającą katastrofę, bo nagle pojawił się u boku Kit.

- Panno Calhoun, powóz czeka.

- Dobrze, generale.

Dolly zastłoniła usta dłonią.

- To znaczy, majorze, oczywiście. Och, jaka jestem głupia...

Czmychnęła do powozu, powiewając wstążkami.

Pastor i jego żona patrzyli za nią zdumieni.

- Myśli, że jestem generałem Lee i ukrywam się w Risen Glory - rzekł otwarcie Cain.

Rawlins Cogdell nerwowo splatał szczupłe, blade dłonie.

- Majorze, Katharine, proszę mi wybaczyć. Kiedy moja żona polecała Dolly na przyzwoitkę, nie mieliśmy pojęcia...

Piwnie oczy Mary Cogdell były pełne skruchy.

- To moja wina. Słyszeliśmy, że nie ma środków do życia, ale nie wiedzieliśmy, że nie jest przy zdrowych zmysłach.

Kit chciała zaprotestować, lecz Cain wtrącił szybko:

- Proszę się nie martwić o pannę Calhoun. Jest jej u nas dobrze.

- W tej sytuacji Katharine Louise absolutnie nie może zostać w Risen Glory! - stwierdził zdecydowanie pastor Cogdell. - Panna Dolly nie jest odpowiednią przyzwoitką. Na pewno rozmawiała dziś z wieloma

osobami. Do wieczora całe hrabstwo wszystkiego się o niej dowie. Będą okropnie plotkować, panie Cain. Jest pan stanowczo za młody...

- Jestem opiekunem Kit!

- Ale nie jesteście spokrewnieni!

Mary Cogdell mocniej ścisnęła w dłoniach swój modlitewnik.

- Katharine, jesteś niewinną młodą kobietą i na pewno nie zdajesz sobie sprawy, jak ludzie to oceniają. Nie możesz mieszkać w Risen Glo-y

- Dziękuję za troskę, ale nie było mnie w domu trzy lata i na razie nie zamierzam wyjeżdżać - powiedziała Kit.

Pani Cogdell bezradnie spojrzała na męża.

- Zapewniam państwa, że panna Dolly jest bardzo wyczulona w kwestii dobrych manier - odezwał się Cain. - Szkoda, że nie widzieliście, jak dokładnie skontrolowała dziś rano strój Kit.

- Ale jednak...

Cain skłonił się.

- Pastorze, pani Cogdell. państwo pozwolą, że się pożegnamy.

Wziął Kit pod rękę i poprowadził w kierunku powozu, w którym czekała panna Dolly.

- Czuję, że będą kłopoty - orzekł pastor, patrząc za odjeżdżającymi.

Kit usłyszała chrzęst żwiru i domyśliła się, że przyjechał Brandon. Podbiegła do wysokiego lustra. Zobaczyła w nim skromną młodą damę w amazonce.

Rano, kiedy niebo miało jeszcze kolor wnętrza muszelki, jeździła po polach na Biesie. Poranny dziki galop różnił się jednak od tego, co czekało ją teraz.

Strój do jazdy świetnie leżał. Żakiecik, uszyty z purpurowego sukna w najlepszym gatunku i obszyty galonem, podkreślał smukłą talię. Obfita spódnica ozdobiona była szeroką, czarną lamówką we wzór w kształcie połączonych liter L.

Upewniła się, że nigdzie nie zwisa zapomniana nitka. Cztery duże guziki przy żakieciku były zapięte, a damski cylinder z krótką purpurową woalką nałożony prosto. Spojrzała na włosy związane w ciasny węzeł i lśniące buty.

Zadowolona ze swego wyglądu wzięła szpicrutę i wyszła, nie zaprzatając sobie głowy rękawiczkami z czarnej cielęcej skóry, które czekały w pudełku. Doszła do holu i zdenerwowała się, widząc, że na podjeździe Brandon rozmawia z Cainem.

Brandon miał na sobie kapelusz, surduty, spodnie i kamizelkę, nad którą widać było krawat. Ubranie było znoszone i niemodne, ale czyste i uprasowane.

Cain stał niedbale z gołą głową, w koszuli z podwiniętymi rękawami i zabłoconych butach. Jedną rękę trzymał w kieszeni, a nogę oparł na dolnym schodku. Brandon emanował kulturą i dobrym pochodzeniem. Cain zaś wyglądał jak prostak.

Ścisnęła szpicrutę i ruszyła przed siebie. Lady z damskim siodłem na grzbiecie czekała cierpliwie koło schodka do wsiadania.

Kit rzuciła Cainowi zimne spojrzenie i uśmiechnęła się do Parsella. Podziw w jego oczach upewnił ją, że nie na darmo włożyła tyle wysiłku w swój wyjazd.

- Uważaj, Kit - powiedział z ironią Cain. - Lady bywa narowista. Kit zacisnęła usta.

- Myślę, że sobie poradzę - odparła.

Brandon podszedł, żeby pomóc jej wsiąść, ale Cain był szybszy.

- Pani pozwoli.

Brandon odwrócił się niezadowolony i wsiadł na swojego konia. Cain silnie ujął dłoń Kit. Kiedy już siedziała w siodle, Cain spytał, patrząc na jej niewygodną suknię:

- I kto tu jest hipokrytą?

Kit spojrzała na Brandona i rzuciła mu olśniewający uśmiech.

- Proszę nie jechać zbyt szybko, panie Parsell. Tak długo byłam na Północy, że wyszłam z wprawy.

Cain prychnął i odszedł, zostawiając Kit z miłym poczuciem, że tym razem ostatnie słowo należało do niej.

Brandon zaproponował, żeby pojechali do Holly Grove. Kit zauważyła, że Parsell ukradkiem obserwuje pola rozciągające się po obu stronach drogi. Miała cichą nadzieję, że robi już plany na przyszłość.

Holly Grove podpalili ci sami żołnierze, którzy tak łaskawie obeszlą się z Risen Glory. Po wojnie Brandon zastał tylko ruiny porośnięte dzikim winem i jeżynami. Ponieważ nie mógł spłacić kontrybucji, majątek został skonfiskowany i teraz dom stał pusty.

Zatrzymali się koło dawnej wędzarni. Brandon przywiązał konie, wziął Kit pod rękę i poprowadził w kierunku ruin. Jadąc, rozmawiali wesoło, teraz zapadło milczenie. Kit ogarnęło współczucie.

- Nic nie zostało - odezwał się po chwili Brandon. - Nic, w co wierzyliśmy i o co walczyliśmy.

Kit patrzyła na spustoszenia. Gdyby Rosemary nie zaprosiła jankeckiego porucznika do sypialni, Risen Glory wyglądałaby dziś tak samo.

- Jankesi śmieją się z nas - ciągnął Brandon - bo jesteśmy rycerscy i wierzymy w honor. Zabierają nam ziemię i nakładają takie podatki, że nie starcza na chleb. Wielka Odbudowa to kara boska. - Pokręcił głową.
- Co takiego zrobiliśmy, że spada na nas tyle nieszczęść?

Kit spojrzała w górę, na kominy sterczące w niebo jak dwa osmalone palce.

- Niewolnictwo - powiedziała. - Pokutujemy za to, że mieliśmy niewolników.

- Bzdury! Za długo przebywała pani wśród Jankesów, Kit. Niewolnictwo to stan dany od Boga. Wie pani, co mówi Biblia.

Kit wiedziała. Słyszała o tym aż nazbyt często w murzyńskim kościele podczas kazań, które wygłaszali biali duchowni przysyłani przez właściciele plantacji, aby przypomnieć niewolnikom o ich powinnościach. Kit pamiętała, że podczas takich kazań Sophronia siedziała koło niej blada i spięta, nie mogąc pogodzić tego, co słyszy, z wiarą w miłosiernego Jezusa.

Brandon poprowadził Kit z powrotem zarośniętą ścieżką. Wierzchowce pały się spokojnie na polance koło wędzarni. Kit usiadła na zwałonym pniu.

- Nie powinienem pani tu przywozić - powiedział Brandon.

- Dlaczego?

Parsell spoglądał na kikuty kominów.

- Ponieważ różnice między nami stały się jeszcze bardziej wyraźne.

- Doprawdy? Żadne z nas nie ma domu. Proszę pamiętać, że Risen Glory nie jest moja. Jeszcze nie.

Brandon przyglądał jej się uważnie. Kit skubała kawałek kory.

- Będę tu tylko miesiąc, potem Cain odeśle mnie do Nowego Jorku - dodała.

- Cierpnę na samą myśl, że mieszka pani pod jednym dachem z tym człowiekiem - powiedział Parsell, siadając koło niej na pniu. - Wszyscy, którzy przychodzili dziś do banku, mówili tylko o tym. Powiadają, że panna Calhoun nie jest wiele warta jako przyzwoitka. Niech pani będzie ostrożna. Cain nie jest dżentelmenem. Wydaje mi się co najmniej podejrzany.

Troska Brandona rozculiła ją.

- Proszę się nie martwić. Będę się miała na baczości.

Rozmyślnie przechyliła głowę w jego stronę i rozchyliła usta. Musiała go pocałować, żeby zmazać z warg i duszy piętno Caina. Pocałunek Barona rozpałił jej krew i musiała sobie udowodnić, że z Brandonem będzie tak samo.

Jego twarz ocieniało rondo kapelusza, ale Kit widziała, że patrzy na jej wargi. Czekwała, żeby się zbliżył, ale Parsell nie poruszył się.

- Chcę, żebyś mnie pocałował - rzekła w końcu.

Jej bezpośredniość zaskoczyła Brandona. Zmarszczył brwi. Irytował ją takim zachowaniem, ale równocześnie podbił jej serce.

Podniosła rękę i zdjęła mu kapelusz. Zauważyła, że na czole został mu czerwony pasek.

- Brandonie, będę tu tylko miesiąc. Nie mam czasu na umizgi.

Nawet dżentelmen nie mógł się oprzeć tak wyraźnemu zaproszeniu. Parsell pochylił się.

W porównaniu z Cainem całował delikatnie. Usta miał suche i miękkie. I słodsze, bo pozostały kurtuazyjnie zamknięte. Tylko wąsy trochę kłuły.

Myślami była gdzie indziej i żeby się skoncentrować, zarzuciła mu rękę na szyję.

Czyżby miał wąskie ramiona? Chyba jej się tylko wydaje. Parsell całował jej policzki i szyję. Kit skrzywiła się, gdy połaskotał wężami wrażliwą skórę.

Brandon odskoczył.

- Przepraszam. Przestraszyłem panią?

- Ależ nie.

Była rozczarowana. Pocałunek niczego nie wyjaśnił. Dlaczego Brandon nie mógł zapomnieć o skrupułach i włożyć weń więcej uczucia?

Przywołała się do porządku. Parsell to dżentelmen, a nie jankeski barbarzyńca.

Brandon pochylił głowę.

- Kit, musi pani wiedzieć, że za nic w świecie nie chciałbym pani skrzywdzić. Proszę mi wybaczyć brak umiaru. O taką kobietę jak pani powinno się dbać i chronić przed brudami życia.

Kit była rozdrażniona.

- Nie jestem ze szkła.

- Wiem. Ale chcę, żeby pani wiedziała, że jeśli... zwiążemy się na stałe, nie będę pani nękał swoimi potrzebami.

To zrozumiała. Kiedy pani Templeton mówiła o „hańbie Ewy”, wspominała, że są mężczyźni, którzy bardzo szanują swoje żony, i kazała im się o takich mężów modlić.

Nagle ucieszyła się, że podczas pocałunku Brandona niczego nie czuła. Znaczyło to, że jej reakcja na Caina była tylko oszołomieniem po powrocie do domu. Teraz była pewna, że chce wyjść za Brandona. Był wymarzoną kandydatem na męża.

Poprosił, żeby włożyła kapelusz, bo oparzy ją słońce, i napomniął, że nie zabrała rękawiczek.

Kit uśmiechała się i flirtowała, doskonale odgrywając rolę piękności z Południa.

Przypomniała sobie, że był przyzwyczajony do cichych i skromnych kobiet, takich jak jego matka i siostry. Próbowwała powstrzymać swój niewyparzony język, ale i tak wprawiła go w zakłopotanie opiniami na temat prawa do głosowania dla Murzynów i Piętnastej Poprawki do konstytucji. Kiedy na jego czole pojawiły się dwie bruzdy, wiedziała, że musi mu coś wyjaśnić.

- Brandonie, jestem wykształconą kobietą. Mam własne zdanie i długo byłam zdana sama na siebie. Już się nie zmienię.

Bruzdy na czole nie zniknęły, kiedy Brandon odpowiedział z uśmiechem:

- Bardzo cenię pani niezależność, ale potrwa chwilę, nim do niej przywyknę. Różni się pani od kobiet, które znam.

- A dużo ich pan zna? - zapytała kokieteryjnie Kit.

Brandon roześmiał się.

- Niezła z pani psotnica, Kit.

Droga powrotna upłynęła im na plotkach i wspomnieniach. Kit obiecała wybrać się z Parsellem na piknik i poprosiła, żeby towarzyszył jej w niedzielę do kościoła. Kiedy stała na schodach i machała mu na pożegnanie, doszła do wniosku, że spędziła całkiem miły dzień.

Nie mogła jednak powiedzieć tego samego o wieczorze.

Przed kolacją panna Dolly poprosiła ją o pomoc przy sortowaniu guzików.

- Spójrz swoimi młodymi oczami. Gdzieś w tym pudełku mam piękny guzik z macicy perłowej. Muszę go znaleźć!

Kit nie odmówiła, chociaż, prawdę mówiąc, wołałaby przez chwilę zostać sama. Dowiedziała się przy tym, który guzik jest od której sukni, kiedy panna Dolly tę suknię nosiła, jaka była wtedy pogoda i co podano na stół.

W czasie kolacji Dolly zażądała zamknięcia okien, choć wieczór był ciepły, bo podobno w Charlestonie wybuchła epidemia dyfterytu. Cain nauczył się już z nią postępować i okna pozostały otwarte, ale aż do deseru zupełnie lekceważył Kit.

- Mam nadzieję, że Lady dobrze się sprawowała? - zapytał w końcu. - Biedne zwierzę wyglądało na przerażone, kiedy zobaczyło, że maszerujesz w tej szerokiej sukni. Bało się, że się uduśi.

- Nie jesteś nawet w połowie tak zabawny, jak sobie wyobrażasz. Mój strój to ostatni krzyk mody.

-I nie cierpisz go. Podzielał twoją niechęć. To powinno być zabronione.

Kit też tak myślała.

- Nonsens. Jest bardzo wygodny. A prawdziwa dama chce zawsze dobrze wyglądać.

- Czy tylko mi się wydaje, czy specjalnie mówisz z akcentem, żeby mnie zdenerwować?

- Jakżebym śmiała, majorze. Byłoby to z mojej strony bardzo nieuprzejme. Poza tym jesteś w Karolinie Południowej i to ty mówisz z akcentem.

Baron uśmiechnął się.

- Punkt dla ciebie. A jak się udała przejażdżka?

- Było cudownie. Niewielu jest mężczyzn, z którymi czuję się tak dobrze.

Jego uśmiech przygasł.

- Dokąd pojechaliście?

- Do Holly Grove. Wspominaliśmy dawne czasy.

- I tylko to robiliście?

- Tak, tylko to - odparowała Kit. - Nie wszyscy mężczyźni zachowują się w towarzystwie młodej kobiety, jak ty.

Panna Dolly skrzywiła się, słysząc ostry ton w głosie Kit.

- Katharine Louise, jeżeli skończyłaś deser, przejdziemy do salonu i pozwolimy generałowi spokojnie wypalić cygaro.

Wyprowadzanie Caina z równowagi sprawiało Kit zbyt wiele przyjemności, by z niej łatwo zrezygnować.

- Jeszcze nie skończyłam, panno Dolly. Proszę iść, mnie nie przeszkadza zapach cygara.

- A zatem opuszczę was...

Panna Dolly odłożyła serwetkę i stanęła obok krzesła, szykując się do tyrały.

- Moja droga, staraj się zachowywać odpowiednio. Wiem, że nie masz na myśli nic złego, ale czasem zwracasz się do generała zbyt obcesowo. Nie zapominaj, że jesteś mu winna szacunek.

Wypełniwszy swoją powinność, panna Calhoun wyfrunęła szybko z pokoju.

Cain patrzył za nią z rozbawieniem.

- Muszę przyznać, że panna Dolly zaczyna mówić z sensem.

- Jesteś okropny.

- Przyznaję. Nie jestem Brandonem Parsellem.

- Właśnie. Brandon to džentelmen.

Cain, odchyliwszy się do tyłu, spoglądał na Kit.

- Czy dziś też tak się zachowywał?

- Oczywiście!

- A ty? Czy okazałaś się prawdziwą damą?

To już nie było przekomarzanie się. Cain wciąż pamiętał wstrętny list Woodwarda. Dziwnie mocno zaboląło ją, że podważa jej niewinność.

- Skąd! To żadna przyjemność! Zrzuciłam suknie i oddałam się mu. To chciałeś usłyszeć?

Baron odsunął talerz.

- Wyrosłaś na piękną kobietę, Kit. I lekkomyślną. To niebezpieczna mieszkanka.

- Rozmawialiśmy z panem Parsellem o polityce, o tym jak rząd federalny traktuje Karolinę Południową.

- Już słyszę, jak wzdychacie, do czego ci Jankesi doprowadzili wasz biedny stan. Jak jęczycie nad okupacją- nie z waszej winy, oczywiście. Świetnie się dobraliście.

- Jak możesz być tak nieczuły? Ludziom pozabierano domy, stracili wszystkie oszczędności. Południe to drobinka kryształu zgniatana butem Jankesów.

- Pozwól, że przypomnę ci kilka bolesnych faktów, o których najwyraźniej zapomniałaś.

Cain podniósł karafkę z brandy, ale nie nalewał. Wepchnął korek w szyjkę.

- To nie Unia, tylko oddziały Południa ostrzelały Fort Sumter. Przegraliście wojnę, Kit. Przegraliście ją kosztem sześciuset tysięcy istnień ludzkich i chcecie, żeby wszystko było jak dawniej.

Spojrzał na nią z niesmakiem.

- Mówicie o niesprawiedliwościach Odbudowy, a moim zdaniem powinniście być wdzięczni, że rząd federalny obchodzi się z wami tak łaskawie.

- Łaskawie? - Kit skoczyła na równe nogi.

- Przecież uczyłaś się historii. - Cain też się poderwał. - Pokaż mi zwycięzców, którzy obeszlę tak łagodnie z podbitym krajem. Gdyby to nie były Stany Zjednoczone, mielibyśmy tysiące straconych za zdradę po Appomattox i pełne więzienia. Zamiast tego mamy ogólną amnestię, a południowe stany są ponownie przyjmowane do Unii. Mój Boże, Odbudowa to tylko lekki klaps za to, co zrobiliście.

Ręce Kit, zaciśnięte na oparciu krzesła, zbieleły.

- Szkoda, że nie polało się więcej krwi. Może wtedy byłbyś zadowolony. Dlaczego życzysz nam jeszcze więcej cierpienia?

- Nie życzę nikomu cierpienia. Zgadzam się nawet z łagodnością rządu. Ale wybacz - nie współczuję wam, że potraciliście majątki.
- Nawet cię to cieszy!
- Na moich rękach umierali ludzie - powiedział cicho Baron. - I nie wszyscy nosili niebieskie mundury.

Kit wybiegła. Wpadła do sypialni i rzuciła się na krzesło przed toaletką.

Cain niczego nie rozumiał! Widział wszystko oczami Jankesa. Pamiętała, w ilu kwestiach się mylił, ale jakoś trudno jej było przywołać poprzednią pewność siebie. Bolała ją głowa i chciało jej się spać, a miała jeszcze coś do zrobienia.

Późno w nocy, gdy wszyscy spali, zeszła do biblioteki, aby zajrzeć do oprawionych w skórę ksiąg z dokumentami plantacji.

W ciągu następnych tygodni do Risen Glory płynął strumień gości. W lepszych czasach kobiety założyłyby na wizytę najładniejsze suknie i przyjechały eleganckimi powozami. Teraz wysiadały z wozów ciągniętych przez konie robocze, w znoszonych sukniach i niemodnych czepkach, ale wciąż trzymały się prosto i dumnie.

Kit była świadoma, że jej garderoba różni się od tego, co noszą sąsiadki, i na pierwsze wizyty ubierała się skromnie. Wkrótce jednak okazało się, że kobiety są zawiedzione. Ciągłe napomykały o liliowej sukni, którą widziały w kościele, i pytały, czy kapelusz jest oblamowany taftą czy satyną. Plotka, przekazywana z ust do ust przez pokojówki i kucharki, głosiła, że Kit Weston ma przepiękne suknie wszelkiego kroju i koloru. Stęsknione za pięknem i modą kobiety chciały zobaczyć je wszystkie.

Kit nie miała serca im odmówić. Codziennie ubierała się inaczej, a kilka młodszych sąsiadek zaprosiła nawet do garderoby, żeby pokazać im stroje.

Suknie znaczyły więcej dla gości niż dla Kit. Były piękne, ale kłopotliwe: z haftkami, koronkami i draperiami, które wiecznie zahaczały się o meble. Kit chętnie oddałaby zieloną, muślinową młodą wdowie, która straciła męża pod Gettysburgiem, a tę z niebieskiego jedwabiu Prudence Wade, oszpeconej przez ospę. Damy z okolicy były jednak zbyt dumne i Kit nie odważyła się im tego zaproponować.

Nie tylko kobiety odwiedzały plantację. Przybyło też kilkunastu panów w różnym wieku, aby zaprosić Kit na przejażdżkę bryczką albo na piknik. Po mszy zawsze otaczał ją wianuszek dżentelmenów, którzy o mało się nie pobili o to, kto ma jej towarzyszyć do Chautauqua na wykład z frenologii. Udało jej się taktownie ich odprawić, mówiąc, że obiecała już Parsellowi i jego siostrom.

Brandon był dla niej uprzedzająco grzeczny, chociaż często wprawiała go w zakłopotanie. Trwał wiernie u jej boku i Kit była pewna, że wkrótce poprosi ją o rękę. Minęła już połowa wyznaczonego miesiąca i miała nadzieję, że Parsell nie będzie zwlekał.

Od czasu sprzeczki o Odbudowę widywała Caina rzadko, bo nadeszły maszyny do przędzalni i Baron musiał się nimi zająć. Ile razy Cain był w pobliżu, Kit czuła się dziwnie nieswojo. Kiedy wiedziała, że na nią patrzy, otwarcie flirtowała ze swymi adoratorami. Najczęściej nie zwracał na to uwagi, ale czasem twarz mu pochmurniała.

Wkrótce rozniosła się plotka, że Caina widziano z panią Gamble. Veronica była dla miejscowych tematem domysłów i spekulacji. Chociaż urodziła się na Południu, uważano ją za obcą z powodu ekstrawaganckiego trybu życia, jakie prowadziła po ślubie. Podobno mąż namalował ją nagą i ten bezwstydnny obraz wisiał w jej sypialni.

Pewnego wieczoru Kit zeszła na kolację i zaskoczona zobaczyła Caina czytającego gazetę w salonie. Pojawił się na kolacji po raz pierwszy od prawie tygodnia, co więcej, ubrany był bardzo starannie.

- Wychodzisz?

- Rozczaruję cię, ale nie. - Odłożył gazetę. - Będziemy mieć gościa na kolacji.

- Gościa? - Kit spojrzała na swoją ubłoconą suknię i poplamione atramentem palce. - Dlaczego mnie nie uprzedziłeś?

- Zapomniałem.

Kit miała fatalny dzień. Sophronia od rana zrzędziła i pokłóciły się o jakąś drobnostkę. Potem przyjechali Cogdellowie. Powtórzyli wszystkie plotki i upierali się, żeby Kit zamieszkała u nich, póki nie znajdzie się lepsza przyzwoitka. Kiedy już ich prawie przekonała, że panna Dolly doskonale wywiązuje się z tego zadania, ta ostatnia wpadła do pokoju i zaczęła nalegać, żeby przygotować bandażę dla rannych żołnierzy Południa. Kiedy pastor z żoną odjechali, Kit pomagała Sophronii czyścić chińską tapetę w jadalni skórkami od chleba, a potem rozlała atrament, kiedy pisała do Elsbeth. Wreszcie wyszła na spacer.

Nie przebrała się do kolacji, bo nikogo się nie spodziewała. Panna Dolly będzie ją łajac, ale zawsze to robi, nawet wtedy, kiedy Kit jest

ubrana bardzo starannie. Znowu rzuciła okiem na niebieskie palce i brudną suknię. Kit ubłociła się na polu, kiedy uklękała, żeby uwolnić pisklę wróbla z krzaków jeżyny.

- Muszę się przebrać - powiedziała.

Lucy zapowiedziała panią Gamble.

Veronica weszła do pokoju.

- Dzień dobry, Baronie.

Cain uśmiechnął się.

- Miło cię znowu widzieć, Veroniko.

Miała na sobie zieloną wieczorową suknię. Głęboki dekolot przysłaśniała czarna koronka, podkreślając jasną karnację. Włosy uczesała w misterne loki przytrzymywane wysoko przez półksiężyc z jedwabnych liści wawrzynu. Tak bardzo różniły się wyglądem, że Kit odruchowo wygładziła spódnice.

Kit zobaczyła, że Cain jej się przygląda. Porównując jej niechlujny ubiór z elegancką kreacją Veroniki, okazywał dziwne zadowolenie.

Dołączyła Panna Dolly, szczebiocząc:

- Och, nie wiedziałam, że mamy dzisiaj gości.

Baron Cain dokonał prezentacji. Veronica odpowiadała uprzejmie i z wdziękiem, wcale nie zmniejszając tym niechęci Kit. Była elegancka, pewna siebie i Kit czuła się przy niej nieokrzesana i nieatrakcyjna.

Veronica zabawiała Caina rozmową.

- ...że mój zmarły mąż i ja byliśmy zwolennikami Horacego Greeleya.

- Tego abolicjonisty? - Panna Dolly zadrzała.

-I wydawcy gazety - odpowiedziała pani Gamble. - Nawet w Europie jego artykuły popierające Unię cieszyły się dużym uznaniem.

- Ależ droga pani Gamble... - Panna Dolly poruszała ustami jak ryba. - Chyba nie chce pani powiedzieć... Myślałam, że pochodzi pani z Charlestonu.

- Tak, panno Calhoun, ale na szczęście udało mi się stąd wyrwać.

- Ojej... - Panna Dolly przycisnęła palce do skroni. - Zaczyna mnie boleć głowa. Na pewno nic dziś nie przełknę. Chyba pójdę do pokoju.

Kit patrzyła z przerażeniem, jak stara panna ucieka, zostawiając ją samą na placu boju. Dlaczego Sophronia nie uprzedziła, że Veronica ma przyjść? Kit mogłaby zjeść kolację u siebie. To oburzające, że miała jeść w towarzystwie kochanki Caina.

Poczuła ukłucie w sercu.

Veronica siedziała na sofie, a Baron obok niej, w fotelu z zielonokremowym obiciem. Powinien wyglądać śmiesznie na tak delikatnym

meblu, lecz prezentował się równie naturalnie, jak wówczas gdy dosiadał Vandala lub gdy pracował na dachu przędzalni.

Pani Gamble opowiadała o pewnym zabawnym zdarzeniu przy starcie balonu. Cain odrzucił głowę i śmiał się głośno, ukazując równe, białe zęby. Nie zwracali uwagi na Kit.

Wstała, nie mając ochoty dłużej patrzeć na tę parę.

- Zobaczę, czy kolacja jest gotowa.

- Chwileczkę, Kit.

Cain wstał z fotela i zbliżał się do niej. Miał w twarzy coś, co wzbudziło czujność Kit.

Omiotł wzrokiem pogniecioną sukienkę i wyciągnął rękę. Kit zrobiła krok do tyłu. Baron sięgnął do pasma włosów koło jednego ze srebrnych grzebyków i zdjął z niego mały listek.

- Znowu wchodziłaś na drzewa?

Kit poczerwieniała. Celowo traktował ją jak dziecko i upokarzał przed tą elegancką kobietą.

- Powiedz Sophronii, żeby zaczekała z kolacją, aż się przebierzesz.

Odwrócił się w stronę pani Gamble.

- Proszę wybaczyć mojej podopiecznej. Dopiero co skończyła szkołę i obawiam się, że nie wszystko jeszcze sobie przyswoiła.

Policzki Kit płonęły z upokorzenia, a w duszy jej wrzało; miała ochotę kłąć. Dlaczego to robił? Nigdy nie przejmował się brudnymi sukienkami czy zmierzwionymi włosami. Tak jak ona uwielbiał przestrzeń i świeże powietrze i nie miał cierpliwości do konwenansów.

Z trudem zachowała spokój.

- Proszę mi wybaczyć, pani Gamble, że nie zostanę na kolacji. Mnie też rozboleła głowa.

- Prawdziwa epidemia - zauważyła sarkastycznie Veronica.

Cain zacisnął szczęki.

- Mamy gościa, więc nawet z bólem głowy masz tu wrócić za dziesięć minut.

Kit parsknęła wściekle:

- Obawiam się, że się nie doczekasz.

- Nie prowokuj mnie!

- To nie wydawaj niewykonalnych poleceń!

Udało jej się z godnością wyjść z pokoju, ale kiedy znalazła się w holu, zadarła spódnicę i pędem wbiegła na schody. Wydawało jej się, że za plecami słyszy śmiech Veroniki.

Pani Gamble nie było do śmiechu. Przyglądała się Cainowi z pewnym smutkiem. Cóż, jeżeli sprawy tak się mają...

Miała nadzieję, że jej znajomość z Baronem przerodzi się w bliższy związek, ale właśnie się przekonała, że nieprędko to nastąpi. Powinna była wiedzieć, że z takim mężczyzną niełatwo żyć.

Współczuła Kit. Dziewczyna była piękna, ale niedoświadczona i nie rozumiała, dlaczego Baron ją upokorzył. Nie zdawała sobie sprawy, że bardzo go pociąga i że Cain walczy z tym uczuciem. Zaprosił Veronikę, chcąc porównać obie kobiety i ostatecznie przekonać samego siebie, że woli panią Gamble.

Tę rundę wygrał. Kit z trudem nad sobą panowała, ale Veronica czuła, że nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa.

Stukała palcem w oparcie sofy, zastanawiając się, czy chce być pionkiem w grze, jaką Baron toczył ze sobą. Uśmiechnęła się. Co za głupie pytanie - oczywiście, że tak. Nudziła się, a zazdrość o inną kobietę nie leżała w jej naturze. Poza tym, cała sytuacja była taka zabawna.

- Pańska podopieczna jest bardzo pewna siebie - stwierdziła.

- Ktoś powinien nauczyć ją pokory.

Nalał jej sherry i wyszedł. Słyszając, jak wbiega na schody, przeskakując po dwa stopnie, Veronica pomyślała o swoich gorących kłótniach z Francisem, które nieraz kończyły się gwałtownym seksem. Ach, gdyby mogła zobaczyć, co się stanie w pokoju na górze...

Popijała sherry, gotowa czekać nawet długo.

Cain nie przejmował się, że źle wywiązuje się z roli gospodarza. Od tygodni trzymał się z dala od Kit i wydawało się, że był chyba jedynym, na którego nie działa jej urok. Teraz nadszedł moment, żeby wyrównali rachunki. Szkoda tylko, że Veronica będzie narażona na impertynencję Kit. I jego własną.

- Otwórz drzwi!

Walił pięściami w drzwi, wiedząc, że robi błąd, ale jeśli teraz pozwoli, żeby go nie posłuchała, na zawsze straci nad nią kontrolę.

Powtarzał sobie, że to dla jej dobra. Dziewczyna jest uparta i samowolna i czy mu się to podoba, czy nie, jako jej opiekun ma obowiązek nauczyć ją posłuchu.

W duchu wcale nie czuł się jak opiekun, tylko jak mężczyzna, który przegrywa walkę z samym sobą.

- Odejdź!

Przekręcił gałkę i wszedł do środka.

Stała przy oknie, a ostatnie promienie słońca pograżały jej niezwykle urodziwą twarz w półcieniu.

Kiedy się odwróciła, Cain zamarł. Miała rozpiętą suknię. Rękawy zsunęły się z ramion i spod koszulki widać było krągłe piersi. Zaszło mu w ustach.

Nie próbowała zasłonić się nerwowo, jak powinna młoda dama, lecz spojrzała mu zuchwale w oczy.

- Wyjdź z mojego pokoju. Nie miałeś prawa tu wtargnąć.

Cainowi przypomniał się list Woodwarda. Kiedy go czytał, wierzył, że to Kit narzucała się prawnikowi. Teraz nie był już tego taki pewien. Gdyby jeszcze mógł mieć pewność, że Kit odrzuca awanse Parsella...

Odwrócił wzrok.

- Nie będziesz mnie lekceważyć!

- Lepiej rozkazuje komu innemu.

- Uważaj, Kit. Już kiedyś dałem ci w skórę. I zrobię to jeszcze raz!

Postąpił krok do przodu. Ręka go świerzbiała, ale wyobraził sobie, jaki byłby w dotyku jej okrągły tyłeczek i jak przesunąłby po nim dłonią - żeby sprawić przyjemność, a nie ból.

- Jeśli chcesz poczuć nóż w brzuchu, to zbliż się, Jankesie - zagroziła Kit.

Omal się nie roześmiał. Ważył pięćdziesiąt kilo więcej niż ta mała bestyjka, która chciała się z nim mierzyć.

- Chyba zapomniałaś, że jesteś pod moją kontrolą. Ja podejmuję decyzje, a ty robisz, co ci każe. Zrozumiano?

- Zrozumiano, że jesteś zarozumiałym dupkiem. A teraz wynoś się stąd!

Pokazała mu drzwi. Z drugiego ramienia zsunęło się ramiączko i cienka koszulka opadła, ukazując koralowy sutek.

Kit dostrzegła jego zachłanne spojrzenie, jeszcze zanim poczuła na skórze chłód powietrza. Zasłoniła piersi koszulką.

Cain miał zamglony wzrok. Odezwał się zmienionym głosem:

- Przedtem bardziej mi się podobało.

Kit niezręcznie przytrzymała koszulkę. Instynkt podpowiadał jej, że powinna stąd uciec, ale zdobyła się tylko na to, żeby się odwrócić.

Nagle sytuacja zaczęła przybierać nieoczekiwany obrót.

Cain stanął za nią i kciukiem pogładził jej kark.

- Jesteś tak cholernie piękna - wyszeptał.

Delikatnie uwolnił jej włosy spod koszulki.

Przeszedł ją dreszcz.

- Nie powinienes...

- Wiem.

Odgarnął włosy. Jego delikatny oddech pieścił jej skórę.

- Nie... nie chcę...

Ugryzł ją lekko w szyję.

- Kłamczucha - szepnął.

Zamknęła oczy i oparła plecy o jego pierś. Czuła chłodne, wilgotne miejsce na szyi, gdzie dotknął jej językiem.

Objął ją i przesuwał ręce od brzucha coraz wyżej. Było jej na przemian zimno i gorąco. Zadrżała.

- Chciałem to zrobić, od kiedy wróciłaś - wyszeptał jej do ucha.

Westchnęła lekko, kiedy wsunął rękę pod suknię, pod koszulkę...

Nic dotąd nie sprawiło jej takiej przyjemności, jak te szorstkie dłońe pieszczące jej piersi. Wyprężyła plecy. Cain pogładził sutki i Kit jęknęła.

Ktoś zapukał do drzwi.

Kit odskoczyła, próbując się zasłonić.

- Kto tam? - warknął Cain.

Drzwi otworzyły się szeroko.

- Co pan robi w jej pokoju? - zapytała z pobladłą twarzą Sophronia.

Baron podniósł brwi.

- To sprawa między Kit a mną.

Sophronia spojrzała na wpół rozebraną Kit i zacisnęła pięści. Zagryzła dolną wargę, jakby chciała powstrzymać słowa, które cisnęły się na usta.

- Przyszedł pan Parsell - wykrztusiła w końcu. - Przyniósł panu książkę. Czeka w salonie z panią Gamble.

Kit powoli rozprostowała palce zacisnięte na koszulce i odezwała się do Caina z udawanym spokojem:

- Może zaprosisz pana Parsella na kolację? Sophronia pomoże mi się ubrać. Za kilka minut będę gotowa.

Ich oczy spotkały się. Cain wyszedł bez słowa, ale oboje wiedzieli, że rozgrywka nie jest jeszcze skończona.

- Nic nie mów! - powiedziała do Sophronii.

Rozdarła szew, nerwowo zdejmując suknię. Jak mogła pozwolić mu się tak dotykać? Dlaczego go nie odepchnęła?

- Włożę tę z muślinową draperią.

Sophronia ani drgnęła, więc Kit sama wyjęła suknię z szafy i rzuciła na łóżko.

- Co się z tobą dzieje? - syknęła Sophronia. - Kit Weston, którą kiedyś znałam, nie zamknęłaby się w sypialni z mężczyzną.

- Nie zapraszałam go! - odcięła się Kit.

- I nie wyprosiłaś!

- Nic nie rozumiesz! Jest na mnie wściekły, bo nie chcę jeść kolacji z panią Gamble.

Sophronia wskazała oskarżycielsko na muślinową suknię.

- Więc po co ci to?

- Przyszedł Brandon i zmieniłam zdanie.

- Dla niego się stroisz? Dla Parsella?

Kit była zaskoczona celnym pytaniem. Dla kogo właściwie to robi?

- Oczywiście. Poza tym nie chcę wyglądać przy pani Gamble jak szara mysz.

- Jesteś pewna, że nie dla majora?

- Nie bądź śmieszna.

- Zostaw go lepiej pani Gamble.

Sophronia podeszła do łóżka i podniosła suknię.

- Jest bezwzględny wobec kobiet. Ma w piersi bryłkę lodu zamiast serca i każdej, która chciałaby go ogrzać, grożą tylko poważne odmrożenia. - Wkładając Kit suknię przez głowę, Sophronia przytoczyła słowa Magnusa.

- Po co mi to mówisz?

- Kiedy major patrzy na piękną kobietę, widzi tylko jej ciało. Jeśli ona to rozumie, tak jak pani Gamble, jak mi się wydaje, to będzie się dobrze bawić i nie poczuje do niego pretensji, kiedy ją zostawi. Ale jeśli któraś okaże się na tyle nierozważna, żeby się w nim zakochać, to złamie jej serce.

- To mnie nie dotyczy.

- Czyżby? - Sophronia zapinała suknię. - Trafił swój na swego.

- Nie jestem taka jak on! Dobrze wiesz, że go nienawidzę. Zabrał mi Risen Glory! Prędzej umrę, niż zostawię plantację w jego rękach. Wyjdę za Brandona i przy pierwszej sprzyjającej okazji ją odkupię!

Sophronia szcztokowała jej włosy.

- A skąd wiesz, że major ją sprzeda?

- Sprzeda. To tylko kwestia czasu.

Sophronia chciała związać włosy w skromny węzeł, ale Kit potrząsnęła głową. Dziś wieczór będzie całkowicie różna od Veroniki Gamble i wystąpi z rozpuszczonymi włosami, wepnie w nie tylko srebrne grzebki.

- Nie możesz mieć pewności - zauważyła Sophronia.

Kit nie przyznała się, że przeglądała księgi plantacji. Wynikało z nich, że Cain był zadłużony. Złe zbiory mogły go pogrążyć.

Nie znała się na przedziałniach, ale wiedziała co nieco o uprawie bawełny i o tym, że prędzej czy później nadejdzie grad, huragan lub

pląga szkodników. A kiedy to się zdarzy, ona będzie gotowa. Wykupi plantację i to na swoich warunkach.

Sophronia patrzyła na nią, kręcąc głową.

- Naprawdę ubrałaś się tylko na kolację?
- Przepiękna suknia, prawda?
- Nadaje się raczej na bal.

Kit uśmiechnęła się.

- Wiem.

Suknia była tak droga, że Elsbeth protestowała. Uważała, że Kit zrobi lepszy użytek z sumy przeznaczonej na garderobę, jeśli kupi kilka skromniejszych. Ponadto strój był tak ekstrawagancko piękny i tak wyróżniał się w otoczeniu, że przyciągał więcej uwagi, niż dobrze wychowana młoda dama mogła sobie życzyć.

Takie argumenty nie trafiały do Kit. Suknia była przepiękna i chciała ją mieć.

Nad warstwą białej satyny przetykanej srebrną nitką unosił obłok udrapowanego, srebrzystego muślinu. Obcisły stanik i spódnica zdobiły skrzące się jak śnieg paciorki.

Głęboki dekolt odsłaniał ramiona. Kit spojrzała w dół i spostrzegła, że piersi ma jeszcze zaróżowione od dotyku rąk Caina. Szybko odwróciła wzrok i włożyła pasujący do sukni naszyjnik w kształcie obroży z kryształowych sopli.

Wsunęła stopy w satynowe pantofelki z obcasami w kształcie kieliszka, te, które miała na balu w Templeton. Nie były śnieżnobiałe, jak suknia, tylko kremowe, ale Kit nie zwróciła na to uwagi.

- Nie przejmuj się, Sophronio. Wszystko będzie dobrze.

Cmoknęła przyjaciółkę w policzek i sfrunęła na dół jak błyszcząca chmurka.

Gładkie czoło Veroniki nie zdradziło jej myśli, kiedy Kit wkroczyła do jadalni. Nie była zdziwiona, że młoda kotka podjęła walkę.

Suknia była zupełnie nieodpowiednia na tę okazję. Brandon Parsell, który pod błahym pozorem wprosił się na kolację, patrzył oniemiały. Baron wyglądał jak chmura gradowa.

Biedaczysko. Lepiej by postąpił, gdyby nie kazał jej się przebrać.

Veronica zastanawiała się, co takiego między nimi zaszło. Kit miała zaróżowioną twarz, a na jej szyi widać było mały czerwony ślad. Na pewno się nie kochali, Cain wciąż był spięty jak tygrys gotujący się do skoku.

W czasie kolacji siedziała po prawej stronie Barona, a Kit na drugim krańcu stołu z Brandonem u boku. Posiłek był wyśmienity: podano aromatyczną dżambalaję*, paszteciki z ostrygami duszone w sosie curry, zielony groszek z miętą, herbatniki i placek z wiśniami. Veronica była przekonana, że tylko ona zauważyła, co jedli.

Poświęcała Baronowi całą swoją uwagę. Pochylała się w jego stronę i opowiadała zabawne historie. Dotykała lekko jego rękawa i od czasu do czasu ścisnęła poufale muskularne ramię.

Cain też koncentrował się na niej. Gdyby była mniej doświadczona, uwierzyłaby, że nie zwraca uwagi na zduszony śmiech dochodzący z przeciwnego końca stołu.

Po kolacji Baron zaproponował, żeby kobiety również przeszły do salonu, gdzie panowie chcieli napić się brandy. Brandon zgodził się aż nadto skwapliwie. Cain nie ukrywał, że Parsell go nudzi, a ten ledwie skrywał swoją pogardę.

Veronica wiedziała, że Kit nie żywi do niej sympatii, ale w salonie celowo usiadła obok niej. Dziewczyna okazała się uprzejma i całkiem dowcipna; dobrze też, jak na młodą kobietę, znała literaturę i Veronica zaoferowała jej egzemplarz skandalizującej powieści Gustawa Flauberta, którą ostatnio przeczytała. Brandon posłał jej pełne wyrzutu spojrzenie.

- Nie pochwała pan pomysłu, żeby Kit przeczytała *Madame Bovary*, panie Parsell? A zatem niech na razie zostanie na mojej półce.

Cain patrzył na Brandona z uśmiechem.

- Jestem pewien, że pan Parsell nie jest tak zacofany, by zabraniać inteligentnej kobiecie doskonalić umysł. Nieprawdaż, panie Parsell?

- Oczywiście, że nie - wtrąciła szybko Kit. - Pan Parsell jest jednym z bardziej postępowych ludzi, jakich znam.

Veronica uśmiechnęła się. Cóż za uroczy wieczór, pomyślała.

Cain przeciął hol i wszedł do biblioteki. Nie zapalając lampy, ściągnął marynarkę i otworzył okno. Goście wyszli jakiś czas temu, a Kit natychmiast zniknęła w swoim pokoju. Cain miał wstać o świcie i powinien iść spać, ale siedział, wpatrując się w ciemność. Wkrótce cykanie świerszczy i dalekie pohukiwanie sowy przywołało obrazy z przeszłości.

* Ryż gotowany zazwyczaj z szynką, kiełbasą, kurczakiem lub krewetkami i doprawiony ziołami

Jego ojciec, Nathaniel Cain, jedyny syn bogatego kupca z Filadelfii, był zdolnym, może nawet wyjątkowym przedsiębiorcą. Miał prawie trzydzieści pięć lat, gdy ożenił się z szesnastoletnią Rosemary Simpson. Była jeszcze dzieckiem, ale rodzice chcieli się pozbyć nieznośnej córki, tym bardziej że trafiała się dobra partia.

Małżeństwo od samego początku okazało się pomyłką. Rosemary wcale nie chciała dziecka, nie interesowała się synem, który urodził się dokładnie dziewięć miesięcy po ślubie, i gardziła mężem. Publicznie go poniżała i przyprawiała mu rogi, ale Nathaniel ciągle ją kochał.

Ojciec sobie przypisywał winę za jej oziębłość. Może gdyby się tak nie śpieszył z dzieckiem, stałaby się bardziej czuła. W miarę upływu czasu przestał mieć pretensje do siebie, składając wszystkie żal na małęgo Barona.

Dziesięć lat zajęło Rosemary ogołocenie Nathaniela z pieniędzy. W końcu odeszła z jego pracownikiem.

Po wyjeździe matki zdezorientowany, samotny Baron patrzył, jak ojciec się stacza, opętany obsesją na punkcie niewiernej żony. Brudny, zaroiński i wiecznie pijany Nathaniel Cain zamknął się w czterech ścianach niszczonej kamienicy z piaskowca i snuł sielankowe wizje dotyczące swojego życia z Rosemary.

Chłopiec tylko raz się zbuntował i w napadzie wściekłości dał upust wszystkim pretensjom i żalom do matki. Nathaniel bił go tak długo, aż Cainowi z nosa pociekła krew, a oczy zupełnie zapuchły.

Dobrze zapamiętał lekcję, jaką dostał od rodziców. Miłość to słabość, która prowadzi do zguby. Odtąd rozdawał książki, które przeczytał, i sprzedawał konie, do których zaczynał się przywiązywać. Teraz stał w oknie biblioteki w Risen Glory, myśląc o ojcu, matce i Kit Weston.

Nie pocieszało go wcale to, że wzbudza w nim tyle złości. Martwił się, że w ogóle coś do niej czuje. Od chwili, kiedy pojawiła się w tym domu, tajemnicza i niepokojąco piękna, nie mógł przestać o niej myśleć. A dziś, gdy dotknął jej piersi, wiedział już, że żadnej kobiety nie pragnął tak mocno.

Spojrzał przez ramię na biurko. Dokumenty nie wyglądały na ruszane, więc dziś nie myszkowała tu, kiedy poszedł doglądać koni. Powinien był zamknąć papiery od razu, kiedy się zorientował, że w nich grzebie, ale jej występki sprawiał mu perwersyjną satysfakcję.

Miesiąc, który zostawił jej na decyzję, powoli się kończył. Sądząc po dzisiejszym wieczorze, niedługo wyjdzie za tego idiotę. Parsella. Zanim to się stanie, Cain musi się uwolnić spod jej wpływu.

Usłyszała jakiś szmer w holu. Kit znowu się włóczyła po nocy, tym razem jednak Cain nie miał nastroju do żartów. Podkraść się cicho po dywanie i szybkim ruchem otworzył drzwi.

Kit odwróciła się. Naprzeciw niej stał Cain, elegancki i drapieżny, a ona miała na sobie tylko cienką koszulę nocną. Zakrywała ją co prawda od stóp po głowę, ale po tym, co się dziś stało, Kit czuła się naga.

- Bezsensowność? - zakpił Cain.

Bosa i z rozpuszczonymi włosami, Kit czuła się jak dzikuska. Żałowała, że nie włożyła pantofli.

- Niewiele zjadłam na kolację. Przyszłam zobaczyć, czy zostało jeszcze trochę ciasta z wiśniami.

- Ja też mam na nie ochotę. Poszukajmy razem.

Patsy, kucharka, zostawiła ciasto pod serwetką na stole w kuchni. Kit ukroiła kawałek i podała Cainowi na talerzyku. Wziął widelczyk i podszedł do kuchennych drzwi. Gdy Kit usiadła przy stole, Baron otworzył je i wewnątrz wypełniło nocne powietrze. Jadł oparty o framugę.

Po kilku kęsach zapytał:

- Czemu marnujesz czas z tym Parsellem? To nudziarz.

- Wiedziałam, że powiesz o nim coś niemiłego. - Kit dłubała widelcem w cieście. - Nie okazałeś się dziś dla niego zbyt uprzejmy.

- Ty natomiast zachowywałaś się wobec pani Gamble jak wzór kurtuazji.

Kit nie miała ochoty rozmawiać o Veronice. Nie lubiła jej, ale fascynowała ją ta obyta i doświadczona kobieta. Pani Gamble dużo podróżowała, wiele czytała i знаła ciekawych ludzi. Kit mogłaby z nią rozmawiać godzinami. Wobec Caina miała podobnie mieszane uczucia.

- Znam Brandona od dzieciństwa. To subtelny mężczyzna.

- Zbyt subtelny dla ciebie. To miał być komplement, więc przestań się jeżyć.

- Jankeskie komplementy!

Cain odszedł od drzwi.

- Naprawdę uważasz, że pozwoli ci jeździć konno w bryczesach i włóczyć się po lesie? Albo położyć się na sofie z głową na kolanach Sophronii? Czy pokazywać Samuelowi, jak się gra w kulki. Flirtować z każdym napotkanym mężczyzną?

- Kiedy wyjdę za Brandona, nie będę z nikim flirtować.

- To niemożliwe, Kit. Czasem myślę, że nawet sobie nie zdajesz sprawy, że to robisz. Słyszałem, że kobiety na Południu już takie się rodzą. Flirtowanie to twoja druga natura.

- Dziękuję ci bardzo.

- To nie był komplement. Poszukaj innego męża.
- Dziwne. Nie pamiętam, żebym pytała cię o radę.
- Nie, ale twój wybranek będzie musiał poprosić mnie o zgodę - jeśli chcesz dostać pieniądze z funduszu, oczywiście.

Kit zamarła na moment. Zaciśnięte szczęki Caina przeraziły ją.

- To tylko formalność. Zgodzisz się na każdego, kogo wybiorę.
- Tak sądzisz?

Ciasto w żołądku Kit zamieniło się w kamień.

- Nie baw się ze mną w kotka i myszkę. Kiedy Parsell poprosi o zgodę na ślub, to ją dasz.

- Nie wypełniłbym właściwie funkcji opiekuna, gdybym ci pozwolił wyjść za nieodpowiedniego człowieka.

Kit zerwała się z miejsca.

- Czy kiedy mnie... dotykałeś, też wypełniałeś obowiązki opiekuna?

Cain spuścił wzrok i wolno pokręcił głową.

- Nie.

Wspomnienie szorstkich rąk na ciele było jeszcze zbyt świeże i Kit żałowała, że w ogóle poruszyła ten temat. Odwróciła się.

- Chcę wyjść za Brandona.
- On cię nie kocha.
- Mylisz się.
- Pożąda cię, ale nawet niezbyt cię lubi. Chodzi mu wyłącznie o twoje pieniądze.

- Nieprawda!

Kit wiedziała, że Baron ma rację, ale nie chciała się do tego przyznać. Nie mogła dopuścić, by Cain pokrzyżował jej plany.

- Małżeństwo z tym ograniczonym draniem byłoby twoją życiową pomyłką- powiedział Cain - i nie mam zamiaru na to pozwolić.

Widząc jego nieustępliwość, Kit czuła, że Risen Glory wymyka jej się z rąk. Strach, który towarzyszył jej przez cały wieczór, wybuchł ze zdwojoną siłą.

- Musisz się zgodzić. Nie masz wyjścia - powiedziała.

- Ależ mam, do diabła!

- Nie chciałam o tym mówić, ale... - Oblizła suche wargi. - Moje stosunki z Brandonem zaszły za daleko. Muszę wyjść za mąż. - Kit słyszała, co mówi, ale jej własny głos docierał do niej jakby z daleka

Zapadła cisza. Kit patrzyła, jak znaczenie jej słów powoli do niego dociera. Twarz mu stężała, gdy mówił:

- Oddałaś mu swoje dziewictwo.

Kit z trudem kiwnęła głową.

Baron czuł, jak wzbiera w nim wściekłość. Nienawidził jej! Nie była już jego nietkniętą, dziką różą.

Gdy wybiegał na oślep z kuchni, w jego głowie rozbrzmiewało echo złośliwego śmiechu matki.

12

Magnus powoził, gdy wracali z kościoła. Sophronia siedziała koło niego, a Samuel, Lucy i Patsy z tyłu. Po skończonej mszy próbował zabawić Sophronię rozmową, ale odpowiadała szorstko, więc dał jej spokój. Zauważył, że od powrotu Kit zrobiła się niespokojna. Nie rozumiał, dlaczego. W związku tych kobiet było coś tajemniczego.

Spojrzał na nią przez ramię - siedziała obok piękna jak posąg. Magnus miał dość tajemnic, które ją otaczały. Czuł się zmęczony beznadziejną miłością przynoszącą więcej cierpienia niż szczęścia. Pomyślał o Deborah Williams, córce jednego z pracowników przędzalni. Dziewczyna dawała mu wyraźnie do zrozumienia, że jest nim zainteresowana.

Był gotów założyć rodzinę. Miał dobrą pracę i schludny domek na skraju sadu w Risen Glory. Czas picia i łatwych kobiet minał. Chciał mieć żonę i dzieci, a Deborah była ładna i pogodna - nie to, co zgryźliwa Sophronia. Byłaby dobrą żoną. Magnus posmutniał.

Sophronia nieczęsto się do niego uśmiechała, ale kiedy to robiła, świat wydawał się jaśniejszy. Była czytana i miała dużą wiedzę, Deborah nigdy taka nie będzie. A przede wszystkim, nigdy nie słyszał, żeby Deborah śpiewała przy pracy tak, jak Sophronia.

W oddali pojawił się czerwono-czarny powóz. Był zbyt nowy, żeby mógł należeć do kogoś z okolicy. Pewnie jakiś Jankes. Najpewniej nowobogacki.

Sophronia wyprostowała się. Gdy powóz podjechał bliżej, Magnus rozpoznał Jamesa Spence'a, właściciela nowej kopalni fosforytu. Magnus nie znał go osobiście, ale słyszał, że jest uczciwym przedsiębiorcą. Dobrze płacił ludziom i nie oszukiwał klientów. Mimo to Magnus nie lubił go - pewnie dlatego, że interesował Sophronię.

Spence był przystojny. Uchylił kapelusza, odsłaniając gęste, czarne włosy z równym przedziałkiem na środku i przystrzyżone bokobrody.

- Dzień dobry, Sophronio! - krzyknął. - Piękny dzień, prawda?

Nawet nie spojrzął na pozostałych.

- Dzień dobry, panie Spence - odpowiedziała Sophronia z przyjaznym uśmiechem. Magnus zazgrzytał zębami.

Spence włożył kapelusz, powóz odjechał, a Magnus uświadomił sobie, że ten mężczyzna nie po raz pierwszy zwrócił uwagę na Sophronię. Widział ich w mieście, jak rozmawiali.

Mocno ścisnął w rękach lejce. Najwyższy czas, żeby postawić sprawę jasno.

Okazja nadarzyła się następnego dnia, gdy Magnus siedział z Merlinem na werandzie, rozkoszując się wolnym od pracy dniem. W sadzie, między drzewami wiśni, mignęło coś niebieskiego. Sophronia w ładnej niebieskiej sukience szła między drzewami, sprawdzając, czy zostały jeszcze jakieś owoce.

Magnus wstał i powoli zszedł po schodach. Z rękami w kieszeniach, niespiesznie ruszył do sadu.

- Mogłabyś trochę zostawić ptakom - powiedział, zbliżając się do niej.

Sophronia nie słyszała jego kroków. Odwróciła się raptownie.

- Czemu się tak skradasz?

- Nie skradam się. Zawsze chodzę bezszelestnie.

Sophronia nie miała ochoty na żarty.

- Odejdź. Nie chcę z tobą rozmawiać.

- Szkoda, bo ja chcę.

Odwróciła się i zaczęła iść w stronę domu. Magnus wyprzedził Sophronię i zagroził jej drogę.

- Możemy zostać tu, w sadzie - mówił najmiłszym tonem, na jaki było go stać - albo możesz wziąć mnie pod rękę, pójdziemy do mnie i usiądziesz sobie w bujanym fotelu na werandzie, żeby wysłuchać, co mam do powiedzenia.

- Przepuść mnie.

- Chcesz rozmawiać tutaj? Zgoda.

Wziął ją pod rękę i poprowadził pod krzywąjabłoń, blokując sobą drogę ucieczki.

- Robisz z siebie durnia, Magnusie Owenie. - W jej oczach migotały złote ogniki. - Większość mężczyzn już dawno by się zorientowała. Czy nie dotarło do twojego zakutego łba, że nic do ciebie nie czuję? Gdzie twoja godność? Nie wstyd ci uganiać się za kimś, kogo w ogóle nie obchodzisz i kto za plecami się z ciebie śmieje?

Magnus wzdrygnął się, ale nie ustąpił.

- Śmiej się, ile chcesz. Moje uczucia są szczerze i nie wstydzę się ich.

Oparł rękę o pień, tuż koło jej głowy.

- I to raczej ty powinnaś się wstydzić. Dziś rano w kościele modliłaś się żarliwie, a pierwszą rzeczą, jaką zrobiłaś po wyjściu, było mizdrzenie się do Jamesa Spence'a.

- Nie masz prawa mnie osądzać, Magnusie Owenie!

- Ten Jankeś może jest i bogaty, i przystojny, ale nie pasuje do ciebie. Kiedy wreszcie pogodzisz się z tym, że jesteś sobą, a nie kimś innym?

Słowa Magnusa sprawiły jej ból, ale za nic nie chciała tego okazać. Przechyliwszy zalotnie głowę, oparła się o pień drzewa, lekko przy tym podając pierś do przodu.

Poczuła satysfakcję, gdy Magnus, wstrzymując oddech, niemal pozerął ją wzrokiem. Nadszedł czas, żeby go ukarać za wtrącanie się w jej sprawę. I postara się, żeby mocno zabolalo. Na myśl, że sprawi mu ból, ścisnęło jej się serce. To samo czuła zawsze, gdy Magnus patrzył na nią lub do niej mówił albo kiedy zwracał na nią swoje łagodne, ciemne oczy. Odsunęła od siebie słabość.

- Magnusie, jesteś zazdrosny?!

Położyła dłoń na jego ramieniu i gładziła twarde ciało. Dotykanie mężczyzny przyprawiało ją o mdłości, szczególnie jeśli mężczyzna był biały. Ale przed nią stał Magnus, więc nie bała się ani trochę.

- Wolałbyś, żebym uśmiechała się do ciebie, a nie do niego. O to ci chodzi, panie nadzorco?

- Po prostu martwi mnie, że się męczysz i że nie mogę ci pomóc - powiedział ochryplym głosem.

- Wcale się nie męczę.

- Mnie nie okłamiesz. To jakbyś chciała okłamać samą siebie.

Ochronny kokon, którym się otaczała, pękł pod wpływem ciepłych słów. Magnus wyczuł to tak samo, jak przejrzał jej nieszczerze próby uwodzenia i ukrytą za nimi kruchość. Wiedział, że musi ją pocałować. Czuł się jak głupiec, że nie zrobił tego wcześniej.

Bardzo powoli pochylił się nad nią. Za wszelką cenę nie chciał jej przestraszyć i za wszelką cenę pragnął dostać to, czego chciał.

W oczach Sophronii mignęła świadomość tego, co zaraz nastąpi. Zobaczył, jak zadrżała ze strachu.

Przysunął się bliżej, aż poczuł wargami ciepło jej ust. Na moment zamarł w tym magicznym punkcie, a potem pocałował ją, chcąc w ten sposób wyleczyć jej dawne urazy, ukoić lęki i wprowadzić w świat spokoju i dobra.

Wargi Sophronii drżały. Czuła się jak ptak uwięziony w klatce, przeżona, ale dziwnie pewna, że ten mężczyzna nie zrobi jej krzywdy. Powoli zaczęła ją przenikać uzdrawiająca moc Magnusa.

Delikatnie odsunął ją od drzewa i zamknął w uścisku. Strach przed mężczyznami, który od tak dawna ją prześladował, jakby stopniał. Magnus miał usta miękkie i wrażliwe.

Wypuścił ją z objąć o wiele za szybko. Sophronia poczuła się porzucona i zmarznięta mimo czerwcowego upału. Ich spojrzenia się spotka-

Westchnęła, widząc w jego oczach miłość i oddanie.

- Zostaw mnie samą - wyszeptwała. - Proszę cię.

Uciekała przez sad, jakby goniły ją demony.

Kit zdążyła zapomnieć, jak gorąco potrafi być w Karolinie Południowej. Powietrze falowało nad polami, które pokryły się kremowymi kwiatami. Merlin ułożył się do drzemki w cieniu krzewów rosnących przy kuchennych drzwiach.

Powinna była pójść w jego ślady. Okna jej sypialni, tak jak cały dom, miały okiennice szczelnie zamknięte przed upałem, ale Kit i tak nie mogła tam wytrzymać. Od sobotniej kolacji minęły już dwa dni, lecz wydarzenia tamtego wieczoru ciągle ją prześladowały.

Pocieszała się, że skłamała w słusznej sprawie. Nic innego nie skłoniłoby Caina, by zgodził się na jej małżeństwo z Brandonem. A właśnie dostała zaproszenie na kościelny piknik w środę wieczorem i była przekonana, że Parsell jej się oświadczy. Skierowała Biesa w stronę drzew.

Staw leżał z dala od plantacji i wyglądał jak małe, błyszczące kryształowe lustro porzucone w środku lasu. Było to jedno z ulubionych miejsc Kit. Zasilany wodą ze źródła, staw zawsze był chłodny i czysty, a gęste zarośla tworzyły wokół naturalny żywopłot. Panowały tu cisza i spokój; miejsce nadawało się idealnie do rozmyślań.

Podprowadziła Biesa do wody, żeby go napoić, a potem zaczęła iść brzegiem. Wierzby wyglądały jak kobiety, które zanurzyły w wodzie rozpuszczone włosy. Chwyciła witekę i przeciągnęła przez zwiniętą dłoń, aż liście zostały jej w ręku ułożone w zgrabny wachlarzyk.

Nie mogła się oprzeć pokusie kąpieli. Robotnicy nigdy tu nie przychodzili, a Cain i Magnus wyjechali do miasta, więc nikt jej nie przeszkodzi. Zdjęła kapelusz i ściągnęła buty, potem zrzuciła resztę ubrania. Zgrabnie wskoczyła do wody z kamienia przy brzegu. Wypłynęła przychając zimną wodą i znowu zanurkowała.

W końcu położyła się na plecach i pozwoliła włosom unosić się swobodnie wokół głowy. Zamknęła oczy. Słońce ją ogrzewało, woda gładziła jej ciało. Kit była spokojna i szczęśliwa.

Zarechotała żaba. Kit przewróciła się na brzuch i pływała leniwie. W końcu zrobiło jej się chłodno, więc podплыnęła do brzegu i stanęła na piaszczystym dnie.

Właśnie wychodziła, kiedy zarżał Bies. Spomiędzy drzew w odpowiedzi dobiegło ją rzenie. Z przekleństwem na ustach wspięła się na brzeg i pobiegła po ubranie. Nie było czasu na zakładanie bielizny. Chwyciła bryczesy i wciągnęła na ociekające wodą nogi.

Jeździec zbliżał się. Zgrabiące z zimna palce nie radziły sobie z guzikami. Złapała koszulę i wepchnęła mokre ręce w rękawy. Mocowała się właśnie z guzikiem na wysokości piersi, kiedy zza drzew wyjechał Baron Cain na Vandalu.

Zatrzymał się tam, gdzie leżała jej bielizna. Splecione ręce położył na łęku i spoglądał na Kit z grzbietu konia. Twarz miał ocienioną rondem kapelusza i nic mogła dostrzec jej wyrazu. Nie uśmiechał się.

Kit stała bez ruchu. Mokra koszula przylegała ściśle do ciała - równie dobrze mogła jej nie wkładać.

Cain przerzucił nogę nad siodłem i zeskoczył na ziemię. Walcząc z zapięciem bryczesów, Kit doszła do wniosku, że taki duży człowiek nie powinien poruszać się tak cicho.

Miał zakurzone buty, a jasne spodnie zsunęły się nisko na biodra. Koszula była rozpięta pod szyją. Nie widząc jego oczu, schowanych pod kapeluszem. Kit poczuła się nieswojo.

Jakby czytając w jej myślach, Cain rzucił kapelusz na ziemię. Kit żałowała, że to zrobił; zobaczyła w jego oczach niebezpieczny żar.

- Myślałam, że wybierasz się do miasta z Magnusem?
- Tak, ale zobaczyłem, że wyjeżdżasz na Biesie.
- Wiedziałeś, że tu jestem?
- Przyjechałbym wcześniej, ale musiałem się upewnić, że nikt nam nie przeszkodzi.

- Nie przeszkodzi w czym?

Guzik złośliwie wyslizgiwał jej się z palców.

- Nie zapinaj go. Nie ma sensu - powiedział cicho Cain.

Patrzyła, zahipnotyzowana, jak powoli rozpina swoją koszulę.

- Nie rób tego - szepnęła.

Wyszarpnął koszulę ze spodni i rzucił na ziemię.

Kit przeczuwała, co Baron chce zrobić.

- Sophronia na mnie czeka - rzekła pośpiesznie. - Jeśli zaraz nie wrócę, wyśle kogoś na poszukiwanie.

- Nikt cię nie będzie szukał, Kit. Powiedziałem, że wrócisz późno. Mamy dużo czasu.

Zbliżał się, rozbierając ją wzrokiem. Wpatrywał się w jej kształty, które mokre ubranie uwydatniało z taką dbałością o szczegóły.

- Naprawdę chcesz, żebym cię oddał Parsellowi? - zapytał.

Nie!

- Ależ tak, oczywiście.

- Więc tak zrobię - powiedział chrapliwie. -- Ale najpierw musimy sobie coś wyjaśnić.

Potrząsnęła głową, ale nie uciekała. Usłyszała swój drewniany głos:

- To nie jest przyzwoite.

- Jest bardzo nieprzyzwoite. - Uśmiechnął się ironicznie. - I żadne z nas o to nie dba.

- Mnie to obchodzi - odpowiedziała Kit.

- To dlaczego nie wskakujesz na Biesa i nie uciekasz?

- Taki mam zamiar.

Stała jednak, patrząc na jego pierś oświetloną promieniami zachodzącego słońca.

Spojrzeli sobie w oczy. Cain był tak blisko, że Kit czuła jego ciepło.

- Oboje wiemy, że to wisiało w powietrzu od dnia, kiedy tu przyjechałaś. Zrobmy to więc, żebyśmy mogli dalej żyć.

Bies zarżał cicho.

Baron pogładził lekko jej policzek i powiedział miękko:

- Wezmę cię, Kit.

Wszystko działo się jak we śnie. Zamknął jej oczy dwoma delikatnymi, uspokajającymi pocałunkami. Poczowała ciepły oddech na policzku, potem pocałował ją otwartymi ustami. Czubkiem języka łagodnie próbował zetrzeć onieśmielenie, które kazało jej zacisnąć wargi. Przyłgnęła do jego gorącej, nagiej piersi i z jękiem otworzyła usta.

Cain dokładnie badał ich każdy zakątek. Pieszczotami zachęcił ją do przejęcia inicjatywy.

Kit zarzuciła mu ręce na szyję. Teraz ona pieściła i smakowała jego usta.

Cain jęknął cicho. Przesunął rękę wzdłuż jej ciała. Zsunął jej spodnie i gładził brzuch.

Jego bliskość rozpałała ją. Zanurzyła ręce w gęstych włosach. Baron wsunął rękę pod koszulę i odszukał jej pierś. Gdy kciukiem masował małą, twardą brodawkę, Kit wydała zduszony krzyk. Czy pójdzie za to do piekła? Na co mu pozwala? Przecież ten mężczyzna nie jest jej mężem, tylko największym wrogiem.

Poczowała, że kładzie ją na miękkim mchu. Szarpnął za guzik, rozsunął koszulę i odkrył piersi.

- Jesteś taka piękna - mruknął. Spojrzał na jej twarz. - Dzika i wolna.

Nie odrywając od niej wzroku, pieścił sutki, zataczając wokół nich kciukami małe kółka.

Zagryzła wargi, żeby nie krzyknąć. Doznania stawały się coraz mocniejsze i dziksze i coraz bardziej ją oszałamiały.

- Nie bój się czuć - szepnął Cain.

Miał zamglony wzrok i uśmiechał się z zadowoleniem. Pocałował zagłębienie u nasady szyi, a potem sutki, które z takim znawstwem torturował. Zaczął je ssać. Kiedy czuła, że dłużej nie wytrzyma, przesunął usta na brzuch, widoczny w rozpiętych spodniach. Pocałował go i ściągnął jej spodnie z bioder.

Leżała teraz pod nim naga, osłonięta tylko koszulą. Każdy nerw w jej ciele napięty był do ostatecznych granic. Bała się i była zachwycona.

- Daj mi to, najdroższa.

Poczuła chłód powietrza w swym najskrytszym miejscu. Leżała z rozchylonymi udami, niczym nieosłonięta. Coś ją tknęło. „Hańba Ewy”. Teraz robi z nią to bolesne, okropne coś, co mężczyźni robią z kobietami.

Nic ją jednak nie bolało. Cain głaskała ją między udami i było to przyjemniejsze, niż przypuszczała.

Dyszał ciężko i czuła, jak drżą mu mięśnie. Znowu zaczęła się bać. Był taki duży i silny, mógł ją rozerwać. Jednak nie próbowała się wyrwać.

- Zaczekaj - szepnęła.

Podniósł głowę i spojrzał na nią szklanym wzrokiem.

- Nie powinnam... Muszę...

- Co takiego?

Zdecydowała się wyznać prawdę.

- Skłamałam wtedy. Będiesz moim pierwszym mężczyzną.

Cain zmarszczył brwi.

- Nie wierzę ci. To twoja kolejna gra.

- Nie...

- Powiedz prawdę!

- To jest prawda!

- Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

Kit nie zrozumiała, nawet kiedy poczuła jego rękę między nogami. Zacerpnęła mocno powietrza, kiedy wsadził palec do środka.

Cain usłyszał, że westchnęła zdumiona. Coś w nim pękło. Nienaruszona błona chroniła ją, a jego skazywała na potępienie.

Wstał, wściekły na siebie i swoją słabość.

- Czy wszystko musi być na opak?! - krzyknął.

Patrzyła na niego, leżąc z rozsuniętymi nogami. Cain podniósł z ziemi koszulę i kapelusz. Trawiły go pożądanie i ból, do którego nie chciał się przyznać.

Podszedł do miejsca, gdzie przywiązał konia. Zanim wsiadł, start z twarzy wszelkie emocje. Odwrócił się, żeby zadać Kit takie samo cierpienie, jakiego i on doświadczał, ale nie przychodziły mu do głowy dość okrutne słowa.

- Jeszcze z tobą nie skończyłem - zdołał tylko wykrztusić.

13

Brandon oświadczył się w środę wieczorem. Został przyjęty, ale tłumacząc się bólem głowy, Kit odmówiła, gdy zaprosił ją na spacer. Pocałował ją sucho w policzek, odprowadził do panny Dolly i zapowiedział, że następnego dnia po południu przyjedzie prosić Caina o zgodę na ślub.

Kit nie kłamała, mówiąc, że boli ją głowa. W nocy nie mogła spać, a kiedy już zapadła w płytką drzemkę, budziło ją wspomnienie udręczonej twarzy Caina, kiedy odkrył, że ciągle jest dziewicą.

Nie mogła sobie wybaczyć, że pozwoliła mu na tak wiele. Gdyby to był Brandon, można by jeszcze zrozumieć, ale Baron? Naprawdę coś musiało być z nią nie tak.

Następnego dnia po obiedzie długo jeździła na Biesie, potem przebrała się w jakąś starą suknię i poszła z Merlinem na długi spacer. Wracając, przed domem spotkała Brandona.

Skrzywił się z dezaprobatą.

- Mam nadzieję, że nikt cię nie widział w tym stroju.

Komentarz rozdrażnił ją, ale pomyślała, że sama jest sobie winna. Wiedziała przecież, że Parsell przyjdzie, a mimo to nie wróciła na czas, żeby się przebrać.

- Chodziłam po lesie. Rozmawiałeś z Cainem?

- Nie. Lucy powiedziała, że jest na padoku. Właśnie tam idę.

Kit kiwnęła głową, patrząc, jak odchodzi. Żołądek kurczył się jej z niepokoju. Musi znaleźć sobie jakieś zajęcie, bo inaczej zwariuje. Poszła do kuchni, by przygotować składniki na ulubione ciasteczka Dolly.

Weszła Sophronia. Ze zmarszczonymi brwiami przyglądała się, jak Kit zneca się nad ciastem.

- Jak na osobę, która wkrótce wychodzi za mąż, nie sprawiasz wrażenia zbyt szczęśliwej.

Wyglądało na to, że wszyscy wiedzą, co się z nią dzieje. Nawet Lucy znalazła pretekst, żeby zajrzeć do kuchni. Sophronia przesypała kawę z jutowego worka do dużego, drewnianego młynka.

- Oczywiście, że jestem szczęśliwa. - Kit pacnęła ręką ciasto. - Po prostu się denerwuję.

- Panna młoda ma prawo być niespokojna. - Patsy obierała brzoskwinie.

Lucy stała przy oknie i pierwsza zobaczyła Brandona.

- Pan Parsell wraca!

Kit wytarła ręce i wybiegła przed dom. Kiedy spojrzała na Brandona, uśmiech zamarł jej na ustach.

- I co?

- Cain się nie zgodził - powiedział Brandon, nie zwalniając kroku. - Twierdzi, że do siebie nie pasujemy. To nie do zniesienia! Brandon Parsell potraktowany w ten sposób przez jakiegoś jankeskiego gbura!

Kit chwyciła go za ramię.

- Nie możemy tego tak zostawić. To zbyt poważna sprawa. Muszę odzyskać Risen Glory!

- Cain jest twoim opiekunem i on decyduje o twoich pieniądzach. Nic tu nie poradzimy.

Kit nie zwróciła uwagi, że żadne z nich nawet nie wspomniało o miłości. Za bardzo rozzłościła ją jego kapitulacja.

- Może ty się poddasz, ja - nigdy!

- Co mogę zrobić? On nie zmieni zdania. Musimy się z tym pogodzić.

Kit nie słuchała. Odwróciła się i pomaszzerowała w stronę padoku.

Brandon odprowadził ją wzrokiem. Wsiadając na konia, pomyślał, że może dobrze się stało. Kit wprawdzie była piękna i miała urodzajną plantację, ale coś go w niej niepokoiło. Wewnętrzny głos szeptał mu, że nie jest odpowiednią żoną dla Parsella - nawet ubogiego.

Cain stał z nogą wspartą na desce ogrodzenia i przyglądał się koniom. Nie obejrzał się, choć musiałyby być głuchy, żeby nie słyszeć wściekłych kroków nacierającej Kit.

- A jednak to zrobiłeś! Dlaczego odprawiłeś Brandona?

- Nie chcę, żebyś za niego wyszła - odparł Baron, nie patrząc w jej stronę.

- Chcesz mnie ukarać za to, co się stało wczoraj nad stawem?

- To nie ma nic do rzeczy - rzekł bez przekonania.

Dławił ją gniew.

- Idź do diabła, Baronie Cain! Nie będziesz mi dłużej dyktował, jak mam żyć. Wyślij wiadomość do Parsella, że zmieniłeś zdanie, bo, przysięgam na Boga, słono zapłacisz!

Była przy nim taka drobna, że te pogrożki zabrzmiały śmiesznie. Oboje jednak wiedzieli, że nie żartuje.

- Może już zapłaciłem - mruknął Cain, ruszając przed siebie.

Potykała się i nie patrząc przed siebie, Kit zmierzała w stronę sadu. Chciała być sama. Po co wczoraj powiedziała mu prawdę?

Bo gdyby tego nie zrobiła, to by się nie opamiętali.

Wiedziała, że Baron nie zmieni zdania. Znow nienawidziła swojej kobiecości i bycia na łasce mężczyzn. Czy teraz będzie musiała przyciągnąć tu z Nowego Jorku Bertranda Mayhew?

Wzdrygnęła się na wspomnienie jego mazgajstwa i miękkiego, pękatego ciała. Więc może któryś z kawalerów, którzy obdarzali ją względami, od kiedy wróciła? Porównując ich z Brandonem, popadła w rozpacz.

Jak Cain mógł jej to zrobić?

Wieczorem nie zjadła kolacji i zamknęła się w sypialni. Nie otworzyła ani pannie Dolly, ani Sophronii, która przyszła pod drzwi.

Po zmroku ktoś głośno zapukał w drzwi łączące sypialnię z przechodnim pokojem.

- Kit, przyjdź tutaj. Musimy porozmawiać - usłyszała głos Caina.

- Jeśli trwasz przy swoim, to nie mam ci nic do powiedzenia.

- Albo przyjdiesz tu, albo ja wejdę do ciebie. Więc jak?

Zacisnęła powieki. Ciągłe wybory. Powoli podeszła do drzwi i otworzyła je.

Stał na środku pokoju ze zmierzwionymi włosami, trzymając szklaniczkę brandy.

- Powiedz, że zmieniłeś zdanie.

- Wiesz, że nie.

- A wiesz, jak to jest, kiedy ktoś ma władzę nad twoim życiem?

- Nie, i dlatego walczyłem po stronie Unii. A wbrew temu, co myślisz, nie mam nad tobą władzy. Próbuję robić to, co należy.

- Tak sobie wyobrażasz.

- Ty go nie chcesz, Kit.

- Rozmowa skończona.

Odwróciła się, żeby wyjść, ale Cain zatrzymał ją w drzwiach.

- Przestań się upierać jak osioł i rusz głową! To mięczak. Żyje wspomnieniami i jęczy, że świat się zmienił. Jedyne, co umie, to żyć na plantacji z pracy niewolników.

W jego stwierdzeniu było wiele prawdy, ale nie znał prawdziwego powodu, dla którego Kit chciała wyjść za Parsella.

- To szlachetny człowiek i ślub z nim byłby dla mnie zaszczytem - wyrecytowała Kit.

Cain spojrzał na nią przeciągle.

- A czy twoje serce biłoby dla niego tak mocno jak wczoraj, kiedy byliśmy blisko?

Na pewno nie, i byłaby zadowolona.

- Biło tak ze strachu.

Odwrócił się i upił ze szklanki.

- To nie ma sensu.

- Wystarczyło powiedzieć „tak” i miałbyś mnie z głowy.

Przechylił szklankę i wypił do dna.

- W sobotę wracasz do Nowego Jorku.

- Co?!

Cain wiedział, co to dla niej oznacza.

Była jedną z najinteligentniejszych kobiet, jakie spotkał, i nie mógł pojąć, że jeszcze się niczego nie domyśliła. Szukał słów, które dotarłyby do jej upartego serca. Nic znalazłszy ich, zmełł w ustach przekleństwo i wyszedł z pokoju.

Siedział w bibliotece ze spuszczoną głową, przez jego twarz przebiegał nerwowy tik. Zадurzył się w Kit i bał się tego potwornie. Nieraz widział, jak mężczyźni z powodu kobiet robili z siebie durniów, a teraz jemu groziło to samo.

Pociągała go nie tylko jej uroda i nieodkryta jeszcze zmysłowość. Była do tego jeszcze delikatna, bezbronna i budziła w nim nieznaną dotąd czułość. Wolałby się z nią śmiać, zamiast ją karcić, i kochać się z nią, aż jej twarz rozpromieni się wyłącznie dla niego.

Oparł głowę o fotel. Chciał ją wysłać do Nowego Jorku, ale nie zrobi tego. Jutro jej powie. A potem będzie się starał zacząć wszystko od nowa. Po raz pierwszy zależało mu na kobiecie.

Poczuł się młody i nieopisanie szczęśliwy.

Zegar wybił północ, kiedy Kit usłyszała, że Cain idzie do swojego pokoju. W sobotę będzie musiała opuścić Risen Glory. Nadzieja, która

podtrzymywała ją na duchu przez trzy długie lata, przysła jak bańka mydlana. Czuła w sercu ogromny ból. Cain wygrał. W końcu ją pokonał.

Gniew pchał ją ku zemście. Chciała zniszczyć coś, co kochał, na czym naprawdę mu zależało.

Ale nie było nic takiego. Nawet Risen Glory przekazał w zarządzanie Magnusowi, gdy skończył budować przędzalnię.

Przędzalnia... Przestała nerwowo krążyć po pokoju. Jest dla niego ważna, bo to wyłącznie jego dzieło.

Wściekłość i ból podpowiedziały jej sposób: prosty, skuteczny, bolesny.

Zdjęła pantofle, i trzymając je w ręce, na palcach wysunęła się z pokoju. Bezszelestnie przemknęła przez tylną klatkę schodową i wyszła w jasną księżycową noc. Teraz wsunęła stopy w pantofle i, kryjąc się między drzewami poszła w stronę składu na narzędzia.

W środku było ciemno. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła zabrane po drodze ogarek i zapałki. Gdy świeca się zapaliła, Kit znalazła i podniosła to, czego szukała.

Nawet wypełniona tylko do połowy bańka z naftą była ciężka. Kit nie mogła ryzykować i osiodłać konia, musiała więc nieść ją sama prawie trzy kilometry. Obwiązała uchwyt szmatą, żeby nie wpijał się w rękę i wyszła z szopy.

Nafta chlupotała głośno, gdy Kit szła ciemną drogą w kierunku przędzalni. Po policzkach ciekły jej łzy. Cain wiedział, ile plantacja dla niej znaczy. Jak mocno musiał jej nienawidzić, żeby kazać jej opuścić dom.

W swoim życiu kochała tylko Sophronię, Elsbeth i Risen Glory. To, co chciała zrobić, było złe, ale może ona sama też taka była? Bo z jakiego innego powodu tylu ludzi jej nie cierpiało? Cain, macocha, nawet ojcu na niej nie zależało.

Zło, zło, zło - chlupotała nafta, ale Kit trwała przy swoim zamiarze. Oko za oko, ząb za ząb. Marzenie za marzenie.

W przędzalni nie było nic wartościowego, więc budynku nie zamknięto na noc. Kit wtaszczyła bańkę na piętro. Zgarnęła walające się wszędzie trociny i ułożyła je w kupkę pod jedną z belek podtrzymujących dach. Zewnętrzne ściany zrobiono z cegły, ale ogień podłożony tutaj zniszczy dach i środek budynku.

Zło, zło, zło. Wycierając łzy rękawem, rozlewała płyn. Ze szlochaniem cofnęła się i zapaliła zapałkę.

Nafta zapłonęła natychmiast, eksplodując głośno. Kit potknęła się, szukając schodów. Syczące języki ognia podpełzły do słupa. Oto jej zemsta, którą będzie wspominać, kiedy wyjedzie.

Ogrom zniszczenia przeraził ją. Udowodniła, że potrafi zadawać ból tak samo Baron.

Złapała pusty worek i próbowała stłumić ogień, ale było za późno. Spadł na nią snop iskier. Bolały ją płuca. Po omacku zeszła na dół, czując, że się dusi. W pewnej chwili potknęła się i upadła. Dogoniły ją chmury dymu, a brzeg muślinowej sukni zaczął się tlić. Wypełzła na zewnątrz.

Gdy poczuła na twarzy świeże powietrze, dzwon w Risen Glory zaczął bić na alarm. Podniosła się z ziemi i uciekła do lasu.

Pożar udało się ugasić, zanim wyrządził większe szkody, ale i tak zniszczył piętro i dużą część dachu. Cain stał zmęczony w bladym świetle świtu z twarzą wymazaną sadzą, w nadpalonym ubraniu. U jego stóp leżała osmalona bańka po nafcie.

Magnus stanął obok, oceniając szkody.

- Mieliliśmy szczęście - rzekł w końcu. - Wczorajszy deszcz sprawił, że ogień nie rozprzestrzenił się tak szybko.

Cain kopnął bańkę czubkiem buta.

- Za tydzień mieliśmy instalować maszyny. Pomyśleć że je także zniszczyłyby ogień.

Magnus spojrział na pojemnik.

- Jak pan myśli, kto to zrobił?

- Nie mam pojęcia, ale się dowiem. - Baron podniósł głowę i popatrzył na ziejącą pustką dziurę po dachu. - Nie jestem przesadnie lubiany w okolicy i nie zdziwiłoby mnie, gdyby ktoś chciał się zemścić. Tylko dlaczego tak długo zwlekał?

- Trudno powiedzieć.

- Celnie mnie trafili. Nie mam ani grosza na odbudowę.

- Może pójdzie pan do domu odpocząć? Rano sprawy nie będą wyglądać tak tragicznie.

- Za chwilę. Chcę się jeszcze rozejrzeć. Ty możesz iść.

Magnus ścisnął mu ramię i odszedł.

Dwadzieścia minut później Cain przykleknął u stóp spalonych schodów i coś podniósł.

Przez chwilę zastanawiał się, czym mógłby być ten kawałek metalu. Zębki zlały się, a biegnący u góry delikatny wzór rozpułynał się. Kiedy jednak rozpoznał zdeformowany przedmiot, serce podeszło mu do gardła.

Mały, srebrny grzebyk. Jeden z dwóch, które widywał w gęstwinie czarnych loków. Kiedy ostatnio ją widział, obydwie tkwiły na swoim miejscu.

Gdy wpatrywał się w to, co zostało z grzebyka, targały nim potężne emocje. Kiełkująca czułość rozprysła się, zostawiając cynizm, nienawiść i pogardę dla siebie. Był słabym, głupim durniem. Powinien pamiętać, czym kończy się próba wyjścia zza starannie budowanego muru.

Wstał i schował grzebyk do kieszeni. Gdy wychodził ze zgliszcz, jego twarz wykrzywił złośliwy grymas.

Teraz jego kolej.

14

Znalazł ją dopiero po południu. Spała skulona pod porzuconym w krzakach wozem w północnej części plantacji. Twarz i ręce ubrudzone miała sadzą, a sukienka nosiła ślady ognia. Czubkiem buta dotknął jej biodra.

Kit otworzyła oczy, ale słońce oślepiło ją i zobaczyła nad sobą tylko wielki, niewyraźny kształt. Próbowwała się podnieść.

- Nigdzie nie pójdziesz. - Cain przytrzymał ją, przydeptyując brzeg sukni.

Coś upadło koło niej na ziemię. Stopiony srebrny grzebyk.

- Następnym razem, jak będziesz chciała coś podpalić, nie zostawiaj wizytówki.

Poczuła skurcz w żołądku.

- Pozwól mi wyjaśnić - wychrypiała.

Przechylił głowę, zasłaniając na chwilę słońce. Kit drgnęła, widząc jego puste, zimne oczy. Znow się poruszył i słońce ponownie ją oślepiło.

- Czy Parsell ci pomagał?

- Nie, Brandon nigdy by...

Wytarła suche usta wierzchem dłoni i bezskutecznie próbowała wstać.

- Bardzo mi przykro. - Nie potrafiła wyrazić tego, co czuła.

- Że nie wszystko spłonęło?

- Nie. Przecież Risen Glory to cały mój świat.

Gardło miała wyschnięte od dymu i chciało jej się pić, ale najpierw musiała wyjaśnić.

- Chodzi mi tylko o plantację. Chciałam wyjść za Brandona, żeby zdobyć pieniądze i ją od ciebie odkupić.

- A jak chciałaś mnie zmusić, żebym ci ją sprzedał? Podpaleniem?

Oddychała z trudem.

- Widziałam księgi i wiem, że masz długi. Jeden zły rok i byłbyś skończony. Musiałam być gotowa. Nie oszukałabym cię. Dostałbyś dobrą cenę. I nie chcę przedzalni.

- Więc dlatego tak gorączkowo szukałaś męża. Cóż, widać nawet dumni Parsellowie potrafią się zniżyć do małżeństwa dla pieniędzy.

- Nie o to chodzi. Lubimy się z Brandonem. Po prostu... - Zawiesiła głos. Nie było sensu dalej w to brnąć. Cain miał rację.

Zdjął nogę z sukni i podszedł do Vandala. Nie mógł jej zrobić nic gorszego niż to, co planował.

Wrócił do niej z manierką.

- Pij!

Wzięła naczynie i przytknęła do ust. Woda była ciepła i miała metaliczny posmak, lecz Kit piła z przyjemnością. Dopiero kiedy oddała mu manierkę, dostrzegła, że Baron trzyma w palcach długi, cienki sznurek. Szybkim ruchem związał jej nadgarstki.

- Nie!

Przywiązał ją do wozu i wrócił do konia, nie patrząc w jej stronę.

- Co chcesz zrobić?

Wskoczył na siodło i zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Popołudnie wlokło się niemiłosiernie. Cain nie związał rąk zbyt ciasno, ale i tak nie mogła się uwolnić. Ramiona bolały od niewygodnej pozycji, a wokół roило się od komarów. Burczało jej w brzuchu, ale na myśl o jedzeniu robiło jej się niedobrze. Czowała do siebie odrazę za to, co zrobiła.

Cain wrócił o zmroku i zeskoczył z gracją, która nie mogła jej już zwieść. W czystej koszuli i spodniach zdecydowanie różnił się wyglądem od Kit. Wyciągnął coś z torby przytroczonej do siodła.

Przykucnął i kilkoma zgrabnymi ruchami uwolnił Kit z więzów. Oparła się o koło.

Podał jej manierkę i otworzył zawiniątko. W środku była świeża bułka, kawałek sera i plaster szynki.

- Jedz - rozkazał szorstko.

Pokręciła głową.

- Nie jestem głodna.

- Masz to zjeść.

Kit odczuwała inną, pilniejszą potrzebę.

- Muszę odejść na chwilę.

Wyciągnął z kieszeni krótką fajkę i zapalił. Kiwnął głową w kierunku krzaków, zaledwie kilka metrów od niego.

- Tam. Nie dalej.

Kit miała zeszywniałe nogi. Wstała niezdarnie i powlokła się w zarośla. Był za blisko, żeby mogła czuć się swobodnie, więc do bolesnych uczuć, które ją przepełniały, doszło jeszcze upokorzenie.

Wróciła do wozu i wzięła się do jedzenia, z trudem przełykając kolejne kęsy. Cain nie poganiał jej. Stał oparty o drzewo i czekał cierpliwie.

Słońce już zaszło, kiedy skończyła. W ciemności widziała tylko zarys jego sylwetki i żarzącą się fajkę.

Podszedł do konia. Zza chmury wypełzł księżyc i zalał ich srebrną poświatą. Gdy Cain zwrócił się w stronę Kit, kłamra przy jego pasku załśniła na moment.

- Wsiadaj. Czas na nas.

Słyszając jego beznamiętny, złowieszczy głos, Kit zadrżała.

- Dokąd jedziemy?

- Do księdza. Bierzemy ślub.

Czas stanął w miejscu.

- Ślub?! Straciłeś rozum?

- Chyba tak trzeba to nazwać.

- Prędzej wyszłabym za diabła.

- Do usług. Wkrótce się przekonasz.

Zimna pewność w jego głosie zmroziła ją.

- Spaliłaś przędzalnię i teraz zapłacisz za jej odbudowę. Nie tylko Parsell chce cię poślubić dla pieniędzy.

- Oszalałeś?! Nie zrobię tego.

- Nie masz wyboru. Wsiadaj. Cogdell czeka.

Kit poczuła ulgę. Wielebny to przyjaciel, kiedy mu powie o zamiarach Caina, nigdy się na to nie zgodzi. Podeszła do Vandala.

- Siadaj przede mną - warknął Baron. - Nauczyłem się, że nie wolno cię spuszczać z oka.

Wyjechali spomiędzy drzew. Cain odezwał się:

- Cogdell ci nie pomoże. Porzuć nadzieję. Potwierdziłem jego najgorsze obawy i nic go nie powstrzyma od udzielenia nam ślubu.

Serce na moment przestało jej bić.

- Jakie obawy?

- Powiedziałem, że nosisz moje dziecko.

Kit nie wierzyła własnym uszom.

- Zaprzecz! Nie ujdzie ci to na sucho!

- A zaprzeczaj sobie do woli! Uprzedziłem go, że tak będzie. Wszystko mu wyjaśniłem. Od kiedy zaszłaś w ciążę, jesteś nieprzewidywalna.

Wczoraj próbowałaś nawet popełnić samobójstwo, rzucając się w płomień, muszę więc podjąć stanowcze kroki.

- Nie!

- Powiedziałem, że od dawna błagałem cię, żebyś za mnie wyszła i żeby dziecko nie było bękartem, ale nie chciałaś. Cogdell zgodził się dać nam ślub dzisiaj, bez względu na twoje protesty. Możesz walczyć, Kit, ale to naprawę nic nie da.

- Odpowiesz za to!

Jego głos zmiażdżył na chwilę.

- Wielebny cię lubi. Oszczędzisz cierpienie jemu i sobie, jeśli zrobisz, co ci każę.

- Idź do diabła!

- A więc rób, jak uważasz.

Przeklinając go, Kit czuła, że przegrała. Była w tym jednak jakaś sprawiedliwość: zawiniła, więc teraz za to zapłaci.

Mimo to, kiedy zobaczyła Cogdella z żoną czekających przy kościele niewolników, podjęła ostatnią próbę. Wyrwała się Cainowi i podbiegła do Mary.

- Baron kłamie. Nie jestem w ciąży. My nie...

- Uspokój się, kochanie. Jesteś zdenerwowana. - Dobrze, piwne oczy zasły łzami, kiedy żona pastora poklepywała uspokajająco Kit po ramieniu. - To szkodzi dziecku.

Kit pojęła, że jej los jest przesadzony.

Po krótkiej ceremonii pani Cogdell ucałowała ją w policzek, a pastor przykazał być posłuszną mężowi. Kit słuchała tępo, kiedy wielebny mówił Cainowi, że panna Dolly przenocuje u nich, i zrozumiała, że Baron usunął ją z drogi.

Wyprowadził ją z kościoła i pojechali do Risen Glory. Kit zaczynała się bać. Co Cain jej zrobi, kiedy zostaną sami?

Na miejscu Baron oddał wodze Samuelowi, chwycił Kit wpół i postawił na ziemi. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa, ale Cain złapał ją w porę i podtrzymał. Kit odsunęła się od niego.

- Masz już moje pieniądze - powiedziała, kiedy Samuel odszedł - więc zostaw mnie w spokoju.

- Mam zrezygnować z nocy poślubnej? Nigdy w życiu!

Kit poczuła skurcz żołądka.

- Nie będzie żadnej nocy poślubnej!

- Jesteśmy małżeństwem, Kit, i dziś będę z tobą spał.

„Hańba Ewy”. Gdyby nie była taka wyczerpana, próbowałyby go odwieść od tego zamiaru. Teraz myślała tylko o ucieczce.

W oddali, na skraju sadu, błyskało światło w domu Magnusa. Kit chwyciła spódnicę i pobiegła w tamtą stronę.

- Kit! Wracaj!

Przyśpieszyła.

- Magnusie! - krzyknęła, ile sił w płucach.

- Kit, zatrzymaj się! Jest ciemno, zrobisz sobie krzywdę!

Wbiegła do sadu, zgrabnie przeskakując znajome korzenie. Cain biegł za nią, potykając się i klnąc. Wkrótce jednak ją dogonił.

- Magnusie! - zawołała rozpaczliwie.

Kątem oka zobaczyła, że Cain z tyłu rzuca się na nią. Krzyknęła, gdy upadli. Baron przycisnął ją ciałem do ziemi. Kit uniosła głowę i wpiła mu zęby w ramię.

- A niech cię! - warknął Cain.

- Co się tu dzieje? - zabrzmiał głos Magnusa.

Kit wyrwała się Cainowi i podbiegła do niego.

- Magnus! Pozwól mi dziś przenocować u ciebie!

Magnus położył jej uspokajająco rękę na ramieniu.

- Co pan jej robi? - zwrócił się do Caina.

- Próbuję nie dopuścić, żeby się zabiła. Albo mnie. Nie wiem, kto jest w większym niebezpieczeństwie.

Magnus spojrzał pytająco.

- Jest moją żoną. Niecałą godzinę temu wzięliśmy ślub.

- Zmusił mnie! - krzyknęła Kit. - Chcę spać u ciebie!

Magnus zmarszczył brwi.

- Nie możesz. Teraz należysz do niego.

- Należę tylko do siebie i obaj możecie iść do diabła!

Chciała uciec, ale Cain był szybszy. Chwycił ją i przerzucił sobie przez ramię.

Krew napłynęła jej do głowy. Ściskając mocno jej uda, Cain pomaszerował do domu. Kit okładała go pięściami i dostała mocnego klapsa.

- Przestań, bo cię zrzucę.

W polu widzenia pojawiły się stopy Magnusa idącego obok nich.

- Majorze, to szlachetna dama. Traktuje ją pan niedelikatnie. Może powinien pan trochę ochłonać?

- Mam na to całe życie.

Cain ominął róg domu i szedł do frontowych drzwi. Pod jego wysokimi butami chrzęścił żwir.

Ostatnie słowa Magnusa sprawiły, że Kit zaczęła wpadać w panikę.

- Jeśli ją pan dziś popsuje, będzie pan żałował do końca życia. Proszę pamiętać, co dzieje się z końmi, które ujeżdża się zbyt brutalnie.

Przed oczami zamigotały jej gwiazdy. Nagle usłyszała tupot znajomych stóp.

- Kit! Dobry Boże! Co się stało?

- Sophronia!

Kit próbowała się uwolnić. Sophronia złapała Caina za rękę.

- Proszę ją puścić!

Cain odepchnął Sophronię w stronę Magnusa.

- Trzymaj ją dziś z dala od domu.

Mówiąc to, wszedł po schodach i wniósł Kit do środka.

Sophronia wyrwała się z objęć Magnusa.

- Puść mnie! Muszę jej pomóc. Nie wiesz, co taki człowiek może zrobić kobiecie. Biały! Myśli, że wszystko może. Że ona jest jego własnością!

- Bo jest! - Magnus przytulił ją, głaszcząc. - Są małżeństwem, kochanie.

- Małżeństwem?

Magnus powtórzył jej to, co usłyszał od Caina. Starał się mówić cicho i spokojnie.

- Nie możemy się wtrącać w ich sprawę. Nie skrzywdzi jej.

Miał nadzieję, że nie dosłyszała niepewności w jego głosie. Cain był najbardziej sprawiedliwym człowiekiem, jakiego znał, ale dziś miał w oczach furję. Mimo to Magnus próbował uspokoić Sophronię, prowadząc ją przez ciemny sad.

Sophronia zorientowała się, gdzie są, dopiero, kiedy stanęli przed jego domem. Podniosła głowę.

- Gdzie mnie przyprowadziłeś?

- Do mnie - powiedział łagodnie. - Wejdzimy do środka i coś zjemy. Potem, jeśli będziesz miała ochotę, siądziemy w kuchni i pogawędzimy. Albo pójdziemy spać, jeżeli jesteś zmęczona. Wezmę koc i prześpię się na werandzie z Merlinem.

Sophronia patrzyła na niego w milczeniu.

Magnus czekał, dając jej czas na odpowiedź. W końcu kiwnęła głową i weszła do środka.

Cain rozsiadł się niedbale w fotelu z wysokim oparciem ustawionym przy oknie sypialni. Rozpiął koszulę, a skrzyżowane stopy oparł na podnóżku. W przewieszanej przez oparcie ręce trzymał szklanekę brandy.

Dobrze się tutaj czuł. Pokój był wygodny, umeblowany funkcjonalnie i niezagracony. Miał w nim wygodne łóżko, dość długie, aby móc się

wyciągnąć. Obok stała umywalnia, a po drugiej stronie skrzynia i biblioteczka. Zimą na wypolerowane deski podłogi kładziono plecione chodniki; teraz były odkryte, tak jak lubił.

Z miedzianej wanny, ukrytej za parawanem w kącie pokoju, dochodził plusk wody. Cain zacisnął szczęki. Nie uprzedził Sophronii, że kąpiel, którą kazał jej przygotować, nie jest dla niego. Kit kazała mu wyjść z pokoju na czas kąpieli, a kiedy zorientowała się, że Baron nie ma takiego zamiaru, zadarła dumnie brodę i zasłoniła się parawanem. Nie śpieszyła się z wyjściem, chociaż woda na pewno już wystygła.

Wyobraził sobie, jak będzie wyglądała, wychodząc z wanny. Włosy opadną jej na ramiona, a ich czerni będzie kontrastować z wilgotną kremową skórą, błyszczącą złociście w świetle lampy.

Pomyślał o pieniądzach z funduszu, dla których się z nią ożenił. Innych mężczyzn potępiał za małżeństwa dla pieniędzy - wobec siebie nie był tak surowy. Zastanawiał się dlaczego, ale szybko porzucił te rozważania. Nie chciał znać odpowiedzi na to pytanie, bo nie chciał przyznać, że małżeństwo nie miało nic wspólnego z pieniędzmi ani z odbudową przędzalni. Miało być karą dla Kit za to, że dla niej Cain po raz pierwszy w życiu zlekceważył groźbę i otworzył serce przed kobietą. Przez krótką chwilę był czuły, głupi i bezbronny. Wystawiła go na większe niebezpieczeństwo niż wszystkie bitwy, jakie stoczył w życiu. Dziś walka z Kit nareszcie zostanie przypieczonej i będzie mógł żyć dalej, bez płonnych nadziei na przyszłość.

Upił łyk brandy i odstawił szklanekę na podłogę. Chciał być zupełnie trzeźwy, kiedy to się stanie.

Ukryta za parawanem Kit słyszała, jak fotel Caina trzeszczy. Czuła, że Baron zaczyna się niecierpliwić. Wstała i okręciła się ręcznikiem, żałując, że jest taki mały. Nie miała ubrania. Cain wyrzucił zniszczoną suknię, gdy tylko ją zdjęła.

Podniosła głowę, kiedy jedno skrzydło składanego parawanu odsunęło się. Cain stał przed nią, opierając się o drewnianą ramę.

- Jeszcze nie jestem gotowa - wykrztusiła.
- Miałaś dość czasu.
- Nie rozumiem, dlaczego kazałeś mi się kąpać w twojej sypialni.
- Ależ oczywiście, że rozumiesz.

Mocniej ścisnęła ręcznik. Jej los był przesądzony. Cain jest jej mężem. Jeżeli będzie uciekać, złapie ją. Jeśli będzie walczyć, przegra. Jedynym wyjściem to poddać się, jak uczyła pani Templeton w zamierzchłej przeszłości, niecały miesiąc temu. Jednak uległość nigdy nie była mocną stroną charakteru Kit.

Przyjrzała się złotej obrączce, którą miała na palcu. Była mała i ładna, z dwoma sercami obramowanymi malutkimi rubinami i diamentami. Cain mówił, że dostał ją od panny Dolly.

- Nie mam co na siebie włożyć - powiedziała.
- Niczego nie potrzebujesz.
- Zimno mi.

Powoli, nie spuszczać z niej wzroku, Cain zdjął koszulę i podał jej.

- Nie chcę jej. Przepuść mnie, pójdę do siebie i włożę suknię.
- Wolę, żebyś została tutaj.

Co za uparty, arogancki pyszałek! Kit zagryzła wargi i wyszła z wanny. Jedną ręką trzymając ręcznik, drugą sięgnęła po koszulę i niezdarnie ją narzuciła. Odwróciła się tyłem do Barona i szybko zapięła guziki.

Poły koszuli przykleiły się do jej mokrych ud. Kit wiedziała, że cienki materiał niewiele zakrywa. Podwinęła mankiety i przeszła koło Caina.

- Muszę iść rozczesać włosy, bo się splącają.
- Weź mój grzebień. - Wskazał głową komodę.

Kit wzięła grzebień. W lustrze widziała swoją bladą, napiętą twarz. Nie bała się, choć powinna. Cain jej nienawidził. Był silny i nieobliczalny, a prawo było po jego stronie. Powinna błagać o litość. Czuła jednak tylko dziwne podniecenie.

Zobaczyła, że usiadł w fotelu i skrzyżował nogi. Ich spojrzenia spotkały się w lustrze. Kit szybko odwróciła wzrok i zaczęła energicznie czesać włosy, rozsiewając wokół drobne kropelki.

Usłyszała, że Cain się poruszył, i znów spojrzała w lustro. Baron podniósł szklankę i wznosił toast.

- Za nasze małżeńskie szczęście, pani Cain.
- Nie nazywaj mnie tak!
- Już zapomniałaś, że tak się teraz nazywasz?
- Niczego nie zapomniałam. - Zrobiła głęboki wdech. - Pamiętam, że wyrządziłam ci krzywdę. Ale już za nią zapłaciłam i nie jestem ci nic winna.

- Ja o tym zdecyduję. A teraz odłóż grzebień i odwróć się. Chcę cię zobaczyć.

Powoli zrobiła, co jej kazał. Przepęłniała ją odraza zmieszana z ciekawością. Spojrzała na jego pokryte bliznami ciało.

- Skąd masz tę bliznę na ramieniu?
- Spod Missionary Ridge.
- A na ręce?

- Z Petersburga. A tę na brzuchu zarobiłem w burdelu w Laredo, w bójce po nieuczciwej partii pokera. Rozepnij koszulę i chodź tu. Muszę się lepiej przyjrzeć swojemu nowemu nabytkowi.

- Nie jestem twoją własnością, Baronie Cain.

- Według prawa, pani Cain, kobieta należy do mężczyzny, który ją poślubił.

- Możesz w to wierzyć, jeśli chcesz. Ja nie należę do nikogo z wyjątkiem siebie.

Wstał i podszedł do niej powoli.

- Wyjaśnijmy sobie to raz na zawsze. Należysz do mnie i od tej chwili będziesz mi posłuszna. Jeśli będę chciał, żebyś mi wyczyściła buty, wyczyścisz je. Jeśli ci każę sprzątnąć stajnię, zrobisz to. A gdy będę miał ochotę na ciebie, to położysz się i rozłożysz nogi, zanim ja rozepnę pas.

Słowa miały ją przestraszyć, ale wyczuwała w nich fałsz. Chciała złamać jej opór, a Kit nie miała zamiaru mu na to pozwolić.

- Ojej, już się boję! - zakpiła.

Nie takiej reakcji się spodziewał, więc spróbował jeszcze raz.

- Wychodząc za mnie, straciłaś wolność. Teraz mogę uczynić z tobą, co mi się podoba, może z wyjątkiem zamordowania cię. Ale jeśli nie będziesz mnie słuchać, zrobię i to.

- Ja będę szybsza - odparowała.

- Na pewno nie.

Kit próbowała dyskutować.

- Zrobiłam straszną rzecz, ale masz moje pieniądze. Jest ich trzy razy więcej, niż trzeba na odbudowę przędzalni, więc skończmy już tę sprawę.

- Niektóre rzeczy nie mają ceny. - Oparł rękę na ramie łóżka. - Wiesz, uśmiejesz się, gdy ci powiem...

Kit nie była tego taka pewna. Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Byłem zdecydowany nie wysyłać cię do Nowego Jorku. Chciałem ci o tym powiedzieć rano.

Zrobiło jej się słabo. Potrząsnęła głową z nadzieją, że się przesłyszała.

- Ironia losu, co? Nie chciałem cię aż tak krzywdzić. Ale teraz wszystko się zmieniło i nic mnie już nie obchodzi.

Zaczął rozpinać jej koszulę.

Kit stała nieruchomo i czuła, jak ulatnia się jej pewność siebie.

- Proszę, nie.

- Za późno. - Rozsunął koszulę i patrzył na jej piersi.

Próbowała tego nie powiedzieć.

- Boję się.
- Wiem.
- Będzie bolało?
- Tak.

Zacisnęła powieki. Cain zdjął z niej koszulę i Kit stanęła przed nim naga.

To będzie najgorsza noc, pomyślała. Kiedy to się już stanie, straci nade mną władzę.

Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Odwróciła głowę, kiedy się rozbierał. Chwilę później łóżko ugięło się pod jego ciężarem.

W Cainie coś pękło, kiedy zobaczył jej zacisnięte powieki i twarz pełną rezygnacji. Wyznanie, że się boi, musiało ją wiele kosztować. Do diabła, nie chciał jej brać w ten sposób. Wolał, żeby kłęta i walczyła, jak tylko ona to potrafi.

Pogładził jej kolana, ale nie zareagowała. Rozłożył jej nogi i klęknął między nimi. Potem spojrzał na jej intymne miejsce oświetlone blaskiem lampy.

Nie poruszyła się, gdy rozgarniał palcami ciemne, jedwabiste włosy. Dzika leśna róża. Płatki w płatkach, opiekuńczo zwinięte wokół wejścia do jej sezamu. Serce mu się ścisnęło na ten widok. Po południu nad stawem widział, że była mała i ciasna. Wezbrała w nim czułość.

Kątem oka dostrzegł na narzucie delikatną rękę zacisniętą w pięść. Czekał, żeby go uderzyła. Chciał, żeby to zrobiła. Kit jednak leżała bez ruchu i jej całkowita bezbronność powaliła go.

Z jękiem opadł na prześcieradło i zamknął ją w uścisku. Drżała. Cain poczuł się jak zbrodniarz. Jeszcze nigdy nie potraktował kobiety tak bezlitośnie. Chyba opętało go szaleństwo.

- Przepraszam - szepnął.

Przyciskał ją do nagiej piersi i głaskał mokre loki. Szalał z pożądania, ale panował nad sobą, aż przestała drzeć.

W ramionach Barona Kit poczuła się nadspodziewanie dobrze i bezpiecznie. Słyszała, że Cain oddycha powoli, ale wiedziała, że nie śpi. W pokoju, zalanym srebrnym światłem księżycy, było cicho i spokojnie. Odważyła się zadać to pytanie.

- Dlaczego tak bardzo mnie nienawidzisz? Nawet przed przędzalnią; od kiedy wróciłam do Risen Glory.

Przez chwilę milczał.

- Nigdy cię nie nienawdziłem - odpowiedział.

- Ja muszę nienawdzić każdego, kto staje między mną a Risen Glory.

- Za wszystkim stoi plantacja. Czy aż tak ją kochasz?
- Najbardziej na świecie. Jest dla mnie wszystkim. Bez niej jestem nikim.

Cain odgarnął jej z policzka kosmyk włosów.

- Jesteś piękną i odważną kobietą.
- Jak możesz tak mówić po tym, co zrobiłam?
- Wszyscy robimy to, co uważamy za słuszne.
- Na przykład zmuszamy do małżeństwa?

- Na przykład. - Zrobił pauzę. - Nie żałuję tego, Kit. Nie bardziej niż ty.

Kit znowu się zaniepokoiła.

- Dlaczego nie zrobiłeś tego, co chciałeś? Nie mogłabym cię powstrzymać.

- Bo chcę, żebyś miała na to ochotę i pragnęła mnie tak, jak ja ciebie. Odwróciła się tyłem, nagle świadoma ich nagości.
- To niemożliwe.

Myślała, że będzie zły, ale Cain usiadł podparty poduszkami i tylko jej się przyglądał.

- W twoich pocałunkach było dużo zmysłowości. Nie bój się jej.
- Nie chcę być zmysłowa. To nie przystoi kobiecie.
- Kto ci to powiedział?

- Każdy to wie. Podczas wykładu o „hańbie Ewy” pani Templeton powiedziała, że...

- Wykładu o czym?
- O „hańbie Ewy”. No, wiesz...

- Dobry Boże! - Cain usiadł. - Kit, czy ty wiesz, co się dzieje między kobietą a mężczyzną?

- Widziałam konie.
- Konie to nie ludzie.

Położył jej ręce na ramionach i odwrócił do siebie.

- Popatrz na mnie. Chociaż mnie nienawidzisz, jesteśmy małżeństwem i nie mam zamiaru trzymać się z dala od ciebie. Chcę jednak, żebyś wiedziała, co się dzieje. Nie chcę cię znowu przestraszyć.

Cierpliwie, prostym i jasnym językiem opowiedział jej o swoim i jej ciele. W końcu wyjaśnił, co się stanie, kiedy się połączą. Kiedy skończył, wstał z łóżka i nagi podszedł do stolika, na którym zostawił brandy. Podniósł szklanke i stał bez ruchu, żeby mogła zaspokoić skrywaną ciekawość.

Kit pożerała go wzrokiem. W świetle księżycy ujrzała piękne, muskularne i szczupłe ciało, pełne siły i witalności. Jej spojrzenie go podnieciło i Kit znowu zaczęła się bać.

Jakby czując jej obawy, odstawił szklanke i wrócił do łóżka. Tym razem w oczach miał wyzwanie, a Kit zawsze podejmowała wyzwania, szczególnie kiedy rzucał je Cain.

Uśmiechnął się kąciem ust. Opuścił głowę i leciutko jak piórkiem musnął zamkniętymi ustami jej wargi. Żadnego twardego, penetrującego języka, który przypomniałby jej o innej, mniej przyjaznej inwazji, zbliżającej się nieuchronnie.

Rozluźniła się trochę. Jego usta odnalazły drogę do jej ucha. Pocałował je, po czym chwycił zębami delikatny płatek ozdobiony malutkim, srebrnym kolczykiem i drażnił go ustami.

Przymknęła oczy pod wpływem nowych doznań i szybko je otworzyła, kiedy złapał jej nadgarstki i położył nad głową.

- Nie bój się - powiedział, przeciągając palcami w dół, po wewnętrznej stronie rąk. - Będzie ci dobrze, obiecuję.

W zgięciu łokcia zatrzymał się na dłużej, pieszcząc wrażliwe miejsce.

Jej czujność uleciała. Cain kreślił kółka w drżących zagłębieniach pod pachami i Kit czuła, że przeszłość odchodzi, spychana w niebyt przez cudowną teraźniejszość.

Zsunął jej narzutę do pasa i oglądał nagie ciało.

- Masz piękne piersi - zamruczał.

Dobrze wychowana dama opuściłaby ręce, ale Kit obca była skromność i wstyd. Zobaczyła, że Cain pochyla głowę i rozchyła usta. Poczwała na skórze ciepły oddech.

Jęknęła, gdy językiem zataczał kółka wokół miękkiego sutka, zmieniając go w twarde, pulsujący stożek. Wygięła ciało w łuk. Cain objął wargami brodawkę i zaczął ją delikatnie ssać.

Kit przyciągnęła do siebie jego głowę. Pieszcząc ustami jedną pierś, Baron drażnił drugą szorstką dłonią, od czasu do czasu lekko ściskając sutek palcem wskazującym i kciukiem.

Nie znając mężczyzn, nie zdawała sobie sprawy, jak musiał powściągnąć swoją namiętność. Czuła tylko, że torturując jej piersi, wyzwała pożar w ukrytych głęboko zakończeniach nerwów.

Zsunął zupełnie przykrycie i położył się obok. Znów odnalazł jej usta, ale tym razem sama je otworzyła, żeby sprawić mu przyjemność. Cain nie spieszył się jednak, powoli przyzwyczajając ją do swoich dotknięć.

Gdy całował jej usta, ręce Kit zrobiły się niespokojne. Położyła kciuk na jego twardym, płaskim sutku.

Z jękiem zanurzył palce w gęstych wilgotnych splotach i uniół jej głowę. Potem wsunął język w jej usta i wziął we władanie ich mokre, gorące wnętrza.

Jej dzikość i jego żądza spotkały się. Kit wyprężyła ciało, kładąc rozwarte dłonie na jego piersi.

Straciła kontrolę nad sobą. Ręce Caina przesunęły się od piersi w dół, do brzucha i jedwabistego trójkąta pod nim.

- Zrób mi miejsce, najdroższa - wyszeptał zmienionym głosem. - Wpuść mnie.

Kit nie mogła nie posłuchać. Cain jednak nie zadowolił się tym, co oferowała. Tak długo pieścił wnętrza ud, aż myślała, że oszaleje. W końcu jej nogi rozwarły się tak szeroko, jak chciał.

- Proszę cię... - Kit dyszała ciężko.

Wtedy dotknął jej, swojej dzikiej róży. Otworzył ją delikatnie, nie śpiesząc się, chociaż był rozpalony do białości. Nigdy jeszcze tak nie pragnął kobiety.

Położył się na niej, całując piersi i cudowne, świeże usta. Potem, nie mogąc już dłużej czekać, powoli w nią wszedł.

Kit zeszywniała. Uspokoił ją pocałunkami i jednym, zdecydowanym pchnięciem pozbawił dziewictwa.

Krótki, ostry ból przywrócił Kit do rzeczywistości. Poczowała się zdradzona. Dotąd było przyjemnie, a pieszczoty Caina obiecywały niezziemskie przeżycia. Obiecanki cacanki.

Wzięła ją pod brodę i obrócił jej twarz ku sobie. Rzuciła mu wściekłe spojrzenie, aż nadto świadoma, co tak wielkiego znalazło w jej ciele schronienie.

- Już dobrze, kochanie - zamruczał. - Teraz już nie będzie bolało. Tym razem nie da się nabrać.

- Może ciebie. Schodź!

Na jego twarzy pojawił się nieobecny, zamglony uśmiech. Zaczął pieścić jej piersi i Kit poczuła, że znów się rozpływa.

Kiedy zaczął się w niej poruszać, nie chciała już, żeby zszedł. Wpiła ręce w twarde mięśnie ramion, a wargami przyłgnęła do jego szyi. Skórę miał czystą i słoną, a jego posuwiste ruchy były coraz głębsze, przewiercał ją na wylot, paląc żarem jej kości, ciało, nawet duszę.

Wygięła się w łuk i pragnęła, żeby ujeżdżał ją tak dzień i noc, przywarł do niego, do sedna jego męskości, do tej twardej włóczni, która przeszywała ją coraz głębiej, unosząc wyżej i wyżej w oślepiającą jasność, aż rozprysła się w miliony iskier, odpowiadając krzykiem na jego przejmujące wezwanie.

Cześć czwarta

Katharine Louise

Ty sam jesteś źródłem swojego spokoju.

Ralph Waldo Emerson
Self-Reliance

15

Kit leżała sama w rozburzonej pościeli w wielkim łóżu, kiedy obudził ją dobiegający z korytarza hałas. Zamrugała, oślepiona słońcem, usiadła gwałtownie, kiedy pojęła, gdzie się znajduje. Skrzywiła się z bólu.

Do pokoju, bez pukania, wpadła Sophronia.

- Kit! Kochana, dobrze się czujesz? Przyszłabym wcześniej, ale Magnus nie chciał mnie puścić.

Kit nie miała odwagi spojrzeć jej w oczy.

- Nic mi nie jest.

Odsunęła narzutę. W nogach łóżka leżał jej peniuar; Cain musiał go tam położyć.

Kiedy go zakładała, rysy Sophronii stężały. Kit zobaczyła, że patrzy na płamę na prześcieradle.

- Nocowałeś u Magnusa? - zapytała szybko, żeby odwrócić jej uwagę-

Sophronia oderwała wzrok od łóżka i odpowiedziała niepewnie:

- Major nie dał mi wielkiego wyboru. Magnus spał na werandzie.

- Aha. - Kit szła do swojego pokoju, jakby nic się nie stało. - Dokończyła noc na spanie na dworze.

Sophronia poszła za nią. Lucy przygotowała ciepłą wodę i Kit zaczęła się myć. Zapadło ciężkie milczenie.

Po chwili Sophronia odezwała się:

- Zrobił ci krzywdę? Mnie możesz powiedzieć.

- Nic mi nie jest - trochę jakby za szybko powiedziała Kit.
Sophronia usiadła na skraju nietkniętego łóżka.
- Nigdy ci tego nie mówiłam... Nie chciałam, ale teraz...
Kit odwróciła się do niej.
- Co się stało?
- Ja... wiem, jak może skrzywdzić mężczyzna.
Wykręcała nerwowo palce.
- Och, Sophronio...
- Za pierwszym razem miałam czternaście lat. On... on był biały.
Chciałam po tym umrzeć, taka czułam się brudna. Przychodził całe lato.
Zawsze mnie znalazł, choćbym się nie wiem, jak dobrze chowała. Krzy-
czał: „Dziewucho! Ej, ty! Chodź tu!” - Oczy Kit napełniły się łzami.
Podbiegła do przyjaciółki i uklękła obok niej.
- Tak ci współczuję. Nie wiedziałam.
- Skąd mogłaś wiedzieć.
Kit przyciągnęła dłoń Sophronii do policzka.
- Nie mogłaś pójść do mojego ojca i powiedzieć mu o wszystkim?
Nozdrza Sophronii zadrżały. Wyrwała rękę.
- On wiedział, co się dzieje. Biali zawsze wiedzieli, co się przyda-
rza ich niewolnikom.
Kit pomyślała, że na szczęście jeszcze nie zdażyła zjeść śniadania,
zrobiło jej się niedobrze. Słyszała o różnych takich sprawach, ale za-
wsze potrafiła sobie wmówić, że nie dotyczą Risen Glory.
- Nie mówię ci tego, żeby cię zasmucić.
Sophronia starła kciukiem łzę z policzka Kit.
Kit pomyślała o sporach, jakie toczyła przez lata z każdym, kto twier-
dził, że powodem wojny było niewolnictwo. Zrozumiała, dlaczego tak
zawzięcie się kłóciła - w ten sposób odsuwała od siebie prawdę, której
nie chciała zaakceptować.
- Jakież to wstrętne, jakie nikczemne.
Sophronia wstała i odeszła kilka kroków.
- Staram się o tym zapomnieć. Teraz bardziej martwię się o ciebie.
Kit nie chciała rozmawiać o sobie. Wróciła do umywalni, jakby po-
przedniego dnia nic się nie wydarzyło.
- Niepotrzebnie.
- Widziałam jego twarz, kiedy niósł cię do domu. Nie trzeba wiel-
kiej wyobraźni, żeby się domyślić, co przeszłaś. Posłuchaj mnie, Kit.
Nie duś tego w sobie. Wyrzuć z siebie ten cały brud, zanim będzie za
późno.

Kit zastanawiała się, co odpowiedzieć, zwłaszcza po wyznaniu Sophronii. Ale jak mówić o czymś, czego się nie rozumie?

- Obojętnie, jakie to było okropne - ciągnęła Sophronia - możesz ze mną o tym rozmawiać. Zrozumiem cię, kochanie. Na pewno.

- Nie zrozumiesz.

- Ależ tak! Wiem, jak to jest, kiedy...

- Nic nie wiesz! - Kit spojrzała na Sophronię. - Nie przeżyłam tego, co ty - wyjaśniła łagodnie. - Nie było ani wstąpienia, ani nieprzyjemnie.

- To znaczy, że cię nie...

Kit przełknęła ślinę i kiwnęła głową.

- Zrobił to.

Twarz Sophronii poszarzała.

- Chyba nie powinnam była... - Słowa zamarły jej w gardle. - Muszę wracać do kuchni. Patsy źle się wczoraj czuła. - Wybiegła z pokoju, zamiatając suknią podłogę.

Kit patrzyła za nią z poczuciem winy. Po dłuższej chwili sięgnęła do szafy i wyjęła z niej pierwszą suknię, jaka wpadła jej w ręce: cukierkoworóżową, z muślinu. Straciła jeden grzebyk, więc związała włosy pomarańczową wstążką znaną w szufladzie. Nie zwróciła uwagi, że kolory się gryzą.

Gdy zeszła do holu, drzwi wejściowe otworzyły się i stanął w nich Cain z panną Dolly. Kit natychmiast znalazła się w jej pachnącym miętą uścisku.

- Och, najdroższa! To najszczęśliwszy dzień w moim życiu! Kiedy pomyślę, że ty i major mieliście się ku sobie, a ja niczego nie podejrzewałam!

Panna Dolly po raz pierwszy powiedziała o Cainie „major”, niczego nie udając, i Kit przyjrzała się jej uważnie.

- Zrobiłam już majorowi wymówkę, że o niczym mi nie powiedział, i powinnam ciebie również uprzedzić, ale jestem zbyt szczęśliwa.

Stara panna wzięła się pod boki.

- Niech pan spojrzy, majorze, jak szczęśliwie wygląda w tej pięknej sukni i ze wstążką we włosach. Chociaż mogłabyś wybrać inny kolor, Katharine Louise. Tę różową, z satyny, jeśli nie jest zbyt pognieciona. Muszę iść porozmawiać z Patsy o cieście.

Chcąc się Kit w policzek, odrzuciła w stronę kuchni. Kiedy stukot obcasików na drewnianej podłodze zamilkł w oddali, Kit spojrzała na męża.

Równie dobrze mogłaby patrzeć na kogoś obcego. Jego twarz pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu, a oczy chłodne. Namietność, która wczoraj połączyła, wydawała się snem.

Szukała w nim jakichś oznak czułości, potwierdzenia, że to, co zaszło, dla niego też było ważne. Niczego takiego nie znalazła i przeszedł ją zimny dreszcz. Mogła się tego spodziewać, powinna wiedzieć, że tak będzie. Była naiwna, oczekując czegoś innego. Mimo wszystko czuła się oszukana.

- Dlaczego panna Dolly tytułuje cię „majorem”? Co jej powiedziałaś?

Kit zadała te pytania zamiast innych, które cisnęły jej się na usta.

Rzucił kapelusz na stół.

- Powiedziałem, że jesteśmy małżeństwem. Potem zwróciłem jej uwagę, że jeśli dalej będzie o mnie mówić „generał Lee”, to będzie musiała się pogodzić z faktem, że jesteś żoną bigamisty, bo generał jest od dawna żonaty.

- I co ona na to?

- Przyznała mi rację, tym bardziej że moje zasługi wojenne są również niemałe.

- Twoje zasługi wojenne? Jak mogłeś ją tak nastraszyć?

Nareszcie znalazła powód, żeby wylać swoją gorycz.

- Wcale się nie bała. Z radością się dowiedziała, że dzielnie się spisałem, walcząc u boku generała Beauregard.

- On był po stronie Konfederacji.

- Och, Kit. Może kiedyś zrozumiesz wartość kompromisu.

Zrobiwszy kilka kroków w stronę schodów, zatrzymał się.

- Za godzinę wyjeżdżam do Charlestonu. Zwróć się do Magnusa, gdybyś czegoś potrzebowała.

- Do Charlestonu? Dzisiaj?

W oczach miał szyderstwo.

- Oczekiwałaś miodowego miesiąca?

- Nie, oczywiście, że nie. Ale nie uważasz, że będzie wyglądało dziwnie, kiedy wyjedziesz od razu po... po ślubie?

- Od kiedy obchodzi cię, co ludzie powiedzą?

- Masz rację, nie dbam o to. Myślałam po prostu o pannie Dolly i cieście. - Poczowała gniew. - Jedź do Charlestonu. Albo lepiej do piekła. Nie robi mi to różnicy.

Minęła go i dumnym krokiem wyszła przed dom. W duchu spodziewała się, że wyjdzie za nią; miała nadzieję, że tak zrobi. Chciała walki

na słowa, w której mogłaby wyrzucić z siebie cały żal. Drzwi jednak pozostały zamknięte.

Podeszła do rosnącego za domem dębu i oparła się o zwisający konar. Jak ona to wszystko wytrzyma?

Kilka następnych dni spędziła właściwie poza domem. O brzasku zakładała bryczesy i jeździła na Biesie z jednego krańca plantacji na drugi, skrętnie omijając przedziałnię. Rozmawiała z kobietami o ogrodach, z mężczyznami o zbiorach i wędrowała między długimi rzędami krzaków bawełny, aż zachodzące słońce kazało jej szukać schronienia w lesie lub nad stawem.

Staw nie był już taki, jak dawniej. I to miejsce Cain zdołał zbeszcześcić. Siedząc pod wierzbami, Kit rozmyślała o tym, że zabrał jej wszystko: dom, pieniądze, a teraz także ciało. Tyle że to ostatnie oddała z własnej woli.

Czasem wspomnienie upojnej nocy napełniało ją gniewem, innym razem robiła się nerwowa i niespokojna. Wskakiwała na grzbiet Biesa i galopowała do utraty sił.

Dni mijały, nie różniąc się niczym od siebie. Kit nigdy nie była tchórzem, ale tym razem nie znalazła w sobie dość odwagi, żeby osobiście przyjmować gości, i zostawiła ten obowiązek pannie Dolly. Wiedziała, że Cogdellowie nie ujawnią szczegółów ślubu, ale cała reszta była wystarczająco godna potępienia: poślubiła swojego śmiertelnego wroga tak pośpiesznie, że teraz sąsiedzi będą liczyć miesiące, ponadto dzień po ślubie mąż opuścił ją i nie miała pojęcia, kiedy wróci.

Tylko raz zgodziła się przyjąć gości. W pewne wczesne sobotnie popołudnie Lucy zapowiedziała pana Parsella. Brandon znał jej uczucia do Caina, więc z pewnością domyślił się, że została do ślubu zmuszona. Może miał pomysł, jak jej pomóc.

Szybko zamieniła bryczesy na suknię, którą nosiła poprzedniego dnia i zbiegła na dół. Parsell wstał, żeby się przywitać.

- Pani Cain... - Złożył jej formalny ukłon. - Przybyłem złożyć pani gratulacje, jak również przekazać najlepsze życzenia od matki i sióstr. Jestem pewien, że pani i major Cain będziecie bardzo szczęśliwi.

Kit czuła, jak wzbiera w niej histeryczny śmiech. Jakie to typowe dla niego, zachowywać się, jakby nie łączyło ich nic poza luźną znajomością.

- Dziękuję, panie Parsell - odpowiedziała takim samym tonem.

Przez następne dwadzieścia minut bezbłędnie odgrywała rolę, do jakiej przygotowano ją na pensji pani Templeton. Rozmawiała o różach rosnących przed domem, zdrowiu prezesa banku i kupnie nowego dywanu do kościoła.

Brandon ani razu nie wspominał o tym, co zaszło między nimi przed niespełną tygodniem. Kiedy wychodził, dokładnie w dwadzieścia minut od rozpoczęcia wizyty, Kit zastanawiała się, dlaczego tak wiele czasu zajęło jej uświadomienie sobie, jakim był głupcem.

Resztę wieczoru spędziła w bocznym pokoju, skulona w fotelu, ze zniszczonym egzemplarzem *Esejów* Emersona na kolanach. Przed sobą miała mahoniowe biurko, na którym Sophronia prowadziła księgi plantacji. Zapewne Cain będzie sobie życzył, żeby teraz Kit się nimi zajęła, ale jej nie interesowało liczenie obrusów. Nie chciała być panią tego domu. Chciała być właścicielką swojej plantacji.

Wraz z zapadnięciem nocy desperacja Kit pogłębiła się. Cain mógł zrobić z Risen Glory, co mu się podobało, a ona nie była w stanie mu w tym przeszkodzić. Zależało mu bardziej na przędzalni niż na ziemi. Może zdecyduje się podzielić plantację, żeby wytyczyć drogę? Jest hazardzistą. A jeżeli roztrwoni pieniądze z funduszu? Albo sprzeda ziemię?

Zegar w holu wybił północ.

Cain z natury był wędrowcem, nigdzie dłużej nie zagrzał miejsca. Tu przebywa już trzy lata. Ile czasu jeszcze minie, zanim zechce sprzedać Risen Glory i osiedlić się gdzie indziej?

Próbowała się pocieszać, że na razie plantacja jest bezpieczna. Barron zajmuje się przędzalnią i nie zamierza się jej pozbyć, więc chociaż nie leży to w jej naturze, będzie musiała cierpliwie poczekać.

Risen Glory jest bezpieczna, a ona? Co oznacza to głośne bicie serca, kiedy Cain dotyka jej ramienia? Albo ta wyczulona uwaga, kiedy go widzi? Czyżby historia się powtarzała i krew Westonów odpowiadała na zew krwi Cainów? Tak jak niegdyś, kiedy podobne połączenie omal nie doprowadziło Risen Glory do zguby?

- Katharine Louise, dlaczego nie jesteś w łóżku?

W drzwiach stała panna Dolly ze smutną miną w przekrzywionym czepku.

- Nie mogę zasnąć. Przepraszam, jeśli panią obudziłam.

- Dam ci coś na sen.

- Dziękuję, ale nie trzeba.

- Musisz dużo odpoczywać, Katharine. Nie bądź uparta.

- Nic mi nie będzie.

Odprowadziła pannę Dolly na górę, ale ta nie chciała odejść, póki nie nakłoniła Kit do wypicia kilku łyżeczek laudanum.

Zapadła w ciężki sen. Śniła, że przyszedł do niej wielki, płowy lew. Czowała jego męską woń, ale zamiast się bać, zanurzyła ręce w jego grzywie i przyciągnęła do siebie.

Lew zmienił się w jej męża. Szeptał czułe słowa i pieścił ją. Jak przez mgłę czowała jego skórę, ciepłą i wilgotną jak jej własna.

- Teraz cię posiadę - szepnął mąż ze snu.

- Tak - zamruczała. - Och, tak.

Wszedł w nią, a jej ciało przeszedł dreszcz. Poruszała się z nim jedynym rytmem, razem z nim pięła się w górę, aby przed ostatnim spazmem wykrzyknąć jego imię.

Gdy rano się przebudziła, pamiętała jeszcze wczorajsze senne widzenie. Spojrzała na różowo-zielone, jedwabne zasłony przy łóżku, próbując strząsnąć z powiek resztki snu. Wydawał się taki prawdziwy... Lew, który za jej dotknięciem zmienił się w...

Gwałtownie usiadła.

Cain golił się przy jej umywalni. Miał na sobie tylko biały ręcznik okręcony wokół bioder.

- Dzień dobry.

Spojrzała na niego ze złością.

- Idź się golić do siebie.

Odwrocił się i spojrzał znacząco na jej piersi.

- Tu jest ciekawsza sceneria.

Zorientowała się, że narzuta zsunęła się jej do pasa. Szybko podciągnęła ją pod brodę. Zobaczyła leżącą na podłodze zmiętą koszulę nocną. Baron zaśmiał się cicho, widząc, że wstrzymała oddech. Kit chwyciła skraj prześcieradła i naciągnęła je sobie na głowę.

Oczywiście. Wilgoć między udami była prawdziwa.

- Byłaś wczoraj prawdziwą tygrysyca - wycedził z uśmiechem.

A on był lwem.

- Byłam oszołomiona. Panna Dolly wmusiła we mnie laudanum. Niczego nie pamiętam.

- Więc musisz mi uwierzyć na słowo. Byłaś słodka, uległa i robiłaś wszystko, czego chciałem.

- Chyba ci się przyśniło.

- Wziąłem, co mi się należało - powiedział z rozmyślną satysfakcją.

- Dobrze, że twoja niezależność należy już do przeszłości. Potrzebujesz silnej ręki.

- A ty kulki w łeb.
- Wstań i ubierz się, żono. Już zbyt długo się ukrywasz przed ludźmi.

- Nie ukrywam się.
- Powiedziano mi coś innego.

Opłukał twarz i sięgnął po ręcznik.

- Wczoraj w Charlestonie spotkałem jedną z naszych sąsiadek. Z wielką przyjemnością doniosła mi, że nie przyjmujesz gości.

- Wybacz, nie miałam ochoty wysłuchiwać, że poślubiłam Jankesa, który następnego dnia zniknął.

- Tak cię to zabolowało?

Odłożył ręcznik.

- Nie miałem wyjścia. Trzeba odbudować przedziałnię przed zbiorami, więc musiałem zamówić drewno i materiały budowlane.

Podszedł do drzwi.

- Za pół godziny masz być gotowa. Powóz będzie czekał.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Po co?

- Jest niedziela. Państwo Cain jadą do kościoła.

- Do kościoła?

- Tak, Kit. Od dzisiaj przestaniesz się zachowywać jak tchórz i stawisz im wszystkim czoło.

Kit zerwała się na nogi, cały czas ściskając prześcieradło.

- Nigdy w życiu nie postąpiłam jak tchórz!

- Na to właśnie liczę.

Zniknął za drzwiami.

Niechętnie przyznała mu rację. Nie mogła się dłużej ukrywać. Klnąc pod nosem, odłożyła narzutę i zaczęła się myć.

Wybrała niebiesko-białą, muślinową suknię w niezapominajki, którą miała na sobie pierwszego wieczoru po przyjeździe do Risen Glory. Włosy upięła w luźny kok i nałożyła mały, słomkowy kapelusik ozdobiony niebieską satynową kokardą. W uszach zawiesiła kolczyki, a na palec wcisnęła zniechęconą obrączkę.

Ranek był ciepły i wierni stali jeszcze przed kościołem. Kiedy zajechał powóz z Risen Glory, wszystkie głowy zwróciły się w tę stronę. Tylko dzieci bawiące się przed wejściem nie zwróciły uwagi na przybycie Barona Caina z małżonką.

Cain pomógł wysiąść pannie Dolly, potem podał dłoń Kit. Wysiadła z wdziękiem, ale kiedy chciał puścić jej rękę, zbliżyła się do niego. Czu-

le się uśmiechnęła, po czym włożyła mu pod ramię najpierw jedną, potem drugą rękę i zastygła w pełnej uległości i uwielbienia pozie.

- Chyba trochę przesadzasz, nie sądzisz? - mruknął pod nosem.

Rzuciła mu promienny uśmiech i odparła równie cicho:

- Chcę dobrze wypaść. A ty możesz się wypchać.

Pierwsza podeszła do nich Rebecca Whitmarsh Brown.

- Katharine Louise, nie spodziewaliśmy się ciebie dzisiaj. Nie muszę dodawać, że twój pośpieszny ślub wszystkich nas zaskoczył, nieprawdaż, Gladys?

- Z całą pewnością - odparła sztywno jej córka.

Wyraz twarzy młodej kobiety dawał do zrozumienia, że sama chętnie znalazłaby się na miejscu Kit. Jankes czy nie, Gladys nie podobało się, że przegrała z jakąś dzikuską.

Kit posunęła się do tego, że przytuliła policzek do rękawa Barona.

- Ależ pani Brown, Gladys, jestem przekonana, że żartujecie. Przecież każdy, kto ma oczy, widział od początku, że major i ja mamy się ku sobie. Oczywiście, pan Cain, jako mężczyzna, znacznie lepiej skrywał swoje uczucia niż ja, słaba kobieta.

Cain wydał odgłos, jakby się dusił, a panna Dolly zamrugała rzęsami.

Kit westchnęła.

- Z całych sił próbowałam zwalczyć w sobie uczucie: przecież major to jankeski intruz, jeden z najgorszych wrogów. Ale, jak pisał Szekspir, miłość wszystko zwycięża. Prawda, kochanie?

- To napisał Wergiliusz, moja droga. Nie Szekspir - zauważył sucho Cain.

Kit uśmiechnęła się szeroko.

- A jaki jest mądry! Kto by się spodziewał, że Jankes tyle wie. Większość z nich to przecież straszni dyletanci.

Baron ścisnął jej ramię w pozornie czułym geście, który w istocie był ostrzeżeniem.

Kit zaczęła się wachlować.

- Strasznie dziś gorąco. Może lepiej wejdźmy do środka, kochanie, tam jest chłodniej. Bardzo mi dziś dokucza upał.

Jeszcze nie skończyła mówić, a już kilkanaście par oczu patrzyło na jej brzuch.

Tym razem Cain miał z całą pewnością złośliwą satysfakcję.

- Oczywiście, najdroższa. Chodźmy natychmiast.

Poprowadził ją na schody, obejmując ramionami jak delikatny kwiat wymagający teraz jego szczególnej troski.

Kit czuła, jak spojrzenia zgromadzonych wwiercają się w jej plecy. Wyobrażała sobie, jak odliczają miesiące. Niech liczą, pomyślała. Wkrótce się przekonają, że są w błędzie.

I wtedy poraziła ją straszna myśl.

Znachorka od niepamiętnych czasów mieszkała w zrujnowanej chacie na ziemi Parseliów. Powiadano, że ojciec Brandona, stary Godfrey Parsell, kupił ją na targu niewolników w Nowym Orleanie, inni twierdzili, że urodziła się w Holly Grove i była półkrwi Indianką Cherokee. Nikt nie wiedział, ile ma lat, i nikt nie znał jej prawdziwego imienia.

Bez względu na kolor skóry, każda kobieta w hrabstwie w końcu do niej trafiała. Umiała leczyć kurzajki, przepowiadać przyszłość, sporządzała napoje miłosne i określała płeć nienarodzonych dzieci. Była jedyną osobą, która mogła pomóc Kit.

- Dzień dobry, znachorko. Jestem Kit Weston, teraz Katharine Louise Cain. Córnka Garretta. Pamiętasz mnie?

Drzwi uchyliły się ze zgrzytem i wysunęła się zza nich stara, siwa głowa.

- Córnka Garretta Westona już całkiem dorosła. - Z ust kobiety wydobył się suchy, zgrzytliwy chichot. - Twój tatuś na pewno smaży się w piekle.

- Pewnie masz rację. Czy mogę wejść?

Zielarka wpuściła ją i Kit znalazła się w małym, wysprzątanym pokoiku. Pełno w nim było wiązek cebuli i czosnku, a z krokwi zwisały pęki ziół. W kątach stały zdekompletowane meble, a pod jedynym oknem Kit zauważyła stary kołowrotek. Jedna ze ścian zawieszona była półkami z surowego drewna, które ugięły się pod ciężarem słoików i garnków.

Znachorka zamieszała aromatyczną zawartość kociołka, który wisiał nad ogniem na żelaznym haku, i usiadła koło kominka w fotelu na biegunach. Nie zwracając uwagi na Kit, zaczęła się bujać, nucąc cicho, głosem podobnym do szelestu opadających liści.

- Jest taki balsam Mekka...

Kit siedziała blisko niej na wyplatany krześle i słuchała. Od tamtej niedzieli zastanawiała się, co zrobi, jeśli będzie miała dziecko. Uzależniła ją to od Caina do końca życia. Nie mogła na to pozwolić, kiedy była jeszcze szansa, że zdarzy się cud i odzyska wolność.

Gdy tylko wrócili z kościoła, Baron zniknął, ale Kit mogła wyjść dopiero po południu, kiedy panna Dolly udała się do pokoju, żeby przeczytać Biblię i uciąć sobie drzemkę.

Znachorka przestała śpiewać.

- Dziecko, powierz troski Jezusowi, a poczujesz się lepiej.

- Nie sądzę, żeby mógł mi pomóc.

Stara kobieta spojrzała w sufit i wychrypiała:

- Panie, czy słyszysz, co to dziecko mówi?

Kościstą piersią wstrząsnął śmiech.

- Twierdzi, że Ty jej nie pomożesz. Myśli, że stara znachorka potrafi, a Twój Syn Jezus - nie.

Oczy jej zwilgotniały od śmiechu, wytarła je rogiem fartucha.

- O, Panie - zachichotała. - Jest jeszcze taka młoda.

Kit dotknęła jej kolana.

- Muszę mieć pewność. Nie mogę urodzić dziecka. Dobrze ci zapłacę, jeśli mi pomożesz.

Kobieta przestała się huścić i po raz pierwszy spojrzała Kit prosto w twarz.

- Dzieci są darem niebios.

- Ale ja nie chcę takiego podarunku.

W chatce panował nieznośny upał. Kit wstała.

- Kiedy byłam mała, podsłuchałam rozmowę niewolnic. Mówiły, że pomagają im uniknąć ciąży, chociaż groziła za to śmierć.

Żółtawe oczy czarownicy zwięzły się w wyrazie potępienia.

- Dzieci tych kobiet były sprzedawane. Ty jesteś biała. Nie będziesz musiała cierpieć, że wrywają ci dziecko z ramion, żeby go już nigdy nie oddać.

- Wiem. Ale nie mogę zająć w ciążę. Nie teraz.

Zielarka znów zaczęła się bujać, śpiewając.

- Jest taki balsam Mekka, co goi wszystkie rany. Jest taki balsam...

Kit podeszła do okna. To nie miało sensu. Stara kobieta jej nie pomoże.

- Ten Jankes to diabeł wcielony, ale jest w nim też dobro - zaskrzyphiała starucha.

- Dużo diabła, a mało dobra.

Znachorka zaśmiała się.

- Taki mężczyzna ma mocne nasienie. Potrzebujemy silnego lekarstwa.

Z trudem wstała i powłócząc nogami, podeszła do ściany z półkami. Odkręciła jeden słoik, potem następny. W końcu nasypała sporo szarobiałego proszku do słoika po dzemie, przykryła kawałkiem płótna i okręciła sznurkiem.

- Rozpuść trochę tego w szklance wody i wypij rano, kiedy mąż cię użyje.

Kit wzięła słoik i uściśnęła ją z wdzięcznością.

- Dziękuję.

Wyjęła kilka banknotów i wcisnęła jej w rękę.

- Zrób tak, jak mówi znachorka, panienko. Znachorka wie, co dla ciebie najlepsze.

Odwróciła się do ognia, chichocząc złośliwie do znanych tylko sobie myśli.

16

Zegar stojący wybił dziesiątą. Kit stała na niskiej drabince w bibliotece, chcąc zdjąć z półki książkę, gdy otworzyły się frontowe drzwi. Tylko jedna osoba w tym domu potrafiła tak nimi trzaskać. Kit przez cały dzień przygotowywała się na jego powrót.

Po południu, wracając od znachorki, widziała go z daleka. Była niedziela, więc pracował w przędzalni sam. Nagi do pasa, rozładowywał drewno, które przywiózł z Charlestonu.

- Kit!

Światło w oknie biblioteki zdradziło mu, gdzie jest, a sądząc po głosie, nie był w najlepszym nastroju.

Drzwi do biblioteki otwarły się szeroko. Cain stał w przepoconej koszuli, brudne spodnie miał wepchnięte w buty, które z pewnością zostawiły w holu ślady błota. Sophronia nie będzie zachwycona.

- Kiedy cię wołam, masz natychmiast przyjść! - warknął.

- Och, gdybym tylko umiała fruwać! - odpowiedziała z niewinną miną. Cain nie miał jednak ochoty na żarty.

- Nie podoba mi się, że muszę cię szukać po całym domu, kiedy wracam.

Był tak nieznośny, że Kit prawie się roześmiała.

- Zacznę nosić dzwonek. Potrzebujesz czegoś?

- Tak. Po pierwsze, kąpeli i czystego ubrania. A potem kolacja.

W moim pokoju.

- Powiem Sophronii.

Spodziewała się, że zaprotestuje.

- Sophronia nie jest moją żoną. To nie przez nią sześć godzin musiałem rozładowywać drewno. Wcale bym go nie potrzebował, gdyby nie przyszło ci do głowy bawić się zapałkami. Ty się mną zajmiesz.

Oparł się o futrynę, czekając na sprzeciw.

Kit starała się go udobruchać.

- Z przyjemnością. Zaraz zajmę się kąpielą.

- I kolacją.

- Ależ oczywiście!

Minęła go i poszła do kuchni, marząc, by wsiąść na Biesa i odjechać stąd na zawsze. Ale czy zły humor męża jest w stanie zmusić ją do opuszczenia Risen Glory?

Nie znalazła Sophronii, więc kazała Lucy przygotować kąpiel. Po-lem poszukała czegoś do jedzenia. Rozważała trutkę na szczury, ale w końcu zdecydowała się na danie, które Patsy trzymała w ciepłym piecyku. Zdjęła z niego pokrywkę, żeby wystygło.

W drzwiach stanęła zdyszana służąca.

- Pan Cain prosi panią natychmiast na górę.

- Dziękuję, Lucy.

Niosąc talerz do jego pokoju, Kit dmuchała na posiłek. Zastanawiała się, czy go solidnie nie posolić, ale nie zdobyła się na to. Mógł być samym Lucyferem, ale ciężko pracował cały dzień. Letnia kolacja wystarczy.

Gdy weszła do pokoju, Cain siedział rozwalony w fotelu.

- Gdzie byłaś, do cholery?

Zrzędził jak lew z cierniem w łapie.

- Zajmowałam się twoją kolacją, najdroższy.

Zmrużył oczy.

- Pomóż mi zdjąć te przeklęte buty.

Mógł je sam zdjąć, ale szukał zwady. Kiedy indziej Kit stawiałaby mu czoło, ale skoro tak bardzo mu zależało, postanowiła być przekorna.

- Tak jest, skarbie.

Podeszła, odwróciła się tyłem i stanęła okrakiem nad jego nogą.

- Zaprzyj się, to łatwiej zejdziesz.

Mógł się zaprzeczyć tylko w jeden sposób: opierając zabłocony but o jej pośladek. Tak jak myślała, nie zrobił tego.

- Już dobrze, sam je zdejmę.

- Na pewno? Niczego tak nie pragnę, jak służyć ci pomocą.

Rzucił jej posępne spojrzenie, mruknął coś pod nosem i zdjął buty. Kiedy wstał, żeby się rozebrać, Kit pospiesznie zajęła się porządkowaniem przedmiotów na komodzie.

Za plecami słyszała, jak kolejne części garderoby spadają na podłogę. Chlupnęła woda, gdy wchodził do wanny.

- Chodź tu i umyj mi plecy.

Zdawał sobie sprawę, że poniósł fiasko w poprzedniej potyczce i chciał się odegrać. Kit odwróciła się i zobaczyła, jak pół siedział, pół leżał podparty jedną ręką o brzeg, z łydką przewieszoną przez krawędź wanny.

- Zdejmij suknię, żeby się nie zmoczyła.

Był pewien, że tym razem się sprzeciwi i da mu pretekst do represji. Przeliczył się, gdyż Kit miała pod spodem skromną koszulkę i kilka hałek. Rozpinając suknię, omijała wzrokiem wannę.

- Jesteś bardzo przewidujący.

Woda chyba poprawiła mu humor, bo z oczu zniknęła twardość.

- Miło, że zauważyłaś. A teraz wyszoruj mi plecy.

O, tak. Wyszoruje mu plecy. Do krwi.

- Auu!

- Przepraszam - rzekła z niewinną miną. - Myślałam, że jesteś bardziej wytrzymały.

- Nie zapomnij o piersi - zemścił się.

Wiedział, że postawi ją w niezręcznej sytuacji. Trzymała się celowo z tyłu, a w ten sposób ciężko jej będzie go umyć. Ostrożnie sięgnęła w przód.

- Tak nie umyjesz mnie dokładnie.

Złapał ją za nadgarstek i przeciągnął na bok, przy okazji mocząc jej przód koszulki.

Starając się nie patrzeć w dół, zamoczyła gąbkę i zaczęła namydlać owłosioną pierś. Próbowwała nie myśleć o białych kółkach piany, które na niej robiła, ale koliste ruchy na twardych mięśniach podniecały ją.

Wypadła jej jedna ze spinek i kosmyk włosów zanurzył się w wodzie. Cain podniósł rękę, żeby wetknąć go jej za ucho. Kit przykucnęła. Oczy Barona przesunęły się z jej twarzy w dół. Zorientowała się, że przemoczona koszulka jest przezroczysta.

- Po... postawię talerz na stoliku, żebyś mógł zjeść, gdy już się wytrzesz.

- Dobrze - odparł niskim głosem.

Nie spiesząc się, uprzątnęła mały stolik przy kominku. Słyszała, jak Cain się wyciera. Spojrzała na niego ukradkiem.

Ubrał się tylko w spodnie, a mokre włosy gładko zaczesał do tyłu. Nerwowo oblizała wargi.

- Jedzenie chyba trochę wystygło, ale na pewno będzie ci smakować.
Ruszyła w stronę drzwi.

- Siadaj, Kit. Nie lubię jeść sam.

Niechętnie usiadła naprzeciw niego. Zaczął jeść, a w wyobraźni Kit łóżko z baldachimem, zajmujące róg pokoju, zaczęło się rozrastać do ogromnych rozmiarów i wypełniło cały pokój. Musiała się czymś zająć.

- Na pewno chcesz, żebym przejęła obowiązki Sophronii, ale...

- Chciałabyś to robić?

- Nie powiedziałam, że chcę. Mogę gotować, ale z resztą średnio sobie radzę.

- Więc zostawmy to Sophronii.

Przygotowała się do walki, a tymczasem jedno krótkie zdanie Caina spowodowało, że uszło z niej powietrze.

- Chcę, żebyś się zajęła tylko jedną sprawą, poza troszczeniem się o mnie, oczywiście.

Kit zeszywniała. Na pewno wymyślił coś, czego będzie nienawidziła.

- Wczoraj w nocy lis zagryzł kurczaka. Spróbuj go wytropić. Podejrzewam, że strzelasz lepiej niż większość mężczyzn w okolicy.

Kit wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

- A jeśli będziemy mieli ochotę na dziczyznę, upolujesz coś. Ja nie mogę się teraz zajmować niczym poza przedziałnią.

Nie wierzyła własnym uszom. Była wściekła, że tak dobrze ją rozumie. Jako żona Brandona nie miałyby takiej swobody. Z drugiej strony, Brandon nie patrzyłby na nią tak, jak Cain w tej chwili.

Łóżko ciągle rośło. Czuła coraz większe napięcie. Zatrzymała wzrok na iskrzących się kryształach przy lampie, potem spojrzała na książki, które leżały przy łóżku.

Przy łóżku.

Popatrzyła na ręce Barona. Szerokie, o szczupłych, kwadratowo zakończonych palcach. Dłonie, które pieściły jej ciało i poruszały każdy nerw. Palce, które znały jej najtajniejsze zakamarki...

- Chleba?

Kit drgnęła. Cain częstował ją resztą posiłku.

- Nie, nie. Dziękuję.

Próbowała przywołać się do porządku.

- Panna Doiły była dziś bardzo zdenerwowana. Nie potrzebuję już przywoitki i Dolly obawia się, że ją odprawisz. Powiedziałam jej, że niczego podobnego nie zrobisz i że może tu zostać, jak długo chce.

Myślała, że będzie protestował, ale tylko wzruszył ramionami.

- Panna Dolly należy już do rodziny, czy nam się to podoba, czy nie. Tak chyba jest lepiej. Skoro żadne z nas nie zwraca uwagi na konwenanse, to może chociaż dzięki niej będą nas szanować.

Kit zerwała się od stołu.

- Nie bądź taki rozsądny!

- Dobrze. Rozbieraj się.

- Nie.

- Chyba nie sądziłaś, że zadowolę się tylko kąpielą i kolacją?

- Jeśli liczysz na coś więcej, zmusz mnie.

- Naprawdę?

Usiadł leniwie w fotelu i pożerał ją wzrokiem.

- Porozpinaj te koronki. Chcę patrzeć, jak się rozbierasz.

Kit zmagiała się z falą podniecenia, która napełniła ją zdumieniem.

- Idę do łóżka. Sama.

Cain odprowadzał ją wzrokiem, gdy maszerowała do drzwi i widział jej wewnętrzną walkę. Teraz, kiedy poznała smak namiętności, pragnie go tak bardzo, jak on jej. Prędkiej jednak zginie, niż się do tego przyzna.

Była taka piękna, że serce mu się ścisnęło od samego patrzenia. Czy taką słabość czuł jego ojciec do matki?

Ta myśl go zmroziła. Chciał dziś podrażnić Kit, żeby wybuchła gniewem i doprowadziła się do zguby. Chciał ją upokorzyć, żeby zrozumiała, jak mało dla niego znaczy. Dopiero kiedy to pojmie, Cain będzie mógł bez obaw brać ją w ramiona.

Ciągle miał zamiar się z nią kochać. Ale nie tak, czule i delikatnie. Nie jest taki głupi.

Wstał i poszedł do jej drzwi. Oczywiście, zamknęła się przed nim na klucz. Spodziewał się tego. Cierpliwością mógłby skruszyć jej opór, ale dziś nie miał jej w nadmiarze. Zamek ustąpił przy pierwszym kopniaku.

Nie zdążyła się jeszcze rozebrać, tylko połuźniła wstążkę na koszulce i rozpuściła włosy, które spadały teraz czarną kaskadą na kremowe ramiona. Nozdrza jej drżały.

- Wyjdź stąd! Złe się czuję.

- Zaraz będzie ci lepiej.

Wzięła ją na ręce i zaniósł do swojego łóżka.

- Nie chcę!

Rzucił ją na materac.

- Zrobisz wszystko, czego zażądam!

- Będę ci czyścić buty i podawać kolację. I nic więcej, do diabła!
Mówił cicho, chociaż krew w nim wrzała.

- Na kogo się wściekasz? Na mnie, że cię zmuszam, czy na siebie, że chcesz, abym cię zmuszał?

-Ale ja nie chcę...

- Chcesz.

Zdjął z niej ubranie, opór Kit łagodniał z każdą pieszczotą.

- Dlaczego musi tak być? - zapytała szeptem.

Zanurzył twarz w jej włosach.

- Bo nic na to nie poradzimy.

Spotkały się tylko ich ciała, nie dusze. Każde z nich było zaspokojone, ale nic więcej. Dokładnie tak, jak chciał.

Nigdy przedtem nie czuł się tak podle.

Przewróciwszy się na plecy, patrzył tępo w sufit. Dobrze pamiętał swoje burzliwe, nieszczęśliwe dzieciństwo. Oprócz pieniędzy, ojciec stracił przez matkę dumę i honor, a Cain czuł, że traci głowę dla Kit jak Nathaniel dla Rosemary.

Wziął głęboki wdech. Kit może żywi do niego namiętność, jednak na pewno nie tak silną, jak do Risen Glory. Pod jej požądaniem kryje się zwykła nienawiść.

Nagle zrozumiał, co musi zrobić, i świadomość tę odczuł jako potworny cios. Desperacko szukał innego sposobu, ale nie znalazł. Nie pozwoli, żeby kobieta odarła go z godności, a to oznacza, że nie może jej tknąć: ani jutro, ani pojutrze - do czasu, aż minie urok, jaki na niego rzuciła.

A to może trwać wieczność.

Tygodnie mijały, a oni coraz bardziej odsuwali się od siebie. Żyli jak sąsiedzi, którzy witają się skinieniem głowy, ale rzadko ze sobą rozmawiają. Cain zatrudnił dodatkowych ludzi do pracy w przędzalni i w niecały miesiąc zniszczenia po pożarze zostały usunięte. Nadszedł czas, by zainstalować maszyny.

W miarę upływu dni gniew Kit zamienił się w niepewność. Od tamtej niedzielnej nocy Cain nie tknął jej. Podawała mu kolację, kiedy wracał z pracy, pilnowała, żeby kąpiel była gotowa, i grała rolę przykładnej żony, więc był dla niej uprzejmy. Ale nie spał z nią.

Włóczyła się po lesie w ubłoconych butach, ze sztycherem i jutowym workiem z upolowanymi królikami. Cain wymagał, żeby czekała na niego.

kiedy wracał; poza tym nie obchodziły go jej obyczaje. Ale nawet w lesie nie znajdowała ukojenia; była zbyt niespokojna, zbyt zdezorientowana.

Elsbeth przysłała list:

Najdroższa Kit!

Kiedy z twojego ostatniego listu dowiedziałam się, że wyszłaś za majora Caina, narobiłam takiego krzyku, że przestraszyłam biedną Mamę. Ty jaszczurko! Kiedy sobie przypominę, jak na niego narzekałaś! To na pewno najbardziej romantyczna histoire d'amour, jaką słyszałam. I świetne rozwiązanie twoich kłopotów - teraz masz Risen Glory i kochającego męża.

Musisz mi napisać, czy oświadczyły były tak romantyczne, jak sobie wyobrażam. Widzę cię w pięknej sukni (tej, którą miałaś na balu), a major klęczy przed tobą z rękami złożonymi na piersi, jak ćwiczyłyśmy. Kochana Kit (przepraszam: droga pani Cain!), koniecznie musisz mi wszystko dokładnie opisać.

Myślę, że ucieszysz cię to, co chcę ci wyjawić. Nie będzie to pewnie zaskoczeniem. W październiku i ja wychodzę za mąż! Pisałam ci już, że ostatnio często spotykam się z długoletnim przyjacielem brata, Edwardem Matthews. Jest trochę ode mnie starszy i dotąd traktował mnie jak dziecko. Zapewniam cię jednak, że już przestał.

Najmilsza Kit! Szkoda, że jesteśmy tak daleko od siebie i nie możemy prowadzić długich rozmów, jak dawniej, ani dzielić się sekretami o naszych kochanych mężczyznach, twoim Baronie i moim Edwardzie. Ponieważ jesteś zamężna, mogę ci zadać pytanie, którym wstydzę się niepokoić kochaną Mamę.

Czy „hańba Ewy” rzeczywiście jest tak potworna, jak mówiła pani Templeton? Zaczynam podejrzewać, że się myliła, bo nie wyobrażam sobie, żeby między mną a Edwardem mogło zająć coś odrażającego. Nie powinnam chyba zadawać takich pytań, ale ostatnio strasznie mnie to gnębi. Kończę, zanim stanę się jeszcze bardziej niedyskretna. Bardzo za tobą tęsknię!

*Pa, chere, chere amie,
Elsbeth*

List tydzień leżał na biurku, czekając na odpowiedź. Kit kilka razy zabierała się do odpisywania i odkładała pióro. W końcu nie mogła już dłużej zwlekać.

Droga Elsbeth!

Z radością przeczytałam twój list. Cieszę się wraz z tobą. Edward jest idealnym kandydatem na męża. Na pewno będziesz najpiękniejszą panną młodą w Nowym Jorku. Szkoda, że nie możemy się spotkać.

Zdziwiło mnie, jak trafnie wyobraziłaś sobie oświadczyiny Barona. Wszystko się zgadza, łącznie z suknią z balu.

Wybacz mi tak krótki list, ale mam jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia.

*Serdeczne pozdrowienia,
Kit*

PS

Nie przejmuj się „hańbą Ewy”. Pani Templeton kłamała.

Był już koniec sierpnia, kiedy Kit odważyła się odwiedzić przędzalnię, a i to tylko dlatego, że wiedziała, iż nie spotka tam Caina. Nadeszła pora zbiorów i pracował z Magnusem w polu od świtu do zmierzchu, zostawiwszy na budowie Jima Childsa.

Chociaż nie była w przędzalni od tamtej okropnej nocy, kiedy próbowała ją spalić, ciągle o niej myślała. Czuła strach, podejrzewała, że Cain będzie chciał ją rozbudować i że zrobi to kosztem plantacji. Równocześnie fascynowało ją to przedsięwzięcie. Kit urodziła się na Południu i bawełna była jej przeznaczeniem. Czy przędzalnia potrafi dokonać takiego cudu, jak odziarniarka? Czy może okaże się przekleństwem?

Jadąc w tamtą stronę, przypomniła sobie przypowieść, która znali wszyscy: bogaci i biedni, czarni i biali. Opowieść o tym, jak w dziesięć dni ocalono Południe.

Pod koniec dziewiętnastego wieku plaga diabelskich nasion powoli zabijała Południe. Istniała, oczywiście, bawełna z Sea Island o długim, jedwabistym włóknie, z której nasiona wyskakiwały tak łatwo, jak pestka z dojrzałej wiśni, ale jeśli nie miałeś piaszczystej ziemi nad morzem, mogłeś o niej zapomnieć, bo nie chciała rosnąć nigdzie indziej.

Mogłeś uprawiać tytoń, ale po kilku latach ziemia była jałowa.

Ryż, indygo, kukurydza dawały dobre plony, ale nie można się było na nich wzbogacić. Południe też się nie bogaciło, a bardzo potrzebowało dopływu pieniędzy, które otworzyłyby przed nim świat.

Wszystko przez diabelskie nasiona. Zielone ziarno bawełny można było siać na całym Południu, bo nie było wymagające. Nie potrzebowało

piaszczystej ziemi ani morskiego powietrza. Ta bawełna rosła zupełnie jak chwast. I tyle też była warta, bo diabelskie nasiona przyczepiały się do krótkich, grubych włókien jak rzepy, jakby przyklejone przez samego diabła.

Trzeba było pracować dziesięć godzin, by oddzielić ćwierć kilograma bawełny od półtora kilograma diabelskich nasion. Szatan musiał się niezłe bawić, widząc wysiłki człowieka.

Skąd miały nadejść pieniądze na ratunek Południu?

Plantatorzy przestali kupować niewolników, a tym, których mieli, obiecali wyzwolenie.

I wtedy do Savannah przybył nauczyciel. Umysł chłopaka z Massachusetts pracował inaczej niż u pozostałych ludzi. Wymyślał maszyny. Opowiedzieli mu o nasionach i krótkich włóknach. Poszedł do szopy, gdzie je oddzielali, i przypatrywał się, z jakim mozołem to robią.

Półtora kilograma nasion i tylko pół kilograma bawełny. Dziesięć godzin.

Nauczyciel zabrał się do pracy i w ciągu dziesięciu dni ocalił Południe. Skonstruował drewnianą skrzynkę z walcami i haczykami oraz metalową płytę z otworami. Z boku kręciło się korba. Haczyki chwyciły bawełnę i przeciągały między walcami, a nasiona wpadały do skrzynki.

Stał się cud. Zaczęły płynąć pieniądze. Plantatorzy kupowali teraz coraz więcej niewolników. Mieli do obsadzenia bawełną tysiące hektarów ziemi i potrzebowali wielu silnych rąk do pracy. Obietnice wyzwolenia poszły w niepamięć. Eli Whitney, nauczyciel z Massachusetts, dał im odziarniarkę.

Kit przywiązała Biesa i szła w stronę ceglanego budynku, myśląc o tym, że odziarniarka, która kiedyś ocaliła Południe, doprowadziła je również do zguby. Bez tego urządzenia niewolnictwo powoli by zanikło i nie byłoby wojny. Czy przędzalnia przyniesie takie same katastrofalne skutki?

Nie tylko Cain uświadamiał sobie, jak ważne było, żeby Południe miało własne przędzalnie i nie musiało wysyłać surowej bawełny do przetworzenia. Wkrótce takich ludzi przybędzie. W końcu południowe stany zaczną przerabiać bawełnę od początku do końca: będą ją uprawiały, odziarniały, przędły i tkwały. Dzięki przędzalniom wróci dobrobyt. Podobnie jednak jak odziarniarka, przędzalnie spowodują zmiany, szczególnie na takich plantacjach jak Risen Glóry.

Jim Childs oprowadził ją po fabryczce, nie okazując zdziwienia, że żona pracodawcy pojawia się nagle po dwóch miesiącach nieobecności.

Cain nie powiedział nikomu, że pożar był dziełem Kit. Chyba tylko Magnus i Sophronia znali prawdę. Kit pomyślała, że chętnie zobaczy olbrzymie maszyny przy pracy, gdy ruszą w październiku.

Wracając do domu, dostrzegła Barona. Stał przy wozie wyładowanym bawełną. Był bez koszuli, a jego pierś lśniła od potu. Zdjął z ramion pracownika worek z bawełną i wysypał ją na wóz. Zdjął kapelusz i otarł czoło.

Mocne, naprężone mięśnie rysowały się pod skórą. Zawsze był szczupły i muskularny, a dzięki ciężkiej pracy na plantacji nabrał jeszcze większej siły. Kit poczuła dziwną słabość, gdy wyobraziła sobie jego nagie ciało. Potrząsnęła głową, chcąc wymazać ten obraz.

Po powrocie do Risen Glory rzuciła się w wir pracy, nie bacząc, że na dworze panuje nieznośny, sierpniowy upał, a w kuchni także jest strasznie gorąco. Do wieczora zdążyła przygotować gulasz z zółwia, kukurydziane bułeczki i ciasto z galaretką, ale nie pozbyła się niepokoju.

Postanowiła wykapać się w stawie. Kiedy wyjeżdżała ze stajni na Biesie, przypomniała sobie, że będzie musiała minąć pole, na którym pracował Cain. Domyśli się, dokąd Kit jedzie. Myśl ta nie zepsuła jej humoru - przeciwnie, podniecona, uderzyła piętami w boki konia i przyspieszyła.

Cain zauważył ją. Uniósł nawet rękę i lekko zasalutował, ale nie pojawił się nad stawem. Kit pływała w zimnej wodzie naga i samotna.

Następnego ranka obudziła się z comiesięczną dolegliwością. Po południu ulga. że nie jest w ciąży, ustąpiła miejsca przesywającemu bólowi. Jeszcze nigdy nie cierpiała tak bardzo z tego powodu.

Z początku próbowała złagodzić ból, chodząc, ale poddała się. Zdjęła suknię i halki i położyła się do łóżka. Sophronia dała jej jakieś lekarstwo, a panna Doiły czytała *Chrześcijański sekret szczęśliwego życia*, ale ból nie przeszedł. W końcu Kit kazała im wyjść.

Niedługo cieszyła się spokojem. W porze kolacji ktoś z hałasem otworzył drzwi i do pokoju wmaszerował Baron.

- Co ci jest? Panna Dolly powiedziała, że jesteś chora, ale gdy spytałem na co, zaczęła się wiercić nerwowo i uciekła do pokoju.

Kit leżała na boku z kolanami pod brodą.

- Odejdź - poprosiła.

- Najpierw powiesz mi, co się dzieje.

- Nic wielkiego. Do jutra mi przejdzie. A teraz już idź.

- Ani mi się śni! W domu jest cicho jak w kaplicy, moja żona zamknęła się w pokoju i nikt nie chce mi nic powiedzieć!

- Mam okres - wyszeptała Kit, zbyt chora, żeby czuć wstyd. - Pierwszy raz tak źle się czuję.

Cain odwrócił się i wyszedł.

Gbur bez krzyku współczucia! Kit złapała się za brzuch i jęknęła.

Niecałe pół godziny później poczuła, że łóżko ugina się pod czymś ciężarem.

- Wypij to. Poczujesz się lepiej. - Cain podtrzymał ją i zbliżył filiżankę do ust. Kit wypiała i na moment zaparło jej dech.

- Co to jest?

- Ciepła herbata z podwójnym rumem. Stępi ból.

Była paskudna w smaku, ale Kit nie miała siły protestować. Gdy Baron delikatnie ją położył, zakręciło jej się w głowie. Poczowała lekki zapach mydła i zrozumiała, że Cain się wykapał, zanim do niej wrócił. Poczowała ciepło w sercu.

Baron pociągnął za prześcieradło, którym się przykryła. Kit miała na sobie tylko bawełnianą, prostą koszulkę jeszcze z czasów pensji, i wytworne, lekko pogniecione pantalone. Jak zwykle nie od kompletu.

- Zamknij oczy i odpręż się - szepnął Cain.

Kit poczuła, że opadają jej powieki. Gdy zamknęły się na dobre, Baron zaczął masować jej krzyż, przesuwając ręce wzdłuż kręgosłupa. Kit nie wiedziała, kiedy rozpiął stanik i zaczął masować plecy. Zасыpiając, czuła tylko, że jego dotyk odpędza ból.

Następnego ranka znalazła w wazoniku przy łóżku bukiet polnych stokrotek.

17

Pod koniec lata nad Risen Glory zawisła aura niespokojnego oczekiwania. Żniwa się skończyły - wkrótce przedziałnia miała ruszyć.

Sophronia była w wojowniczym nastroju, coraz bardziej rozdrażniona i niespokojna. Ulgę przynosiła jej tylko myśl, że Kit nie dzieli z Cainem łóża. Nie była o niego zazdrosna; po prostu póki Kit z nim nie sypiała, Sophronia nie musiała przyjmować do wiadomości, że porządna kobieta, jak Kit lub ona sama, może czerpać z tego przyjemność. Jeżeliby tak było, wszystkie starannie przemyślane tezy Sophronii, co jest, a co nie jest właściwe, ległyby w gruzach.

Sophronia wiedziała, że czas ucieka. James Spence naciskał, żeby się zdecydowała, czy chce być jego utrzymanką. Znalazł dla niej mały, piękny domek w Charlestonie, z dala od plotkarskich języków Rutheford, gdzie czułaby się bezpieczna. Sophronia, której obca była bezczynność, ostatnio coraz częściej patrzyła w okno, spoglądając w kierunku domu nadzorcy.

Magnus czekał. Wyczuwał, że Sophronia dojrzeje do podjęcia decyzji, i przygotowywał się na nią. Zastanawiał się, na ile starczy mu cierpliwości i jak będzie żył, jeśli Sophronia wybierze Jamesa Spence'a z jego pięknym powozem, kopalnią fosforytu i skórą białą jak brzuch ryby.

Cain nie musiał już tyle pracować, ponieważ bawełna została zebrana, a maszyny w przędzalni zainstalowane. Potrzebował jednak jakiegoś wyczerpującego zajęcia, aby oderwać myśli od gwałtu, jaki sobie zadawał. Nigdy jeszcze nie był tak długo bez kobiety.

Zazwyczaj wracał do domu w porze kolacji. Nie mógł się zdecydować, czy Kit celowo doprowadza go do szału, czy robi to nieumyślnie. Co wieczór siadała do stołu, pachnąc jaśminem, z fryzurą, która oddawała jej nastrój. Raz upinała włosy wysoko, a małe loczki otaczały jej twarz jak miękkie, czarne piórka. Kiedy indziej czesała się na surową hiszpańską modłę, z przedziałkiem pośrodku i ciężkim węzłem na karku, jakby kusząc, żeby Cain go rozwiązał. Za każdym razem z trudem odrywał od niej oczy. Co za ironia. On, który nigdy nie był wierny żadnej kobiecie, teraz dochowywał wierności tej, z którą nie mógł się kochać, dopóki nie wyznaczy jej odpowiedniego miejsca w swoim życiu.

Kit także cierpiała. Jej rozbudzone ciało nie chciało zapaść w sen. Męczyły ją niezwykle, erotyczne fantazje. Znalazła książkę, którą dawno temu dostała od Caina: *Żdźbła trawy* Walta Whitmana. Dawniej wiersze wprawiały ją w zakłopotanie; teraz długie wersy, pełne zmysłowych obrazów rozpały jej ciało.

*Miłosne myśli, soki miłości, zapach miłości i jej dawanie,
Miłosna wspinaczka i wznosząca się siła,
Ręce i dłonie miłości, usta miłości i falliczny jej palec,
Podbrzusza przyciśnięte i sklezione miłością...*

Pragnęła jego dotyku. Popołudniami biegła do pokoju i brała długie kąpiele, a do kolacji ubierała się w najładniejsze stroje. Szybko doszła do wniosku, że jej ubrania są zbyt skromne. Odcięła kilka srebrnych

guziczek od stanika cytrynowej, jedwabnej sukni, żeby powiększyć dekolt, i wypełniła go sznurkiem paciorków w kolorze jagód jałowca. Zmieniła pasek przy jasnożółtej, porannej sukni na taftowy w cytrynowo-niebieskie prążki. Wkładała różowe pantofle do pomarańczowej sukni, przyozdabiając jeszcze rękawy żółtymi wstążkami. Była wyzwajająca, żyła jak w transie. Sophronia mówiła, że zachowuje się jak paw rozkładający ogon, żeby zwabić partnerkę.

Ale Cain jej nie zauważał.

Pewnego deszczowego poniedziałku, prawie trzy miesiące po ich ślubie, Veronica Gamble przyjechała z wizytą. Kit zajęta była przetrząśnięciem strychu w poszukiwaniu serwisu, którego nikt nie mógł znaleźć, i znów wyglądała nie najlepiej. Pani Gamble nie odwiedziła ich od tamtej fatalnej kolacji. Wymieniały tylko z Kit grzecznościowe frazesy, gdy spotykały się w kościele lub w mieście. Kit przesłała jej uprzejme podziękowanie za oprawiony w cielęcą skórę egzemplarz *Pani Bovary*, który Veronica dała jej w prezencie ślubnym - bardzo nieodpowiedni prezent, jak stwierdziła Kit, pożerając każde słowo. Była Veroniką zafascynowana, a jednocześnie bała się pewności siebie i chłodnego piękna tej kobiety.

Lucy podała lemoniadę w oszronionych szklankach i kanapki z ogórkiem. Kit smętnie porównywała świetnie skrojony strój Veroniki w kolorze biskopka ze swoją zakurzoną i zmiętą suknią. Nic dziwnego, że jej mąż szukał towarzystwa tamtej kobiety. Nie po raz pierwszy Kit zastanawiała się, czy Cain i Veronica spotykają się wyłącznie w towarzystwie osób trzecich. Bolała ją myśl, że mogą spotykać się też bez świadków.

- I jak ci się podoba stan małżeński? - zapytała Veronica, kiedy wymieniły już uprzejmości, a Kit skonsumowała aż cztery kanapki, podczas gdy pani Gamble tylko jedną.

- W jakim sensie?

Śmiech Veroniki wypełnił pokój dźwiękiem szklanych dzwoneczków.

- Jesteś bez wątplenia najbardziej interesującą istotą płci żeńskiej w tej nudnej okolicy.

- Jeśli jest tu tak nudno, to dlaczego pani tu jeszcze mieszka?

Veronica gładziła kameę przypiętą pod szyją.

- Przyjechałam tu wyleczyć duszę. Wiem, że dla kogoś tak młodego jak ty może to brzmieć melodramatycznie, ale bardzo kochałam męża

i niełatwo mi pogodzić się z jego śmiercią. Nuda okazuje się jednakże równie trudna do zniesienia, jak smutek. Niełatwo żyć w samotności, kiedy było się przyzwyczajonym do towarzystwa fascynującego mężczyzny.

Kit nie była pewna, co odpowiedzieć, tym bardziej, że w słowach Veroniki wyczuła ukryty podtekst.

- Ale dość tego! Na pewno nie masz ochoty spędzić popołudnia na słuchaniu kliwowych wynurzeń samotnej wdowy. Powiedz mi, jak się czujesz jako mężatka?

- Staram się dostosować, jak każda młoda żona - odpowiedziała ostrożnie Kit.

- Cóż za stosowna, konwencjonalna odpowiedź. Jestem rozczarowana! Spodziewałam się, że ze zwykłą szczerością każesz mi nie wsadzać nosa w nie swoje sprawy, chociaż sędzę, że zrobisz to, zanim wyjdę. Przyszłam tu bowiem z zamiarem dowiedzenia się paru smakowitych szczegółów o twoim bardzo interesującym małżeństwie.

- Naprawdę, pani Gamble - odparła niepewnie Kit. - Nie widzę powodu, dla którego miałaby pani to robić.

- Sekrety ubarwiają nam życie, a jeden z nich siedzi teraz przede mną. - Veronica postukała się lekko palcem po policzku. - Zadaję sobie pytanie, dlaczego najpiękniejsza para w południowej Karolinie żyje w niezgodzie?

- Pani Gamble, ja...

- Dlaczego ich oczy tak rzadko się spotykają? Czemu ich ręce nigdy się nie dotykają, niby przypadkiem, jak to u kochanków?

- Naprawdę, nie chcę...

- To jest największa zagadka, bo każe się zastanawiać, czy w ogóle są kochankami?

Kit chciała coś powiedzieć, ale Veronica uciszyła ją gestem dłoni.

- Oszczędź mi, proszę, frazesów i wysłuchaj mnie do końca. Może się okazać, że wyświadczam ci przysługę.

Kit toczyła ze sobą cichą wojnę. Była nieufna, ale i zaciekawiona.

- Proszę mówić dalej - powiedziała najspokojniej, jak umiała.

- Coś jest nie tak z małżonkami - kontynuowała Veronica. - Wygląda na to, że mąż nie jest zaspokojony. A żona... Cóż, żona jest jeszcze większą niewiadomą. Obserwuje męża, gdy na nią nie patrzy, i pożera go wzrokiem w sposób wręcz nieprzyzwoity. Pieści go oczyma. Zastanawiające. Mężczyzna jest w pełni sił, żona jest pociągająca, a mimo to jestem pewna, że ze sobą nie śpią.

Powiedziawszy to, Veronica czekała na jej reakcję. Kit czuła się, jakby była naga.

- Przyszła pani tu w jakimś celu, pani Gamble. Chciałabym się dowiedzieć w jakim.

Veronica wyglądała na zdziwioną.

- Czy to nie oczywiste? Chyba nie jesteś naiwna i zdajesz sobie sprawę, że twój mąż mnie interesuje? - Podniosła głowę. - Przyszłam cię lojalnie ostrzec. Jeśli nie zamierzasz korzystać z jego zalet, to ja się nim zajmę.

Kit była prawie spokojna.

- Przyszła mnie pani uprzedzić, że chce mieć romans z moim mężem?

- Tylko pod warunkiem, że ty go nie chcesz, moja droga.

Veronica podniosła szklankę i wypić nieduży łyk.

- Wbrew pozorom bardzo cię polubiłam od chwili, kiedy cię poznałam. Jesteś bardzo podobna do mnie samej w tym wieku, tyle że ja lepiej skrywałam uczucia. Ale moja przyjaźń w tym miejscu się kończy i myślę, że będzie lepiej dla twojego małżeństwa, jeśli to ja, a nie ktokolwiek inny, będzie dzielić łóżce z twoim mężem.

Do tej chwili mówiła lekkim tonem, teraz jednak spojrzenie jej zielonych oczu stwardniało.

- Z jakiegoś niepojętego dla mnie powodu porzuciłaś taki łakomy kąsek i wkrótce ktoś go skonsumuje. To tylko kwestia czasu. Tym kimś zamierzam być ja.

Kit wiedziała, że powinna w oburzeniu opuścić pokój, ale poruszyła ją szczerść Veroniki. Zdołała zapanować nad twarzą, kiedy mówiła:

- Przypuśćmy, dla podtrzymania rozmowy, że jest trochę prawdy w tym, co pani powiedziała. Na przykład, że... nie interesuje mnie mąż. Albo, to, oczywiście, tylko hipoteza, że mój mąż nie interesuje się mną.

- Zaczerwieniła się, ale brnęła dalej. - Co, pani zdaniem, mogłabym zrobić, żeby to zmienić?

- Uwieść go, oczywiście.

Zapadło długie milczenie.

- A jak się to robi? - zapyłała Kit z kamienną twarzą.

Veronica zastanawiała się chwilę.

- Kobieta uwodzi mężczyznę, słuchając swojego instynktu i nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co jej mówiono o przyzwoitości. Ubiera się i zachowuje zmysłowo, prowokuje go spojrzeniem i składa kuszące obietnice. Jesteś inteligentna, Kit. Jestem pewna, że jeśli się

postarasz, z pewnością znajdziesz sposób. Ale pamiętaj: w sypialni nie ma miejsca na dumę. To miejsce, gdzie daje się całego siebie. Czy wyrażam się jasno?

Kit sztywno skinęła głową.

Osiągnawszy swój cel wizyty, Veronica wzięła rękawiczki, torebkę i wstała.

- Ostrzegam cię, moja droga. Lepiej ucz się szybko, bo nie dam ci wiele czasu. Miałaś go aż nadto.

Po tych słowach wyszła z pokoju.

Chwilę później wsiadała do powozu, uśmiechając się do siebie. Francis byłyby zachwycony dzisiejszym popołudniem. Nieczęsto zdarzało jej się grać rolę dobrej wróżki, ale spisała się na medal.

Oparwszy się wygodnie o wyściełane skórą siedzenie, zmarszczyła brwi. Teraz będzie musiała zdecydować, czy spełni swą groźbę.

Kit nareszcie miała powód, by zrobić to, czego tak bardzo pragnęła. W czasie przeciągającej się kolacji cierpiała męki. Nieświadom niczego Cain długo opowiadał o przędzalni i chciał znać jej zdanie w kwestii rynku zbytu. Jak zawsze, gdy chodziło o bawełnę, uważnie słuchał jej odpowiedzi.

Straszny człowiek. Był tak nieprzyzwoicie przystojny, że nie mogła oderwać od niego wzroku. I dlaczego był taki miły dla panny Dolly?

Umknęła do siebie przy pierwszej sposobności. Przez chwilę chodziła po pokoju. W końcu zrzuciła ubranie, przywdziała spłowiały szlafrok i siadła przed lustrem, by wyjąć z włosów spinki. Szczotkowała włosy, gdy Cain wrócił do swojej sypialni.

W lustrze zobaczyła swą nienaturalnie bladą twarz. Poszczypała się w policzki, żeby przywrócić im kolor i włożyła w uszy małe kolczyki z pereł. Na koniec skropiła zagłębienie pod szyją odrobiną wody jaśminowej.

Zadowolona, zmieniła szlafrok na czarną, jedwabną koszulę nocną, prezent ślubny od Betty. Koszula była prosta w kroju, z małymi rękawkami i zaokrąglonym dekoltem, który ledwie zakrywał jej sutki. Otulała jej ciało długimi, miękkimi fałdami, podkreślała kształt bioder i ud. Na wierzch Kit zarzuciła czarny, koronkowy peniuar i drżącymi palcami zapięła jedyny guzik pod brodą.

Skóra przeświecała przez koronkę jak księżyc przez chmury, a gdy Kit się poruszała, poły peniuaru rozsuwały się. Koszula była jak druga

skóra: opinała piersi i zarysowywała wgłębienie pępka oraz, bardzo zmysłowo, wzgórek poniżej.

Kit bezszelestnie przeszła dzielący ich pokój. Stojąc pod drzwiami Caina, omal się nie wycofała. Szybko, żeby do tego nie dopuścić, zapukała.

- Proszę wejść.

Baron siedział przy oknie w wysokim fotelu, obok na stoliku leżała sterta dokumentów. Był w samej koszuli. Podniósł głowę. Gdy zobaczył, jak jest ubrana, oczy mu pociemniały. Podeszła do niego powoli, wyprostowana, z dumnie uniesioną głową i bijącym sercem.

- Czego chcesz?

Czarujący mężczyzna, z którym siedziała nie tak dawno przy stole, gdzieś zniknął. Teraz widziała przed sobą kogoś znużonego, podejrzliwego i wrogiego. Znowu zaczęła się zastanawiać, dlaczego się od niej odsunął. Może nie była dość pociągająca? Jeśli tak, grozi jej straszne upokorzenie.

Mogła podać jakiś pretekst - skaleczony palec albo książka, którą chciałaby pożyczyć - ale na pewno przejrzałby ją na wylot. Podniosła wyżej głowę i wytrzymała jego spojrzenie.

- Chcę się z tobą kochać.

Z niepokojem zauważyła, że uśmiechnął się z przekąsem.

- Moja piękna żona jest bardzo bezpośrednia.

Omiatał spojrzeniem jej ciało rysujące się wyraźnie pod cienkim materiałem,

- Odwzajemnię się tym samym. Dlaczego tego chcesz?

Kit inaczej to sobie wyobrażała. Myślała, że Cain wyciągnie ramiona i przejmie inicjatywę.

- Jesteśmy małżeństwem. Nie powinniśmy spać osobno.

- Rozumiem - skinął głową w stronę łóżka. - Chodzi o spełnianie obowiązków małżeńskich, tak?

- Niezupełnie.

- A o co?

Zagłębienie między obojczykami pokryło się warstewką potu.

- Po prostu chcę.

Nagle poczuła, że to ponad jej siły.

- Wybacz. - Odwróciła się do drzwi. - Zapomnij, że cokolwiek mówiłam. To był głupi pomysł.

Gdy chwyciła za klamkę, położył dłoń na jej ręce.

- Tak łatwo się poddajesz?

Żałowała, że w ogóle zaczęła całą sprawę. Zobaczyła, że Cain odszedł i stał teraz oparty o kominek.

- No dalej - powiedział. - Zaczynaj.

- Co?

- Mężczyzna nie jest gotowy na zawołanie. Musisz mnie jakoś zachęcić.

Gdyby spojrzała trochę niżej, zobaczyłaby, że ma już sporą chęć, ale w jej głowie zapanował zbyt wielki zamęt.

- Nie wiem jak.

Oparł plecy o kominek i leniwie skrzyżował nogi.

- Eksperymentuj. Jestem do dyspozycji.

Nie zносиła, gdy z niej kpił. Ze ściśniętym gardłem zrobiła krok W stronę drzwi.

- Zmieniłam zdanie.

- Tchórz - szepnął łagodnie.

Ironia zniknęła z jego twarzy. W jej miejsce pojawiła się zmysłowość zmieszana z wyzwaniem.

- Założę się, że sobie nie poradzisz.

Serce waliło jej głośno. Słuchaj instynktu, radziła Veronica. Ale skąd miała wiedzieć, jak się zachować?

Cain obserwował ją z uniesionymi brwiami. Kit poczuła przypływ odwagi przeczącej zdrowemu rozsądkowi. Powoli dotknęła guzika przy peniuarze. Peniuar opadł na podłogę kaskadą czarnej koronki.

Cain patrzył na nią chciwie.

- Zawsze przyjmujesz wyzwania, prawda? - zapytał chrapliwie.

Uśmiechnęła się. Powoli zbliżyła się do niego, czując się coraz pewniej. Lekko poruszała biodrami, żeby koszula mocniej przylgnęła do ciała. Stała przed nim i odważnie spojrzała w zamglone oczy. Nie spuszczając wzroku, oparła mu dłonie na ramionach.

Pod palcami czuła jego rosnące napięcie, które dawało jej nieznaną dotąd poczucie władzy. Stała na palcach i przycisnęła wargi do pulsującej żyły na jego szyi.

Cain jęknął i zanurzył twarz w jej włosach. Ręce jednak zwiślały nieruchomo. Ta nietypowa pasywność podnieciła ją. Otworzyła usta i czubkiem języka zaczęła muskać szyję Caina. Żyła pulsowała coraz szybciej.

Szarpnęła pożądliwie guziki przy koszuli. Rozsunęła ją i położyła dłonie na owłosionej piersi. Potem dotknęła ustami twardego, płaskiego sutka.

Baron ze zduszonym jękiem chwycił ją w objęcia i przyciągnął do siebie. Lecz to Kit prowadziła grę i musiał się dostosować do reguł, które ona narzucała. Z cichym, szatańskim śmiechem wysunęła się z jego ramion i przeszła przez pokój.

Patrząc mu w oczy, zwilżyła językiem usta i prowokacyjnie przesunęła dłońmi wzdłuż boków, do talii i niżej, na biodra.

Nozdrza Caina drżały. Słyszała jego przyspieszony oddech. Jej ręce zaczęły powoli sunąć do góry. Uda, brzuch... „Kobieta uwodzi mężczyznę, słuchając swojego instynktu i nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co jest przyzwoite, a co nie”. Objęła piersi dłońmi.

Cainowi wyrwał się cichy krzyk - niewyraźny, ale pełen takiego zdumienia, że zabrzmiał jak hołd.

Pewna swojej władzy, stanęła tak, że odgradzało ich od siebie łóżko. Uniosła koszulę i stanęła na materacu. Potrząsnęła głową i włosy spadły jej na ramiona. Rzuciła mu uśmiech, który odziedziczyła po prammatce Ewie i pozwoliła, by jeden rękaw ześlizgnął się z ramienia. Przez zasłonę włosów widać było nagą pierś.

Cain z całych sił hamował się, by nie rzucić się na nią i nie pożreć jej, jak sobie życzyła. Przysiągł sobie przecież, że nie dopuści do tego, ale powstrzymywał się z coraz większym trudem. Przecież należała do niego.

Kit jeszcze nie skończyła. Kucnęła na materacu z koszulą na wysokości kolan i bawiła się rozpuszczonymi włosami, zasłaniając i odsłaniając piersi.

Ostatnia tama samokontroli Caina pękła. Weźmie ją w ramiona albo umrze. Podszedł do łóżka i wyciągnął dłoń, by odrzucić czarną kurtynę włosów na plecy. Wpił wzrok w idealnie ukształtowane piersi.

- Szybko się uczysz - powiedział zduszonym głosem.

Sięgnął do piersi, ale zrobiła unik. Osunęła się na poduszki. Leżała opierając się na łokciu, z koszulą osłaniającą uda.

- Jesteś za bardzo ubrany - wyszeptwała.

Wykrzywił wargi w uśmiechu i zręcznymi ruchami odpiął spinki przy mankietach i zdjął koszulę. Kit patrzyła, jak się rozbiera, a jej serce wybijało dziki, szalony rytm.

W końcu stanął przed nią, nagi i niepohamowany.

- A teraz? Kto jest za bardzo ubrany?

Klęknął na łóżku i położył jej rękę na kolanie, pod rąbką koszuli. Kit czuła, że jedwabny strój go podnieca. Cain przesunął pod nim rękę po wewnętrznej stronie jej uda. aż dotarł tam, gdzie chciał. Dotknął lekko, potem znowu, i jeszcze raz, głębiej.

Teraz ona wydała jęk. Gdy wygięła się w łuk, czarny jedwab zsunął się z drugiej piersi. Cain schylił głowę, biorąc w posiadanie najpierw jeden, potem drugi sutek. Tak intensywna pieszczota to było więcej, niż mogła znieść. Wydała głęboki jęk, gdy wstrząsnął nią dreszcz.

Kilka minut lub godzin później, gdy przyszła do siebie, zobaczyła Caina leżącego obok i wpatrującego się intensywnie w jej twarz. Schylił się i pocałował ją w usta.

- Ogień i miód - szepnął.

Spojrzała na niego pytająco, ale uśmiechnął się tylko i znów ją pocałował. Odwzajemniła jego namiętność.

Usta Barona powędrowały do jej piersi. Potem podciągnął koszulę wysoko nad talię i przesunął usta na brzuch.

Wyczuła, co chce zrobić, jeszcze zanim dotknął wargami wewnętrznej strony uda. Najpierw myślała, że jej się wydaje. Pomysł był zbyt szokujący. Na pewno się myli. Niemożliwe, żeby... On chyba nie chce...

Chciał, i Kit myślała, że umrze z rozkoszy.

Czuła, że nigdy już nie będzie taka, jak dawniej. Przytulał ją i głaskał czekając, aż odpocznie. Kiedy nie mógł już czekać, położył się na niej.

Odepchnęła go.

Położył głowę na poduszce, w jego oczach malowało się pytanie. Kit uklękła, skrzyżowała ręce i ściągnęła koszulę.

Niedługo mógł się przyglądać jej nagiemu ciału, bo zaraz upadła na jego pierś. Kurtyna włosów przykryła ich, gdy ujęła jego głowę w drobne ręce. Agresywnie wzięła w posiadanie jego usta. Plądrowała i niewoliła, czerpała rozkosz i obficie ją dawała. Pieściła go całego, całując blizny, mięśnie i twarde, męskie ciało, aż stali się jednym doznaniem. Połączyli się, żeby szybować coraz wyżej i wyżej, aż padli znużeni na poduszki.

Spali przytuleni, kochając się przy każdym przebudzeniu i znów zasypiali, połączeni. Czasem rozmawiali, ale ani raz nie wspomnieli o tym, co ich dzieliło. Nawet gdy byli blisko, wiedzieli, że są granice, których nie mogą przekroczyć.

Możesz mnie dotknąć tu i tu, i tu też, ale nie spodziewaj się niczego więcej. Nie oczekuj, że za dnia się zmienię. Nic podobnego. Tylko mnie ranisz, bierzesz mnie i niszczysz. Dam ci swoje ciało, ale nie waż się chcieć więcej.

Rankiem Cain szorstko zwrócił jej uwagę, gdy zmieła gazetę, którą chciał przeczytać, a Kit napadła na niego, że postawił krzesło w przejściu.

Wszystko wróciło do normy.

Sophronia podjęła decyzję przed Bożym Narodzeniem. James Spence zaczepił ją w drodze do Rutheford i pokazał akt własności domu w Charlestonie z wypisanym jej nazwiskiem.

- Jest ozdobiony piękną, różową sztukaterią, panno Sophronio. Różnie przed nim figowiec, a z tyłu jest altanka obrośnięta wistarią.

Wzięła dokument, przestudiowała i powiedziała, że się zgadza.

Był ponury, grudniowy dzień, Sophronia spoglądając przez okno pomyślała, że czeka już wystarczająco długo. Ma dwadzieścia cztery lata, a James Spence może dać jej wszystko, o czym marzy. Był dla niej miły i jak na białego nawet przystojny. Zaopiekuje się nią, a ona zaopiekuje się nim. Nie będzie się to bardzo różniło od tego, co robi teraz. Z jednym wyjątkiem - będzie musiała z nim sypiać.

Przebiegł ją dreszcz, ale zapytała siebie, co za różnica. Przecież nie jest dziewicą. Będzie miała własny dom w Charlestonie i nareszcie będzie bezpieczna. Poza tym najwyższy czas wynieść się z Risen Glory; zwariuje, jeśli zostanie dłużej z Magnusem, Kit i majorem.

Magnus obserwował ją swoimi piwnymi oczyma. Nienawidziła współczucia, które z nich wyzierało, ale czasem zdarzało jej się wspominać z rozmarzeniem niedzielne popołudnie, kiedy ją pocałował. Nie mogła zapomnieć tej chwili. Nie narzuczał jej się od tamtej pory, nawet tej nocy, kiedy Kit i major wzięli ślub i nocowała u niego, nie próbował jej dotknąć. Dlaczego więc jego obraz ciągle ją prześladował?

Chciała, żeby wszyscy zostawili ją w spokoju, łącznie z Kit. Od kiedy zaczęła znowu sypiać z majorem, coś w nią wstąpiło. Wszystkie czynności wykonywała gorączkowo, nie dając sobie czasu na myślenie. Kiedy Sophronia chodziła rano do kurnika, widywała Kit pędzącą na oślep na Biesie. Jeździła, nawet kiedy było zimno lub padało. Tak jakby się bała, że plantacja zniknęła, gdy ona i Cain zajęci byli sobą w sypialni.

W ciągu dnia ich relacje były napięte. Sophronia od tygodni nie słyszała, żeby Kit odezwała się do majora po ludzku, a Cain mówił do żony głosem wydobywającym się jakby z bryły lodu. Ale przynajmniej się starał. Zrezygnował z budowy drogi do przedziałni przez porośnięte krzakami nieużytki, kiedy wszyscy oprócz Kit byli zgodni, że teren jest bezużyteczny, a droga oszczędzi dużo czasu.

Dziś rano o mało się nie pobili. Major od dłuższego czasu prosił, żeby Kit przestała forsować Biesa. Teraz zabronił jej na nim jeździć. Kit

obrzuciła go stekiem wyzwisk, jakich kobieta w ogóle nie powinna znać. Major stał jak posąg, nic nie mówiąc, i mierzył ją swoim kamiennym spojrzeniem, które przyprawiało Sophronię o gęsią skórę.

Bez względu jednak na to, jak źle sprawy układały się między nimi w dzień, z zapadnięciem nocy zamykali za sobą drzwi wielkiej sypialni i wychodzili z niej dopiero następnego ranka.

Spojrzała przez okno i zobaczyła Kit w bryczesach, wracającą ze spaceru. Ścisnęło jej się serce. Dłużej nie mogła tego odkładać. Była spakowana, a za niecałą godzinę miał przyjechać po nią pan Spence.

Nikomui nie mówiła o swoich planach, ale czuła, że Magnus coś podejrzewa. Kiedy przyszedł dziś na śniadanie, badawczo jej się przyglądał. Czasami miała wrażenie, że czyta w jej myślach.

Cieszyła się, że wyjechał do Rutheford i nie zobaczy jej, kiedy będzie opuszczała Risen Glory, chociaż w głębi ducha chciała jeszcze raz spojrzeć na jego łagodną, przystojną twarz.

Odwiesiła fartuch na kołek przy zlewku, tak jak to robiła od dzieciństwa. Potem po raz ostatni przeszła się po domu.

Zimny podmuch wpadł do wnętrza, gdy Kit weszła do holu.

- Co za ziąb. Zrobię dziś na kolację gulasz.

Sophronia zapomniała, że to nie są już jej obowiązki.

- Jest prawie piąta. Jeśli chciałaś gulasz, to mogłaś powiedzieć mi wcześniej. Patsy przygotowała ryż z warzywami.

Kit zdjęła wełnianą kurtkę i ze złością przerzuciła ją przez poręcz przy schodach.

- Na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu, jeśli przyrządę również gulasz.

Wchodziła na górę, głośno tupiąc.

- Byłoby miło, gdybyś od czasu do czasu się uśmiechnęła.

Kit zatrzymała się i spojrzała w dół na Sophronię.

- Co masz na myśli?

- Chodzi o to, że ciągle jesteś w złym humorze i że to staje się zaraźliwe. Nawet ja zaczęłam się czepiać Patsy.

Nie pierwszy raz Sophronia robiła jej wymówki z tego powodu, ale dziś Kit nie miała siły się bronić. Była rozdrażniona i słaba, nie chora, ale też niezupełnie zdrowa. Westchnęła ciężko.

- Jeśli Patsy nie chce dziś gulaszu, zrobię go jutro.

- Będziesz musiała sama jej to powiedzieć.

- Dlaczego?

- Bo mnie już tutaj nie będzie.

- Tak? A dokąd jedziesz?
- Sophronia zawahała się. Kit zadała pytanie tak niewinnie.
- Chodźmy na chwilę do pokoju. Muszę ci coś powiedzieć.
- Kit spojrzała na nią z niepokojem. Przeszły przez hol. Kit usiadła na sofie.
- Co się stało?
- Sophronia stała przy drzwiach.
- Ja... wyjeżdżam do Charlestonu.
- Szkoda, że mi nie powiedziałaś. Wybrałabym się z tobą.
- Nie jadę na zakupy. - Sophronia splotła ręce na spódnicy w kolorze orzecha. - Wyjeżdżam na zawsze. Nie wrócę do Risen Glory.
- Kit wpatrywała się w nią, niczego nie rozumiejąc.
- Jak to nie wracasz? Przecież tu mieszkasz!
- James Spence kupił mi dom.
- Kit zmarszczyła brwi.
- Po co? Będiesz u niego gospodynią? Sophronio, chcesz nas opuścić?
- Sophronia pokręciła głową.
- Nie będę gospodynią. Będę utrzymanką.
- Kit zacisnęła dłoń na oparciu sofy.
- Nie wierzę, że mogłabyś zrobić coś tak okropnego.
- Sophronia podniosła dumnie głowę.
- Nie waż się mnie oceniać!
- Ale to straszne! Chcesz zrobić coś podłego, coś ohydneho! Jak mogłaś o czymś takim w ogóle pomyśleć?
- Robię to, co muszę - upierała się Sophronia.
- Wcale nie musisz!
- Łatwo ci mówić. A czy pomyślałaś kiedyś, że ja też mogę chcieć tego, co masz ty - domu, ładnych ubrań, że chciałabym budzić się rano spokojna, że nikt mnie nie skrzywdzi?
- Ależ tu nikt cię nie krzywdzi! Wojna skończyła się trzy lata temu i od tej pory masz spokój.
- Bo wszyscy myśleli, że sypiam z twoim mężem. - Widząc ostre spojrzenie Kit, dodała szybko: - Nie sypiałam z nim. Ale oprócz Mag-

Sophronia odpowiedziała automatycznie:

- Muszę się zatroszczyć o siebie.

Kit zerwała się z sofy.

- Nie rozumiem, dlaczego wbiłaś sobie do głowy białego opiekuna. Kiedy byłaś niewolnicą, mój ojciec miał się o ciebie troszczyć, a patrz, co z tego wyszło. A jeśli Spence nie będzie lepszy niż ojciec? Jeśli okaże się taki sam? Pomyślałaś o tym?

- Twój ojciec nawet nie próbował mnie bronić! - krzyknęła Sophronia. - Rozumiesz? Nie chodzi o to, że nie wiedział, co się dzieje. To on dawał mnie swoim kompanom!

Kit poczuła bolesny skurcz.

Sophronia mówiła dalej:

- Czasem rzucali kości. Niekiedy ścigali się na koniach. Nagroda byłam ja.

Kit podbiegła do Sophronii i przytuliła ją.

- Biedna. Tak strasznie mi ciebie żal.

Sophronia stała sztywno. Kit głaskała ją, łykając łzy i przepraszając za nieswoje winy. Starła się znaleźć argumenty, żeby przekonać Sophronię do pozostania.

- To było potworne, ale zdarzyło się dawno temu. Jesteś młoda. Wiele niewolnic...

- Ani słowa o niewolnicach! - Sophronia odsunęła się gwałtownie z dzikim wyrazem twarzy. - Nie waż się o nich wspominać! Nic nie rozumiesz! - Zaczepnęła powietrza, jakby zaraz miała się udusić. - On był też moim ojcem!

Kit zmartwiała.

- Nie. To niemożliwe. Kłamiesz. Przecież nie traktowałyby tak własnej córki. Łżesz!

Sophronia stała niewzruszona.

- Jestem jego córką, tak jak ty. Wziął sobie moją mamę, kiedy miała trzynaście lat, i trzymał ją w domu, pod nosem twojej matki. Kiedy okazało się, że jest w ciąży, wyrzucił ją jak zwykły śmieć. Kiedy jego kompani przyszedli po mnie pierwszy raz, myślałam, że się pomylił. Ale nie. Nie zapomniał, że jestem jego dzieckiem. To po prostu nie miało żadnego znaczenia, bo nie byłam istotą ludzką. Byłam własnością. Kolejną czarną dziewczuchą.

Twarz Kit zrobiła się kredowobiała. Nie mogła wykrztusić słowa, nie mogła się poruszyć.

Wyznawszy swoją najskrytszą tajemnicę, Sophronia uspokoiła się.

- Dobrze, że mama umarła, zanim to się zaczęło. Była silną kobietą, ale to by ją załamało. - Dotknęła policzka Kit. - Jesteśmy siostrami - powiedziała łagodnie. - Nie czułaś, że łączy nas jakaś silna więź? Twoja matka umarła po porodzie i moja miała się tobą zajmować, ale po tym, co przeszła, nie chciała cię dotykać. Więc od samego początku ja się tobą opiekowałam. Dziecko wychowywało dziecko. Pamiętam, że trzymałam cię na kolanach, kiedy sama miałam cztery czy pięć lat. Gdy pracowałam w kuchni, sadzałam cię koło siebie, a wieczorem bawiłam się z tobą lalkami. Potem mama umarła i zostałeś mi tylko ty. Dlatego nie opuszczałam Risen Glory, nawet kiedy byłaś w Nowym Jorku. Musiałam dopilnować, żeby nic ci się nie stało. Wróciłaś zmieniona, jakby z innego świata, do którego ja nie mam wstępu. Byłam zazdrosna. Bałam się. Musisz mi wybaczyć, Kit. Ty już masz swoje miejsce na ziemi. Teraz czas, abym ja poszukała swojego.

Lekko uściśnęła Kit i wybiegła z pokoju.

W chwilę potem Cain znalazł Kit stojącą na środku pokoju, z dłońmi ściśniętymi w pięści.

- Gdzie, u diabła, są... Kit! Co się stało?

Stanął przy niej. Poczucia się jak wyrwana z transu. Oparła się o niego, szlochając. Objął ją ramieniem i poprowadził do sofy.

- Mów, co się stało!

W jego ramionach czuła się tak dobrze. Nigdy jej tak nie obejmował - opiekuńczo, bez śladu pożądania.

- Sophronia odchodzi. Jedzie do Charlestonu. Będzie kochanką Jamesa Spence'a.

Cain zaklął cicho.

- Czy Magnus wie?

- Chyba nie. - Próbowała złapać oddech. - Właśnie mi powiedziała. ... Sophronia jest moją siostrą.

- Siostrą?

- Córką Garretta Westona, jak ja.

Głodził kciukiem jej podbródek.

- Ojciec dawał ją kolegom na noc. Wiedział, że to jego córka, jego krew, a mimo wszystko... - wyrzucała te słowa przez zaciśnięte szczęki.

- O Boże!

Twarz Caina zrobiła się szara. Przygarnął ją i przytulił policzek do jej głowy.

- Mam nadzieję, że smaży się w piekle - wycodził.

Kit nagle pojęła, co ma zrobić. Wstała z sofy.

- Muszę ją powstrzymać.
- Sophronia jest wolną kobietą- przypomniał Baron. - Jeśli chce być ze Spence'em, nie możesz jej zabronić.

- To moja siostra! Kocham ją i nie zgadzam się, żeby to zrobiła.

Wybiegła z pokoju.

Cain podniósł się z westchnieniem. Kit cierpiała, a to, jak się zdążył przekonać, nie wróżyło niczego dobrego.

Kit schowała się za drzewami przed wejściem. Szczękając zębami, czekała skulona, aż Cain wyjdzie za nią. Wkrótce się pojawił. Obserwowała go, jak zszedł po schodach i patrzył w kierunku podjazdu. Gdy nigdzie jej nie zobaczył, zaklął i pomaszzerował do stajni.

Kit wbiegła z powrotem do domu i skierowała się do stojaka z bronią w bibliotece. Nie spodziewała się kłopotów ze strony Spence'a, ale potrzebowała przekonującego argumentu, żeby zmusić Sophronię do pozostania.

Kilka kilometrów od Risen Glory czerwono-czarny powóz Jamesa Spence'a wyprzedził wóz Magnusa. Ciekawe, dokąd tak pędzi? - pomyślał Magnus, patrząc, jak zaprzęg znika za zakrętem. Przy drodze nie było innych zabudowań poza Risen Glory i przędzalnią więc doszedł do wniosku, że Spence jedzie w interesach.

Coś go jednak tknęło. Pogonił konia. Jadąc szybko w kierunku plantacji, przypominał sobie, co wie o właścicielu kopalni.

Plotka głosiła, że zarządzał żwirownią w Illinois, wykupił się z wojska za trzysta dolarów i po wojnie udał się na Południe z torbą pełną zielonych banknotów. Teraz miał prosperującą kopalnię fosforu i... słabość do Sophronii.

Gdy Magnus dojechał na miejsce, powóz Spence'a stał już na podejździe. Biznesmen ubrany był w czarny surdut i melonik, a w ręce trzymał laskę. Ale Magnus wcale na niego nie patrzył; cała jego uwaga skupiona była na Sophronii, która stała nieopodal owinięta niebieskim szalem. U stóp miała podróżną torbę.

- Sophronio!

Magnus zatrzymał wóz i wyskoczył.

Podniosła głowę i przez chwilę w jej oczach błysnęła nadzieja. Szybko jednak się zachmurzyła i ciaśniej owinięta szalem.

- Zostaw mnie w spokoju. To nie twoja sprawa.

Spence wyszedł zza powozu i spojrzał na Magnusa.

- Jakiś problem, chłopcze?
Magnus wepchnął kciuk za pasek i odwzajemnił spojrzenie.

- Pani zmieniła zdanie.
Spence zmrużył oczy.

- Masz mówić „proszę pana”, kiedy zwracasz się do mnie.
Sophronii ciarki przeszły po plecach. Magnus zwrócił się do niej, ale nie był to łagodny, cichy człowiek, którego znała.

- Wracaj do domu!
Spence zrobił krok w jego stronę.

- Słuchaj, nie wiem, za kogo się uważasz, ale...
- Odejdź, Magnusie. - Głos Sophronii drżał. - Podjęłam decyzję i nie powstrzymasz mnie.

- Powstrzymam cię - odrzekł z kamienną twarzą.
Spence podszedł do niego, ściskając laskę zakończoną złotą gałką.

- Chyba lepiej będzie, jeśli wrócisz tam, skąd przyszedłeś. Sophronio, jedziemy.
Wyciągnął po nią rękę, ale w tym momencie Magnus szarpnął ją do tyłu.

- Nie dotykaj jej! - warknął, chowając Sophronię za sobą. Zaciśnął pięści i zrobił krok w przód.
Czarny przeciw białemu. Najgorsze sny Sophronii stawały się rzeczywistością. Krzyknęła z przerażenia.

- Nie! - Chwyciła Magnusa za koszulę. - Nie bij się z nim! Jeśli uderzysz białego, rano będziesz wisiał.

- Zejdź z drogi, Sophronio!
- To biali mają władzę. Nie zmienisz tego.

Odsunął ją, ale w tym momencie Spence podniósł laskę i uderzył go w pierś.

- Nie wpychaj nosa w nie swoje sprawy, chłopcze - powiedział groźnie.
Magnus wyrwał mu laskę i jednym szybkim ruchem przełamał na kolanie.

Sophronia wrzasnęła.
Magnus odrzucił laskę i wymierzył rywalowi cios w szczękę. Spence rozciągnął się na ziemi.

Zobaczywszy, co się święci, Kit wybiegła i wycelowała w Spence'a.

- Niech się pan wynosi, Spence. Nie jest pan tu mile widziany.
Sophronia nigdy nie ucieszyła się bardziej z jej widoku, ale Magnusowi stężała twarz. Spence wstał powoli, wpatrując się w Kit. Nagle usłyszeli głęboki, donośny głos.

- Zdaje się, że sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Cztery pary oczu spojrzały na zsiadającego z Vandala Caina. Podszedł do Kit swoim lekko kołyszącym krokiem i wyciągnął rękę.

- Oddaj mi strzelbę.

Powiedział to takim tonem, jakby prosił ją o podanie chleba przy stole.

Kit o niczym innym nie marzyła. Przekonała się już, że nie ma odwagi mierzyć do człowieka. Cain dopilnuje, żeby Magnusowi nie stała się krzywda. Oddała broń.

Zdziwiła się, gdy Baron nie skierował jej na Spence'a. Zamiast tego wziął Kit niezbyt delikatnie pod ramię i pociągnął w kierunku Vandala.

- Proszę przyjąć wyrazy ubolewania, panie Spence. Moja żona ma porywczy charakter. - Wsunął strzelbę do futerału przy siodle.

W oczach Spence'a pojawiła się chytryść. Przędzalnia czyniła z Caina ważną postać w okolicy i doszedł do wniosku, że dobrze będzie mieć w nim przyjaciela.

- Nie ma o czym mówić, panie Cain.

Schylił się, żeby otrześcić spodnie.

- Nikt nie może zgadnąć, jak się zachowają nasze małe kobietki.

- Święta prawda - odpowiedział Cain, nie zwracając uwagi na znaczące spojrzenie Kit.

Spence podniósł kapelusz i pokazał głową na Magnusa.

- Bardzo pan ceni tego chłopaka?

- Dlaczego pan pyta?

Spence spojrział na niego porozumiewawczo.

- Bo jeżeli jest coś wart, to pewnie nie ucieszyłoby pana, gdyby zawisł na jakiejś gałęzi. Ale ponieważ obaj jesteśmy ludźmi interesu, chętnie zapomnę o tym incydencie.

Kit odetchnęła z ulgą. Cain utkwiał ciężkie spojrzenie w Magnusie. Po chwili wzruszył ramionami.

- To, co robi Magnus, jest wyłącznie jego sprawą. Ja nie mam z tym nic wspólnego.

Kit syknęła oburzona. Cain podsadził ją na Vandala, po czym usiadł za nią i ruszyli.

Sophronia patrzyła na odjeżdżających ze ściśniętym sercem. Major wcale nie był przyjacielem Magnusa. Biali zawsze trzymają się razem. Tak było, jest i będzie.

Ogarnęła ją rozpacz. Spojrzała na Magnusa, który jednak nie przejął się zdradą Barona. Stał na lekko ugiętych nogach, z jedną ręką na biodrze i dziwnym błyskiem w oku.

Poczuła, jak dawno tłumione uczucie wybucha w niej z siłą oceanu, obracając w nicość brzemień przeszłości. Dlaczego tak długo się przed nim broniła? Magnus był tym, którego szukała: silny, dobry, łagodny. Był dumny i potrafił współczuć. A ona naraziła go na niebezpieczeństwo.

Mogła zrobić tylko jedno. Odwróciła się tyłem do Magnusa i podeszła do Spence'a.

- Panie Spence, to wszystko moja wina. - Nie mogła się zmusić, żeby dotknąć jego ręki. - Flirtowałam z Magnusem i uwierzył, że coś dla mnie znaczy. Proszę zapomnieć o tym zdarzeniu. Pojadę z panem, ale musi mi pan obiecać, że nie stanie mu się krzywda. To pocziwy człowiek, a wszystko wydarzyło się z mojej winy.

Z tyłu dobiegł ją miękki, łagodny głos Magnusa.

- Nie musisz się wysilać, Sophronio. Nie pozwolę ci z nim odjechać. - Stał obok niej. - Panie Spence, Sophronia zostanie moją żoną. Jeśli spróbuje pan mi ją odebrać, znajdę pana. Dziś, jutro czy za rok.

Palce Sophronii zmieniły się w sople lodu.

Spence nerwowo oblizał wargi i spojrział w kierunku, gdzie zniknął Cain. Magnus był od niego większy i silniejszy i Spence nie miał szans w otwartej walce. Nie potrzebował jednak fizycznej przewagi, żeby wygrać.

Sophronia ze zgrozą obserwowała zmienne uczucia na jego twarzy. Żaden czarny nie mógł bezkarnie uderzyć białego w Karolinie Południowej. Jeśli Spence'owi nie uda się zmusić szeryfa, aby coś w tej sprawie zrobił, pójdzie do Ku-Klux-Klanu, który od dwóch lat terroryzował stan. Mając przed oczami sceny biczowania i linczu, Sophronia patrzyła, jak Spence pewnym krokiem podchodzi do powozu i wsiada.

Wziął lejce i zwrócił się do Magnusa:

- Popełniłeś duży błąd, chłopcze. - Spojrzął na Sophronię z nieukrywana wrogością. - Jutro po ciebie wrócę.

- Chwileczkę, panie Spence.

Magnus podniósł kawałki laski i podeszedł do niego z nieuzasadnioną pewnością siebie.

- Uważam się za uczciwego człowieka i sędzę, że powinienem pana ostrzec, czym pan ryzykuje, jeśli zechce się pan mścić albo przyśle tu swoich znajomych w prześcieradłach. To nie byłby dobry pomysł. Szczególnie mówiąc, to bardzo zły pomysł.

- Naprawdę? - zapytał drwiąco Spence.

- Wie pan, mam pewien talent. I mam trzech czy czterech przyjaciół o podobnych zdolnościach. To czarnuchy, jak ja, więc mógłby pan po-

myśleć, że nie warto się nimi przejmować. Ale myliłby się pan, i to śmiertelnie.

- Co masz na myśli?

- Dynamit, panie Spence. Nieprzyjemna rzecz, ale bardzo przydatna. Nauczyłem się go używać, kiedy musieliśmy wysadzać skałę przy budowie przędzalni. Niewielu ludzi zna się na dynamicie, bo to nowa rzecz, ale pan wygląda na kogoś, kto jest na bieżąco z wynalazkami. Jestem pewien, że dużo pan o nim wie. Na przykład, ile szkody może wyrządzić dynamit zdetonowany w nieodpowiednim miejscu w kopalni fosforytu.

Spence patrzył na Magnusa z niedowierzaniem.

- Grozisz mi?

- Próbuję tylko wyjaśnić pewne rzeczy. Mam dobrych przyjaciół. Bardzo dobrych. Byliby niepokieszeni, gdyby spotkało mnie coś złego. Tak bardzo by się martwili, że mogliby podłożyć ładunek w złym miejscu. A tego chybabyśmy nie chcieli, prawda, panie Spence?

- Niech cię diabli!

Magnus oparł stopę na podnóżku powozu i położył kawałki połamanej laski na kolanie.

- Każdy ma prawo do szczęścia, panie Spence, a Sophronia jest moja. Chcę z nią żyć długo i szczęśliwie i dołożę wszelkich starań, żeby tak było. Więc ile razy spotkam pana w mieście, zdejmę kapelusz i powiem uprzejmie „dzień dobry, panie Spence”. I jak długo będę tak robił, pan będzie wiedział, że jestem szczęśliwy i życzę panu i pańskiej kopalni wszystkiego najlepszego.

Utkwiwszy w nim spojrzenie, Magnus podał mu szczątki laski.

Wypreżony jak struna, Spence wyrwał mu je z rąk i schwycił lejce.

Sophronia nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Przeczyło to wszystkiemu, w co do tej pory wierzyła. Właśnie była świadkiem, jak Magnus sprzeciwił się białemu i wygrał. Walczył o nią. Ochronił ją... także przed nią samą.

Przebiegła trawnik i rzuciła mu się w ramiona, powtarzając jego imię.

- Same z tobą kłopoty, kobieto - powiedział cicho, obejmując ją.

Uniosła wzrok i napotkała pewne, szczere spojrzenie. Podniósł rękę i pogładził palcem jej usta, jak ślepiec poznający nowe terytorium. A potem ją pocałował.

Zawstydziła się jak mała dziewczynka. Poczowała się znowu czysta i niewinna.

Przyciągnął ją do siebie, całując coraz mocniej. Sophronia zadrżała, czując jego siłę. Ten mężczyzna był na zawsze jej. Ważniejszy niż dom w Charlestonie i jedwabne suknie; najważniejszy na świecie.

Wypuścił ją z objęć i Sophronia zobaczyła, jak błyszcza mu oczy. Ten silny, bezwzględny mężczyzna, który przed chwilą groził wysadzeniem w powietrze kopalni, teraz był łagodny jak baranek.

- Same zmartwienia przez ciebie - burknął. - Kiedy już będziesz moją żoną, nie pozwolę na takie fanaberie.

- Ożenisz się ze mną, Magnusie? - zapytała z szelmowskim uśmiechem. Potem objęła jego głowę smukłymi palcami i przyciągnęła do swoich ust.

- Tak, skarbie najdroższy - odpowiedział, gdy w końcu udało mu się złapać oddech. - Pobieramy się!

19

Jesteś tchórzem, Baronie Cain! - Kit wybiegła za Cainem ze stajni. - Jeśli zabiją Magnusa, będziesz go miał na sumieniu. A wystarczyło, żebyś kiwnął głową, a Spence zapomniałby, że Magnus go uderzył. Oddaj mi strzelbę! Jeśli nie masz odwagi stanąć w obronie najlepszego przyjaciela, ja to zrobię.

Cain odwrócił się. Broń przewieszoną miał przez pierś.

- Chyba rzeczywiście chcesz tam wrócić, więc będę musiał cię zamknąć i wyrzucić klucz.

- Jesteś wstrętny!

- Skoro tak mówisz... Zamiast rzucać różne oskarżenia, mogłabyś zapytać, co się właściwie stało.

- Przecież to jasne!

- Czyżby?

Kit straciła pewność siebie. Cain nie był tchórzem i wszystko, co robił, miało jakiś powód. Złość trochę jej przeszła, ale niepokój pozostał.

- Więc dobrze. Co chciałeś osiągnąć, kiedy zostawiłeś Magnusa sam na sam z człowiekiem, który pragnie jego linczu?

- Już dość krwi mi napsułaś, sama się zastanów.

Skierował się w stronę domu, ale Kit zastąpiła mu drogę.

- O nie, nie wymkniesz się tak łatwo.

Przerzucił broń na ramię.

- Magnus nie chciał twojej pomocy i nie życzyłby sobie mojej. Pewne rzeczy męzczyzna musi załatwić sam.

- Ale to tak, jakbyś podpisał na niego wyrok śmierci.

- Zdaje się, że mam do niego więcej zaufania niż ty.

- Jesteśmy w Karolinie Południowej, nie w Nowym Jorku.

- Czyżbyś w końcu chciała przyznać, że Południe nie jest doskonałe?

- Przecież rozmawialiśmy o Klanie. Kiedy ostatnio byłeś w Charlestonie, próbowałeś zainteresować nim władze. Teraz zachowujesz się, jakby go nie było.

- Magnus jest samodzielny i nikt nie musi rozwiązywać jego problemów. Gdybyś wiedziała chociaż połowę tego, co ci się wydaje, że wiesz, to byś zrozumiała.

Z tego punktu widzenia Cain miał rację, ale też Kit nie miała cierpliwości, by śledzić meandry męskiej dumy. Gdy Baron odszedł, pomyślała o wojnie, która na początku wydawała się tak wspaniała.

Przez dłuższą chwilę miotała się w złości, aż pojawił się uśmiechnięty Samuel z kartką od Sophronii.

Droga Kit!

Nie martw się. Spence odjechał, Magnus ma się dobrze. Pobieramy się.

Sophronia

Kit czytała list z radością i osłupieniem. Cain miał jednak rację. Ale tylko w tej sprawie - w innych mógł się mylić.

Tyle się wydarzyło, że czuła zawrót głowy. Poszła do stajni, do Biesa, lecz przypomniała sobie, że Cain zabronił jej na nim jeździć. Cichy głosik przypomniał jej, że sama sobie jest winna, ale nie chciała go słuchać. Postanowiła rozmówić się z Cainem.

Dumnie wmaszerowała do kuchni, gdzie Lucy obierała ziemniaki.

- Gdzie jest pan Cain?

- Słyszałam, jak kilka minut temu poszedł na górę.

Kit przebiegła hol i wbiegła na schody. Otworzyła drzwi do sypialni.

Cain stał przy stole, przeglądając dokumenty, które zostawił tam zeszłego wieczoru. Gdy zobaczył, jak jest wzburzona, uniósł brew.

Kit zrozumiała pytanie. Czy złamie niepisane prawo, że w sypialni się nie kłóca? Czy naruszy zasadę, że jest to miejsce, w którym odbywa się misterium ważne dla obojga jak powietrze, którym oddychają?

Nie mogła tego zmienić. Tylko tu potrafiła się uspokoić i tylko tu czuła się dobrze.

- Chodź - powiedział.

Podeszła do niego, wciąż zła z powodu Biesa. Niepokój, że Cain zechce poprowadzić drogę przez jej ziemię, nie ustąpił. Pamiętała, że jest uparty i despotyczny. Wszystko to zdusiła w sobie, oddając się miłości dającej coraz mniej satysfakcji, ale coraz bardziej potrzebnej.

Nawet radość ze szczęścia Sophronii i Magnusa nie powstrzymała Kit i Barona od kąśliwych docinków wobec siebie. Stało się już zwyczajem, że im gorętsza noc, tym mniej przyjaźnie odnosili się do siebie następnego dnia.

Nie sądz, że rano się zmienię... Dam ci swoje ciało, ale nie oczekuj niczego więcej.

Obserwując Magnusa i Sophronię, jak oszołomieni i radośni przygotowują się do ślubu, Kit żałowała, że jej związek z Cainem nie ułożył się tak szczęśliwie. Pomyślała, że może gdyby Baron wyjechał i zostawił ją w Risen Glory, problem zostałby rozwiązany. Ale ten pomysł wcale jej się nie podobał.

Sophronia i Magnus złożyli sobie przysięgę w niedzielne popołudnie w starym kościele niewolników, w obecności Kit i Caina. Po uściskach, łzach i torcie weselnym panny Dolly znaleźli się nareszcie sami w domku Magnusa.

- Nie musimy się śpieszyć - powiedział Magnus, gdy za oknami zapadła noc. - Mamy czas.

Sophronia uśmiechnęła się, patrząc mu w oczy i napawając się widokiem jego pięknej, brązowej skóry.

- Dosyć go już zmarnowaliśmy. Kochaj mnie, Magnusie.

Spełnił polecenie, czułością odsuwając w niebyt koszmary z przeszłości. Sophronia nigdy nie zaznała takiego spokoju i takiej miłości. Nareszcie wiedziała, co to znaczy wolność.

Na przełomie grudnia i stycznia miłość Caina i Kit stała się prymitywna, okrutna, co ich oboje przerażało. Kit posiniaczyła ramię Caina, a on zostawił ślady na jej piersi.

Tylko raz powiedzieli sobie prawdę.

- Nie możemy tak dalek - stwierdził.

- Wiem.

Wtuliła głowę w poduszkę, udając, że śpi.

W głębi swojej kobiecej duszy pragnęła zaprzestać walki i otworzyć przed nim serce, ale przecież. Cain pozbywał się książek i koni, zanim zbytnio się do nich przywiązał. Wspomnienia z przeszłości wciąż ją nękały.

Risen Glory była dla niej całym światem - jedyną pewną rzeczą w życiu. Ludzie pojawiali się i odchodzili, a plantacja trwała. Kit nie mogła więc dopuścić, by pogmatwane uczucia do Barona zagroziły jej istnieniu.

- Mówiłam, że nie chcę jechać!

Kit uderzyła szczotką do włosów w toaletkę i wpatrywała się w odbicie Caina w lustrze.

Odłożył koszulę.

-A ja chcę.

Tym razem właśnie nie skończyły się na progu sypialni. Nie robiło to większej różnicy, bo sypialnia i tak już dawno zmieniła się w pole walki.

- Nie znosisz przyjęć - przypomniała mu.

- Muszę choć na chwilę oderwać się od przedalni.

Od przedalni, pomyślała. Nie od Risen Glory.

- I chcę się zobaczyć z Veroniką - dodał.

Serce Kit ścisnęło się z zazdrości i bólu. Ona też tęskniła za panią Gamble, ale nie chciała, żeby tęsknił za nią Cain.

Veronica wyjechała z Rutheford sześć tygodni przed Świętem Dziękczynienia. Przeniosła się do Charlestonu, do dwupiętrowego domu, który zamienił się w przybytek mody i kultury. Można tam było spotkać artystów i polityków, nieznanego rzeźbiarza z Ohio i sławnego nowojorskiego aktora. Teraz Veronica wydawała bal, by uczcić przeprowadzkę.

W liście do Kit napisała, że zaprasza do Charlestonu wszystkich, którzy ją bawią, i kilku znajomych z Rutheford. W swojej przewrotności zaprosiła też Brandona Parsella z narzeczoną, Eleanorą Baird, której ojciec został po wojnie prezesem banku Planters and Citizens.

Kit uwielbiała takie przyjęcia, tym razem jednak nie miała na nie ochoty. Widząc szczęście Sophronii, jeszcze mocniej przeżywała swoją niedolę, a poza tym, mimo podziwu dla Veroniki, czuła się w jej towarzystwie niezręczna i nieobyta.

- Jedź sam - powiedziała wbrew sobie.

- Pojedziemy razem - odparł Cain ze znużeniem w głosie. - Bez dyskusji.

Kit poczuła rosnącą niechęć. Tej nocy się nie kochali. Ani poprzedniej. Może i lepiej - myślała Kit. Od kilku tygodni źle się czuła. W końcu będzie jednak musiała pójść do lekarza.

Zrobiła to jednak dopiero w przeddzień wyjazdu do Veroniki.

Kiedy dotarli do Charlestonu, Kit była blada i wyczerpana. Cain wyszedł załatwiać interesy, a ją zaprowadzono do pokoju, w którym mieli mieszkać kilka następnych dni. Pomieszczenie było jasne i przestronne, z wąskim balkonikiem wychodzącym na brukowany dziedzińiec, obramowany trawniczkiem i pachnącymi krzewami.

Veronica przysłała pokojówkę do pomocy przy rozpakowywaniu i kąpieli. Kiedy skończyły, Kit padła na łóżko zupełnie bez sił. Obudziła się kilka godzin później i bezmyślnie narzuciła szlafrok. Podeszła do okna i rozsunęła story.

Było już ciemno. Wkrótce będzie musiała się ubrać. Jak zdoła przeżyć ten wieczór? Przytknęła policzek do szyby.

Spodziewała się dziecka. Chociaż wydawało się to nieprawdopodobne, to nawet w tej chwili rosło w niej nowe życie. Dziecko Barona Caina, które przywiąże ją do niego na zawsze. Istota, której pragnęła, chociaż tak bardzo komplikowała jej życie.

Usiadła przed lustrem. Rozglądając się za szczotką, zobaczyła słóiczek z niebieskiej ceramiki. Co za ironia losu - Lucy i to spakowała.

W słóiczku był szarobiały proszek od znachorki, który miał ją uchronić przed ciążą. Zażyła go tylko raz, bo najpierw ona i Cain sypiali osobno, a potem nie miała ochoty - proszek wyglądał jak zmielone kości. A po tym, jak usłyszała opowieści sąsiadek, z jakim trudem zachodziły w ciążę, usprawiedliwiała się myślą, że ryzyko jest mniejsze, niż myślała. Wreszcie Sophronia powiedziała jej, że proszek jest nic nie wart; znachorka nie lubiła białych kobiet i od lat sprzedawała im bezużyteczne środki. Kit przesunęła ręką po wieczku, zastanawiając się, czy to prawda.

Ktoś otworzył drzwi z takim rozmachem, że przestraszona przewróciła słoik. Zerwała się z krzesła.

- Czy mógłbyś choć raz wejść do pokoju bez wrywania drzwi z zawiasów?

- Zawsze się śpieszę do mojej drogiej żony.

Cain rzucił rękawiczki na krzesło i spytał, pokazując na rozsypyany proszek:

- Co to?

- Nic!

Kit złapała ręcznik i próbowała uprzątnąć bałagan.

Podszedł i przytrzymał jej rękę. Podniósł naczynko i oglądał jego zawartość.

- Co tam jest?

Próbowała uwolnić dłoń, ale bez rezultatu. Czekał na odpowiedź, patrząc jej wyczekująco w oczy. Kit chciała skłamać, że to proszek od bólu głowy, ale była zbyt słaba, by udawać. Zresztą, po co?

- Dostałam to od znachorki. Lucy spakowała przez pomyłkę. -I po chwili, ponieważ i tak było to bez znaczenia, dodała: - Nie chciałam mieć dziecka.

Przez twarz Caina przemknął cień. Wypuścił jej dłoń i odwrócił się.

- No tak. Może powinniśmy byli o tym porozmawiać.

Kit nie mogła ukryć smutku w głosie.

- Przecież nie jesteśmy małżeństwem z miłości, prawda?

- Nie. Raczej nie.

Stojąc ciałem tyłem, zdjął surdut i mocował się z fulem. Kiedy się odwrócił, był daleki i chłodny jak Gwiazda Polarna.

- Postąpiłaś bardzo rozsądnie. Ludzie, którzy się nie znoszą nie są dobrymi rodzicami. Byłoby fatalnie, gdyby jakiś niechciany bękart pojawił się w tak żalosnym związku jak nasz, nie sądzisz?

Serce Kit rozpadło się na tysiące kawałków.

- Tak, masz rację.

- Panie Cain, czy to pan jest właścicielem nowej przędzalni pod Rutheford?

- Zgadza się.

John Hughes, mocno zbudowany młody człowiek z Północy, zaczepił Barona w korytarzu, gdy ten właśnie wybierał się na górę zobaczyć, co zatrzymało Kit.

- Słyszałem, że nieźle panu idzie. Ale nie sądzi pan, że to ryzykowne, przy....

Przerwał w pół słowa i gwizdnał, patrząc na schody.

- O rany! A niech mnie! Co za kobieta!

Cain nie musiał się odwracać, żeby zobaczyć, o kim mówi. Czuł ją przez skórę.

Kit założyła srebrnobiałą suknię ozdobioną kryształowymi koralikami. Cain zauważył, że nieco ją przerobiła, ostatnio zmieniała wielkość strojów: pogłębiła dekolt, by kończył się poniżej piersi, i dodała wstawkę ze błękitnosrebrnej organdy.

Organdyna była przezroczysta i tylko koraliki, naszyte gęściej w strategicznych miejscach, strzegły przyzwoitości.

Suknia była nieprzyzwoicie piękna i Cain jej nienawidził. Mężczyźni stojący obok niego po kolei spoglądali na Kit i chciwie chłonęli piękne ciało, które tylko on powinien móc oglądać.

Na moment zapomniał o zazdrości i zapatrzył się razem z innymi. Jego dzika leśna róża, nieokiełznana jak pierwszego dnia, kiedy ją poznał. Wciąż gotowa wbić kolce w serce nieostrożnego mężczyzny.

Spoglądał na zaróżowione policzki i tajemnicze ogniki w jej fiołkowych oczach. Poczul niepokój. Jej ciało emanowało jakąś niepokojącą aurą, pulsowało nieposkromioną siłą. Cain zrobił krok w jej stronę.

Rzuciła mu przeciągłe spojrzenie i odwróciła wzrok. Bez słowa przeszła przez korytarz i podeszła do znajomych z Rutheford.

- Brandon! Świetnie wyglądasz! A to pewnie twoja urocza narzeczona, Eleanora. Mam nadzieję, że od czasu do czasu pozwoli mi go pani ukraść. Przyjaźnimy się od niepamiętnych czasów, jak brat z siostrą, rozumie pani. Nie mogę wyrzec się go całkowicie, nawet dla tak czarującej osóбки.

Na twarzy Eleanory pojawiło się coś na kształt uśmiechu, ale nie potrafiła ukryć dezaprobaty albo też zdała sobie sprawę, że przy Kit wygląda jak kopciuszek. Za to Brandon z przyjemnością przyglądał się szokującej sukni.

Pojawił się Cain.

- Panie Parsell, panno Baird. Proszę nam wybaczyć.

Wpił palce w ramię okryte organdy, ale zanim zdołał zaprowadzić ją do pokoju i zmusić, żeby się przebrała, na schodach pojawiła się Veronica w czarnej, obszytej dżetami sukni. Lekko uniosła brwi.

- Baronie, Katharine, cieszę się, że was widzę. Jak zwykle, spóźniam się i to na własne przyjęcie. Zaraz podadzą kolację. Baronie, bądź

tak miły i podaj mi ramię. Aha, Katharine, chcę, żebyś poznała Sergia. Fascynujący mężczyzna i najlepszy baryton, jaki słyszał Nowy Jork. Dotrzyma ci towarzystwa podczas kolacji.

Cain zgrzytnął zębami. Zbyt przystojny Włoch z entuzjazmem ujął dłoń Kit i pocałował, po czym z maślanym spojrzeniem odwrócił i przycisnął usta do wnętrza.

Cain poruszył się, ale Veronica była szybsza.

- Mój drogi Baronie - zagruchała. chwytając jego ramię w żelazny uścisk. - Zachowujesz się jak najnudniejszy z mężów. Zaprowadź mnie, proszę, do jadalni, zanim ośmieszysz się do końca.

Miała rację. Niemniej jednak kosztowało go sporo wysiłku, żeby spuścić z oka tych dwoje.

Podczas kolacji, trwającej prawie trzy godziny, często słychać było śmiech Kit, która dzieliła uwagę między Sergia i siedzących w pobliżu panów. Wszyscy oni prawili jej komplementy i zabiegali o względy. Sergio uczył ją włoskiego. Kiedy rozlała wino, umoczył w nim palec i przytknął do ust. Gdyby nie silny uchwyt Veroniki, Cain rzuciłby się na niego-

Kit prowadziła swoją własną rozgrywkę. Kiedy Cain stwierdził, że nie podoba mu się srebrna suknia, kazała Lucy ją zapakować. Nie miała zamiaru jej wkładać, ale kiedy zaczęła przygotowywać się do kolacji, w głowie dźwięczały jej słowa Caina. „Byłoby fatalnie, gdyby jakiś niechciany bękart pojawił się w tak żałosnym związku jak nasz...”

Z przeciwległego krańca stołu dobiegł ją śmiech Barona, który uważnie przysłuchiwał się Veronice. Panie wyszły, zostawiając mężczyzn przy cygarach i brandy. Potem zaczęły się tańce.

Brandon zostawił Eleanorę z ojcem i do pierwszego tańca poprosił Kit. Przyglądała się jego przystojnej twarzy. Mówił o honorze, a gotów był sprzedać się temu, kto zaferuje wyższą stawkę: najpierw miała to być plantacja, teraz bank. Cain nigdy by tak nie postąpił. Ożenił się z nią tylko i wyłącznie z zemsty.

Kiedy wyszli na środek sali balowej, Kit ujrzała Eleanorę stojącą samotnie ze smutną miną i pożałowała swojej kokieterii. Zdażyła wypić sporo szampana i zdecydowała, że czas najwyższy zrobić coś dla wszystkich nieszczęśliwych kobiet.

- Tęskniłam za tobą - szepnęła, gdy orkiestra zaczęła grać.

- A ja za tobą. Kit. Tak pięknie wyglądasz. Umieram, kiedy pomyśle, że jesteś z Cainem.

Przysunęła się bliżej i szepnęła przewrotnie:

-Najdroższy, ucieknijmy dziś razem. Zostawmy Risen Glory i bank. Będziemy tylko my dwoje. Bez pieniędzy, bez domu, ale silni naszą miłością.

Ukryła uśmiech, gdy Brandon zeszywniał.

- Doprawdy, Kit, nie sądzę, żeby... to było rozsądne.

- Ale dlaczego? Boisz się mojego męża? Będzie nas ścigał, ale przecież sobie z nim poradzisz.

- Lepiej nie... to znaczy, myślę, że... po co taki pośpiech... - jąkał się Brandon.

Kit roześmiała się szyderczo.

- Kpisz ze mnie - rzekł wyniośle Parsell.

- Bo zasługujesz na to. Jesteś zaręczony i pierwszy taniec powinien należeć do Eleanory.

Zmieszany, Brandon patetycznie próbował odzyskać honor.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Przecież wcale mnie nie lubisz ani nie pochwalasz mojego zachowania. Byłoby lepiej, gdybyś wreszcie przyznał, że kieruje tobą wyłącznie prostackie pożądanie.

- Kit! - Nie mógł znieść brutalnej prawdy. - Proszę mi wybaczyć, jeśli cię obraziłem - powiedział sucho. Z trudem oderwał wzrok od jej dekoltu i, ugodzony do żywego, udał się na poszukiwanie narzeczonej.

Gdy Brandon odszedł, Kit wpadła w objęcia Sergia. Biorąc go za rękę, spojrzała w odległy kąt sali, gdzie jeszcze przed chwilą widziała męża z Veroniką. Nie było go.

Jego obojętność spowodowała, że zaczęła przekraczać granice przyzwoitości. Zmieniała partnerów, tańcząc z każdym bez wyjątku i pozwalając się za mocno przytulać. Nie zwracała uwagi, co sobie pomyśla. Niech myśla! Piła szampana, tańczyła bez wytchnienia i głośno się śmiała. I tylko Veronica czuła, co naprawdę się za tym kryje.

Kilka kobiet skrycie zazdrościło jej odwagi, ale większość była oburzona. Rozglądały się za groźnym panem Cainem, ale nigdzie nie było go widać. Ktoś szepnął, że gra w pokera i ciągle przegrywa.

Zastanawiano się, co też dzieje się w małżeństwie Cainów - ani razu nie zatańczyli ze sobą. Plotka głosiła, że wzięli ślub z konieczności, ale talia Kit była szczupła jak zawsze, więc to chyba nieprawda.

Poker skończył się przed drugą. Cain przegrał kilkaset dolarów, ale jego fatalny nastrój niewiele miał z tym wspólnego. Stał w drzwiach i patrzył, jak jego żona wiruje w ramionach Włocha. Fryzura Kit była w lekkim nieładzie, na policzkach miała rumieńce a jej usta wyglądały,

jakby przed chwilą ktoś je całował. Jej partner wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany.

Cainowi zadrżał kącik warg. Minał stojącą przed nim parę i właśnie miał wkroczyć na środek sali, gdy John Hughes schwycił go za ramię.

- Panie Cain, Will Bonnett twierdzi, że żaden unionista nie strzela lepiej od konfederata. A pan jak sądzi? Czy spotkał pan rebelianta, który strzelał lepiej niż pan?

Był to niebezpieczny temat. Baron oderwał oczy od Kit i spojrzał na Hughesa. Minęły już cztery lata od Appomattox, ale stosunki mieszkańców Północy i Południa wciąż były napięte i starano się nie rozmawiać o wojnie.

Zobaczył grupę siedmiu czy ośmiu mężczyzn, byłych żołnierzy Unii i weteranów Konfederacji. Najwyraźniej wypili więcej niż zwykle i nawet z daleka słychać było, że uprzejma wymiana argumentów przeradza się w otwartą kłótnię.

Rzucił ostatnie spojrzenie na żonę, po czym podszedł do nich z Hughesem.

- Wojna się skończyła, panowie. Co byście powiedzieli na odrobinę świetnej whisky pani Gamble?

Mężczyźni byli już rozjuszeni na dobre. Will Bonnett, który służył razem z Parsellem. dźgnął powietrze palcem wycelowanym w jednego z byłych unionistów.

- Żaden żołnierz na świecie nie bił się tak jak konfederat i dobrze pan o tym wie.

Podniesione głosy przyciągnęły uwagę tańczących i wkrótce wszyscy stanęli, czekając, co się wydarzy.

Will Bonnet dostrzegł Parsella w towarzystwie Eleanory i jej rodziców.

- Brandon, sam powiedz. Widziałeś, żeby ktoś strzelał jak nasi chłopcy? Chodź tu i powiedz tym pętałom, jak było.

Parsell podszedł niechętnie. Cain zmarszczył czoło, gdy zobaczył, że Kit też zbliża się do nich, zamiast zostać z kobietami.

Muzycy odłożyli instrumenty i ciekawie przysłuchiwali się sporom.

- Was było więcej - stwierdził Bonnett - ale ani przez sekundę nie byliście waleczniejsi niż my.

Jeden z żołnierzy Północy wystąpił naprzód.

- Masz chyba krótką pamięć, Bonnett. A Gettysburg?

- Nie pokonaliście nas! - odezwał się starszy mężczyzna stojący obok Bonnetta. - Po prostu mieliście szczęście. Nasi dwunastoletni żołnierze mieli lepsze oko niż wszyscy wasi oficerowie razem wzięci.

- Do diabła, nasze kobiety lepiej strzelały!

Rozległa się salwa śmiechu. Tylko Brandon stał niewzruszony.

Przenosił wzrok z Caina na Kit. Ich małżeństwo było zadrą w jego sercu. Z początku czuł ulgę, że nie poślubił kobiety, która zachowuje się tak skandalicznie. Potem jednak, kiedy pola Risen Glory dały świetny plon, z zazdrością patrzył, jak w kierunku przędzalni zjeżdżają wyładowane bawełną wozy. Nawet zaręczyny z Eleanorą, która wносиła do małżeństwa bank, nie pomogły mu zapomnieć figlarnego spojrzenia fiólkowych oczu. A dziś miała czelność zadrwić z niego.

Postąpił krok w przód.

- Masz rację co do naszych kobiet. Ja sam widziałem, jak pani Cain trafiła w szyszkę na drzewie z siedemdziesięciu pięciu metrów, chociaż miała wtedy najwyżej jedenaście lat. Do dziś mówi się, że jest najlepszym strzelcem w okolicy.

Stwierdzeniu towarzyszyły okrzyki uznania. Kit po raz kolejny znalazła się w centrum uwagi. Parsell mówił dalej. Niełatwo dżentelmenowi wyrównać rachunki z damą bez plamy na honorze, ale właśnie to Brandon miał zamiar zrobić. Przy okazji utrze też nosa jej mężowi.

- Podobno major Cain też nieźle strzela. Wszyscy słyszeliśmy wiele o bohaterze spod Missionary Ridge. Ale gdybym miał się zakładać, postawiłbym na panią Cain. Will przyniósłby swoje pistolety, postawiłoby się kilka butelek na murze i przekonalibyśmy się, czy lepszy jest jankecki oficer czy kobieta z Południa, nawet jeśli jest jego żoną. Obawiam się jednak, że major nie pozwoli pani Cain wziąć udziału w podobnej próbie, szczególnie, że ona może wygrać.

Wśród konfederatów wybuchł śmiech. Parsell pokazał temu Janke-sowi, gdzie jego miejsce. Co prawda, żaden z nich nie wierzył, że kobieta, nawet wychowana na Południu, może strzelać lepiej od mężczyzny, ale z przyjemnością przyjrzeliby się takiej konfrontacji. A ponieważ to tylko kobieta, w razie przegranej Południe nie ucierpiałoby na honorze.

Stojące wokół kobiety oburzyła propozycja Brandona. Żadna dama w Charlestonie nie mogła wziąć udziału w podobnym widowisku, nie narażając się na wykluczenie z towarzystwa. Rzuciły mężom groźne spojrzenia, przyrzekając sobie, że do końca przyjęcia ograniczą im spoczynek trunków.

Unioniści podjudzali Barona.

- Majorze! Niech nas pan nie zawiedzie!

- Nie może się pan wycofać!

Kit czuła na sobie wzrok Caina.

- Nie mogę pozwolić, żeby moja żona brała udział w strzelaninie. Powiedział to tak beznamiętnie, jakby wcale go to nie obchodziło. Równie dobrze mógłby mówić o jednej ze swoich klaczy. Była dla niego częścią inwentarza. A Baron Cain nie przywiązywał się do rzeczy.

Wściekła, stanęła na środku.

- Rzucono mi wyzwanie, Baronie. Jesteśmy w Karolinie Południowej i nawet jako mąż nie możesz się wtrącać w honorowe pojedynki. Panie Bonnett, proszę przynieść pistolety. Panowie, zmierzę się z moim mężem. Jeśli odmówi, może go zastąpić każdy Jankes, który zechce.

Okrzyki zbulwersowanych dam zginęły w ogólnej euforii ich mężów. Tylko Brandon się do nich nie przyłączył. Chciał Cainów ośmieszyć, ale nie miał zamiaru zrujnować życia Kit. Był przecież džentelmenem.

- Kit, majorze Cain, być może moja propozycja była trochę nieprze-myślana. .. Nie mogą państwo...

- Daruj sobie, Parsell - warknął Cain.

Miał już dość wyciągania ręki do zgody i przegrywania wojen wywoływanych przez Kit. Męczyła go jej podejrzliwość, jej śmiech i troska, którą widział w jej oczach, gdy wracał zmęczony z przedziałni. A najbardziej nie mógł ścierpieć samego siebie za to, że tak bardzo mu na niej zależy.

- Postawcie butelki - rzekł twardo. - I przynieście do ogrodu dużo lamp.

Co chwila wybuchając śmiechem, unioniści i konfederaci wychodzili razem, obstawiając wyniki. Ich żony szeptały między sobą ożywi- one wizją skandalu. Nie chciały stać zbyt blisko Kit, więc odsunęły się, zostawiając ją i Caina samych na środku sali.

- Masz swój pojedynek - odezwał się lodowato Cain. - Zawsze dostajesz to, co chcesz.

Właściwie kiedy to dostała?

- Boisz się, że przegrasz? - wykrztusiła z trudem.

Wzruszył ramionami.

- Masz duże szanse mnie pokonać. Radzę sobie z pistoletem, ale nie tak dobrze, jak ty. Przekonałem się o tym, kiedy próbowałeś mnie zastrzelić.

- Wiedziałeś, co zrobię, jeśli mi zabronisz strzelać, prawda?

- Może. A może pomyślałem, że szampan, który w siebie wlałeś, daje mi przewagę.

- Nie liczyłabym na to - odparła z nieuzasadnioną brawurą Kit.

Pojawiła się Veronica, tym razem bez zwykłego uśmiechu.

- Po co wam to? Gdybyśmy byli w Wiedniu, to co innego, ale w Charlestonie? Kit, wiesz, że narażasz się na ostracyzm.

- Nie dbam o to.

Veronica zwróciła się do Barona:

- A ty? Jak możesz przykładać do tego rękę?

Jej słowa trafiły w próżnię. Will Bonnett przyniósł skrzynkę z pistoletami i całe towarzystwo wyległo do ogrodu.

20

Ogród oświetlały lampy naftowe i pochodnie w metalowych uchwytych. Na murze stało dwanaście butelek. Veronica zauważyła, że tylko połowa z nich była pusta i szybko wydała służącemu odpowiednie rozkazy. Pojedynek pojedynkiem, a dobry szampan nie powinien się marnować.

Południowcy jęknęli, zobaczywszy, co przyniósł Bonnett. W skrzynce leżały kolty używane przez armię Konfederacji w czasie wojny, proste i praktyczne, ale ciężkie. Nie nadawały się dla kobiet.

Kit wyjęła broń ze skrzynki. Była przyzwyczajona do jej ciężaru. Miała węższe palce niż Cain i szybciej uporała się z nabiciem rewolweru.

Mieli stanąć dwadzieścia pięć kroków od celu i oddać po sześć strzałów. Panie strzelają pierwsze.

Kit stanęła na wyznaczonej na żwirze linii. Normalnie puste butelki nie stanowiłyby żadnego problemu, ale w głowie szumiał jej wypity szampan. Ustawiła się bokiem do celu i podniosła ramię. Starła się maksymalnie skoncentrować. Nacisnęła spust i butelka eksplodowała.

Mężczyźni krzyknęli z uznaniem.

Kit wzięła na cel następną butelkę, ale poprzedni sukces i dodatkowy kieliszek szampana stepiły jej uwagę. Strzeliła zbyt szybko i o włos spudłowała.

Cain patrzył z boku, jak radziła sobie z pozostałymi butelkami. Jego złość ustąpiła miejsca podziwowi. Pięć trafień na sześć strzałów, w dodatku niezbyt trzeźwa. Diabeł, nie kobieta. Stała na tle płonących pochodni, z wyciągniętą ręką, dzierżąc zabójczą broń, która ostro kontrastowała z jej delikatnością. Gdyby tylko była bardziej poslušna...

Opuściła rewolwer i odwróciła się do niego. Była z siebie tak zadowolona, że nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Pięknie, pani Cain, ale chyba raz pani spudłowała.
- Zgadza się, panie Cain - odpowiedziała takim samym uśmiechem.
- Oby pan odniósł większy sukces.

Skłonił się i spojrzął na cel. Zapadła nerwowa cisza.

Pistolet leżał w ręce jak ten, który służył mu podczas wojny. Podniósł go i zestrzelił jedną butelkę, potem drugą, potem trzecią... Kiedy skończył, mur był pusty.

Kit uśmiechnęła się. Cain był doskonałym strzelcem; miał dobre oko i pewną rękę. Stał tam w wieczorowym stroju, a we włosach migotały mu miedziane błyski rzucane przez pochodnie. Nie myślała o swoim odmiennym stanie ani nie czuła gniewu; zalała ją fala dumy i czułości dla tego trudnego, wspaniałego mężczyzny.

Spojrzał na nią, przechylając głowę.

- Świetnie ci poszło, kochanie - odezwała się czule.

Dostrzegła zaskoczenie na jego twarzy, ale było za późno, by cofnąć te słowa. Użyła wyrażenia ze słownika miłości, słowa wypowiedzianego tylko w sypialni. Poczowała się słaba i bezbronna. Żeby to ukryć, wyprostowała się i powiedziała głośno:

- Ponieważ mój mąż jest dżentelmenem, z pewnością da mi jeszcze jedną szansę. Proszę przynieść talię kart i wyjąć asa pik.

- Kit! - W głosie Barona zabrzmiało ostrzeżenie.

Spojrzała mu odważnie w oczy, chcąc zatrzeć uczucie bezradności.

- Zmierzysz się ze mną jeszcze raz? Tak czy nie?

Oboje zdawali sobie sprawę, że tym razem pojedynkują się o coś innego. Ich odwieczny konflikt wchodził w nową fazę.

-Tak.

Karta została przyczepiona do muru, wszyscy wokół milczeli w napięciu.

- Każdy ma trzy strzały? - zapytała Kit, przeładowując broń.

Baron ponuro skinął głową.

Kit podniosła dłoń i spojrzała na czarny punkcik w środku karty. Poczowała, że ręka jej drży i opuściła ją na chwilę, po czym wycelowała po raz drugi i strzeliła.

Kula utkwiała w prawym górnym rogu. Strzał był bardzo dobry i wśród gapiów przeszedł szmer. Kilka kobiet odczuło dumę, że jedna z nich tak świetnie sobie poczyna w typowo męskiej dziedzinie.

Kit przeładowała i wycelowała ponownie. Tym razem strzeliła za nisko i trafiła w mur tuż pod kartą. Goście i tym razem nagrodzili ją szmerem uznania.

Miała zawroty głowy, ale starała się skupić. Powoli nacisnęła spust.

Strzał był prawie idealny - przestrzeliła czubek asa. W nieśmiałych gratulacjach mężczyzn słychać było niepokój; jeszcze nie spotkali kobiety, która by tak dobrze strzelała. Było to wbrew naturze. Kobiety istniały po to, żeby mężczyźni mogli ich bronić, a ona potrafiła dać sobie radę sama.

Cain podniósł broń. W ciszy, która zapadła, słychać było tylko lekki szum gałązek pachnących krzewów.

Rozległ się strzał. Kula utkwiała w murze z lewej strony karty.

Baron znowu strzelił. Trafił w górną krawędź.

Kit wstrzymała oddech, nie wiedząc, czy chce, żeby trafił, czy nie, żałując poniewczasie, że nalegała na konfrontację.

Pistolet wypalił. Mały obłoczek dymu uniósł się w górę, a czarne serduszko w środku karty zniknęło.

Milczący dotąd mężczyźni oszaleli. Nawet ci z Południa zapomnieli o urazach i gratulowali Cainowi szczęśliwi, że męska dominacja nie została nadwątlona.

- Wyśmienity strzał, panie Cain.

- To zaszczyt móc patrzeć, jak pan strzela.

- To przecież tylko kobieta.

Pochwały działały mu na nerwy. Spojrzał na Kit stojącą samotnie z rewolwerem ukrytym w miękkich fałdach sukni.

Jeden z jego ziomków wsunął mu w dłoń cygaro, inni klepali go po plecach.

- Pana żona radzi sobie całkiem nieźle, ale bądźmy szczerzy - strzelanie to męska sprawa.

- Święte słowa - dodał inny. - Mężczyzna zawsze pokona kobietę.

Cain z pogardą słuchał ich lekceważących słów. Odepchnął dłoń z cygarem i spojrzał na nich ze złością.

- Głupcy! Gdyby nie piła szampana, nie miałbym żadnych szans. Tak zresztą, jak żaden z was.

Odwrócił się na pięcie i odszedł, zostawiając mężczyzn w niemej konsternacji.

Zdziwiona, że Cain stanął w jej obronie, Kit oddała rewolwer Veronice i pobiegła za nim.

Kiedy dotarła do pokoju, jej radość znikła natychmiast. Baron wrzucił swoje ubrania do stojącej na łóżku torby.

- Co robisz? - spytała bez tchu.

Nie zadał sobie trudu, żeby podnieść wzrok.

- Wracam do Risen Glory.
 - Dlaczego?
 - Pojutrze przyślę po ciebie powóz - dodał, lekceważąc jej pytanie.
- Już mnie tam wtedy nie będzie.

- O czym ty mówisz? Dokąd się wybierasz?

Nie patrząc w jej stronę, wrzucił do torby koszulę.

- Odchodzę od ciebie - powiedział wolno.

Kit wydała stłumiony okrzyk.

- Wyjeżdżam, zanim zrobię coś takiego, że nie będę mógł spojrzeć sobie w oczy. Ale nic się nie bój. Zobaczę się z prawnikiem i przepiszę Risen Glory na ciebie. Nie będziesz się musiała martwić, że twoja bezcenna plantacja dostanie się w obce ręce.

Serce Kit biło szybko jak skrzydła usidłego ptaka.

- Nie wierzę. Nie możesz tak po prostu odejść. A przedzalnia?

- Childs mnie zastąpi. A może ją sprzedam? Miałem już ofertę.

Zjął z komody zestaw szczotek i wrzucił je do torby z resztą rzeczy.

- Nie mogę dłużej z tobą walczyć, Kit. Poddaję się.

- Nie chcę, żebyś wyjeżdżał! Słowa wyrwały jej się z głębi serca i tym razem nie chciała ich cofnąć.

W końcu spojrzął na nią i usta wykrzywił mu znany grymas.

- Trochę mnie to dziwi, bo na różne sposoby próbujesz się mnie pozbyć, od kiedy skończyłaś osiemnaście lat.

- To było co innego. Risen Glory...

Cain trzasnął pięścią w drewnianą ramę łóżka, aż zadrżała.

- Nie chcę więcej słyszeć tej nazwy! Do diabła, Kit, przecież to tylko plantacja, nie świątynia.

- Nic nie rozumiesz! Mam tylko ją!

- Tak, ciągle to powtarzasz. Może czas się zastanowić, dlaczego?

- Co masz na myśli? - Oparła się o łóżko, zbierając siły do ataku.

- To, że jesteś jak moja matka. Nie umiesz dawać, potrafisz tylko brać, aż wysiesz z człowieka wszystkie soki. Ale prędzej skonam, niż skończę jak ojciec. Dlatego odchodzę.

- Nie jestem taka jak Rosemary! To ty nie umiesz się pogodzić z faktem, że nie dam się zdominować!

- Nigdy nie zamierzałem tobą rządzić ani traktować cię jak własność, choć może tak mówiłem. Gdybym szukał potulnej żony, już dawno bym się ożenił. Nie chciałem, żebyś żyła w moim cieniu, ale, na Boga, ja też nie mam zamiaru czołgać się przed tobą!

Zamknął torbę i zapinał teraz skórzane paski.

- W pierwszą noc po ślubie wydawało mi się, że być może jakimś cudem wszystko między nami się ułoży. Nie ułożyło się i pomyślałem, że byłem głupcem. Potem przyszałaś do mnie w tej czarnej koszulce, przestraszona i zdecydowana, i znowu zacząłem marzyć.

Wyprostował się. Patrzył na nią przez chwilę, po czym podszedł do niej blisko. W oczach miał ogromny ból.

Dotknął jej policzka.

- Kiedy się kochaliśmy - zaczął ochrypłym głosem - stawaliśmy się jednością. Wtedy się nie hamowałeś. Dawałaś mi całą siebie, byłaś delikatna i czuła. Lecz pod twoją namiętnością nie było zaufania ani uczucia, i dlatego nam się nie udało.

Przesunął kciukiem po jej spierzchniętych ustach i wyszeptał ledwie dosłyszalnie:

- Czasem, kiedy byłem w tobie, kusiło mnie, żeby cię ukarać. Nie-nawidziłem siebie za to. - Opuścił rękę. - Ostatnio budziłem się złany potem, przerażony, że pewnego dnia naprawdę zrobię ci krzywdę. A dziś, widząc cię w tej sukni, otoczoną mężczyznami, zrozumiałem, że muszę odejść. Nie mamy szans. Od początku ich nie mieliśmy.

Kit wzięła go za rękę i spojrzała ze łzami w oczach.

- Proszę, nie wyjeżdżaj. Jeszcze nie jest za późno. Jeśli się postaramy...

Pokręcił głową.

- Czuję się zupełnie wypalony, Kit. A to potwornie boli.

Przytknął usta do jej czoła, wziął bagaż i wyszedł.

Tak jak zapowiedział, Cain wyjechał, zanim Kit wróciła do Risen Glory. Przez następny miesiąc Kit żyła jak w transie. Straciła rachubę czasu, nie jadła i zamykała się w sypialni, którą kiedyś dzieliła z mężem. Przyjechał młody prawnik ze stertą dokumentów, z których wynikało, że Kit jest właścicielką plantacji i że może samodzielnie rozporządzać swoim funduszem. Miała wreszcie wszystko, czego chciała, i czuła się przygnębiona, jak nigdy dotąd.

Prawniki wyjaśnił, że pieniądze, jakie Cain pożyczył z funduszu na odbudowę przędzalni, zostały w całości zwrócone. Kit słuchała jego słów, czując, że wcale jej to nie obchodzi.

Odesłała Magnusa, gdy przyszedł po poleceniu. Ignorowała Sophronię, gdy ta robiła jej wyrzuty, że nie je. Nie zwracała nawet uwagi na pannę Dolly.

Pewnego ponurego dnia w lutym, gdy udawała, że czyta, do pokoju weszła Lucy z wiadomością, że na dole czeka pani Gamble.

- Powiedz, że źle się czuję.

Veronikę niełatwo było zniechęcić. Weszła na schody i stanęła w drzwiach. Ogarnęła spojrzeniem rozwichrzone włosy Kit i jej bladą cerę.

- Lord Byron byłby zachwycony! - stwierdziła jadownicie. - Dziewoja usycha jak kwiat, słabnąc z każdym dniem. Odmawia jedzenia i unika ludzi. Cóż ty, u licha, wyrabiasz?

- Nie chcę nikogo widzieć.

Veronica zrzuciła z ramion elegancki welurowy płaszcz i rzuciła go na łóżko.

- Jeżeli nie dbasz o siebie, to przynajmniej pomyśl o dziecku.

Kit podniosła głowę.

- Skąd wiesz?

- W zeszłym tygodniu spotkałam w mieście Sophronię. Powiedzia-
ła mi i przyjechałam sprawdzić, co się dzieje.

- Sophronia nie wie. Nikt nie wie.

- Chyba nie wyobrazasz sobie, że coś tak poważnego może ujść
spozstrzegawczości Sophronii.

- Nie powinna była paplać.

- Baron nie wie o dziecku, prawda?

Kit opanowała się.

- Zejdź, proszę, na dół, a ja zadzwonię po herbatę.

Veronica nie dała się zbić z tropu.

- Nie powiedziałaś mu. Jesteś na to zbyt dumna.

Kit opadła bez sil na fotel.

- Nie chodziło o dumę. Nie pomyślałam o tym. Czy to nie dziwne?
Byłam zupełnie ogłuszona tym, że mnie opuszcza, i zapomniałam mu
powiedzieć.

Veronica podeszła wolno do okna, rozsunała zasłony i wyjrzała.

- Przeszłaś trudną drogę, by stać się kobietą. Tak jak my wszystkie.
Chłopcom łatwiej dorastać. Stają się mężczyznami, wykazując się odwa-
gą na polu walki, ciężko pracując lub zarabiając. A my? Czy stajemy się
kobietami, gdy pierwszy raz oddajemy się mężczyźnie? Jeśli tak, to dla-
czego jest to utrata dziewictwa? Czy to znaczy, że przedtem byliśmy lep-
sze? Nie dopuszczam myśli, że miałybyśmy stawać się kobietami tylko
dzięki fizycznej czynności mężczyzny. Nie. Myślę, że stajemy się nimi,
ucząc się, co w życiu jest naprawdę ważne, ucząc się dawać i brać miłość.

Słowa Veroniki zapadały głęboko w serce Kit.

- Moja droga - dodała łagodnym tonem Veronica, podchodząc do łóżka i biorąc płaszcz. - Czas, żebyś zrobiła najważniejszy krok. Pewne rzeczy są w życiu chwilowe, inne trwają wiecznie. Nie zaznasz spokoju, jeśli nie oddzielisz jednych od drugich.

Wyszła z pokoju tak szybko, jak weszła, tylko jej słowa wisały w powietrzu. Kit słyszała odjeżdżający powóz. Chwyciła kurtkę jeździecką i narzuciła na pogniecioną suknię. Wymknęła się z domu i poszła do kościoła niewolników.

W środku było ciemno i zimno. Usiadła na prostej, drewnianej ławce i myślała o tym, co powiedziała Veronica.

Zachrobotała mysz, gałąź uderzyła w szybę. Kit przypomniała sobie cierpienie na twarzy Barona, kiedy wyjeżdżał, i w tej chwili zatrzaśnięte drzwi do jej serca otworzyły się. Kochała Caina bez względu na to, jak uparcie temu zaprzeczała. Miłość do niego była zapisana w gwiazdach na długo przed tamtym lipcowym wieczorem, gdy ściągnął ją z muru. Całe życie przygotowywała się na spotkanie z nim, a on czekał na nią. Był jej drugą, brakującą połową.

Pokochała go w bitwach, które staczali, i w momentach olśnienia, gdy odkrywali, że widzą świat w taki sam sposób. I w sekretnych, nocnych godzinach, gdy kładł ją na łóżku, wypełniał sobą i stworzył drogocenne, nowe życie.

Chciała zacząć od nowa. Dlaczego, kiedy otwierał przed nią duszę, nie objęła go i nie odpowiedziała uczuciem? Wyjechał, nim zdążyła powiedzieć mu, że go kocha. Ale sam też nie wyznał jej miłości. Może jego uczucie nie było tak głębokie, jak jej?

Pragnęła pojechać za nim i cofnąć czas, ale czy powinna to zrobić? To z jej powodu w jego oczach czaił się ból. Poza tym nigdy nawet nie udawał, że chce mieć żonę, nie mówiąc już o takiej jak ona.

Po policzkach ciekły jej łzy. Musiała pogodzić się z myślą, że Cain z ulgą od niej odszedł.

Musi wziąć się za bary z życiem. Już dość długo rozczulała się nad sobą. W nocy może sobie płakać, ale za dnia jest potrzebna ludziom, którzy są od niej zależni. I dziecku.

W lipcu, w cztery lata od dnia, kiedy Kit przyjechała do Nowego Jorku, żeby zabić Barona Caina, na świat przyszła dziewczynka o włosach jasnych jak włosy jej ojca i zadziwiających, fiołkowych oczach obramowanych czarnymi rzęsami. Kit nazwała ją Elizabeth.

W czasie porodu Sophronia cały czas była przy Kit, podczas gdy panna Dolly niespokojnie spacerowała po domu, wchodząc wszystkim w drogę i drąc kolejne chusteczki. Jako pierwsi z gratulacjami zjawili się wielobny Rawlins Cogdell z żoną, zadowoleni, że dziecko zostało spłodzone z legalnego związku, choć zajęło to dwanaście miesięcy.

Resztę lata Kit spędziła, odpoczywając, nabierając sił i z każdym dniem bardziej przywiązując się do córeczki. Beth była słodkim, uroczym stworzeniem, najszcześniejszym w objęciach matki. Nocą, gdy mała budziła się głodna, Kit kładła ją koło siebie w łóżku i drzemały tak do rana, Beth przy matczynej piersi, a Kit przepełniona macierzyńską miłością do tej okruszyny zesłanej w chwili, gdy najbardziej jej potrzebowała.

Veronica regularnie do niej pisywała i od czasu do czasu przyjeżdżała z Charlestonu. Więż między nimi bardzo się zacieśniła. Pani Gamble ciągle się odgrażała, że odbije jej męża, ale tym razem Kit wiedziała, że są to niezbyt wyszukane próby wzbudzenia jej zazdrości i podtrzymania uczucia do Caina.

Zmieniły się też jej relacje z Sophronia. Ciągłe się sprzeczały, ale raczej z przyzwyczajenia. Sophronia była z nią szczerą i Kit lubiła jej towarzystwo. Tylko od czasu do czasu, kiedy na widok Magnusa na twarzy Sophronii pojawiał się wyraz bezgranicznej miłości, Kit ścisnęło się serce.

Magnus rozumiał jej potrzebę rozmawiania o Baronie. Wieczorami siadywali na werandzie i Magnus opowiadał jej wszystko, co wiedział o jego dzieciństwie, o czasach, gdy się włóczył po kraju i o męstwie w czasie wojny. Kil starała się nie uronić ani słowa.

Początek września powitała w pełni sił, wiedząc nareszcie, co miała na myśli Veronica, gdy mówiła, że pewne sprawy w życiu są przejściowe, a inne wieczne. Galopując polami Risen Glory, zrozumiała, że musi odnaleźć męża.

Łatwo powiedzieć. Prawnik, który prowadził sprawy Caina, wiedział, że Baron był w Natchez, ale od dawna nie miał od niego wiadomości. Kit sprawdziła, że okragła sumka ze sprzedaży przędzalni leżała nietknięta w banku w Charlestonie. Z jakichś niewiadomych przyczyn Cain nie zostawił sobie ani grosza.

Przeszukała każdy zakątek Missisipi. Pamiętano, że tu był, ale nikt nie wiedział, dokąd pojechał.

W połowie października, gdy Veronica przyjechała z wizytą, Kit była zrozpaczona.

- Szukałam wszędzie. Nigdzie go nie ma.
 - Jest w Teksasie. W miasteczku San Carlos.
 - Cały czas wiedziałaś i nie powiedziałaś mi? Jak mogłaś?
- Niezmieszana, Veronica upiła łyk herbaty.
- Ależ moja droga, nigdy mnie nie pytałaś.
 - Nie wiedziałam, że to konieczne!
 - Jesteś zła, bo pisał do mnie, a nie do ciebie.

Kit miała ochotę wymierzyć jej policzek, ale, jak zwykle, Veronica miała rację.

- A ty z pewnością słałaś mu listy z niedwuznacznymi propozycjami. Veronica uśmiechnęła się.

- Niestety nie. Cain chciał wiedzieć, jak się miewasz. Gdyby stało się coś złego, miałam dać mu znać.

Kit zrobiło się niedobrze.

- Więc wie o Beth, a mimo to nie wraca.

Veronica westchnęła.

- Nie wie. Nie napisałam mu o dziecku i nie jestem pewna, czy dobrze zrobiłam. Ale doszłam do wniosku, że nie ja powinnam mu o tym powiedzieć. Mam już dość patrzenia na to, jak się ranicie.

Zapomniawszy o gniewie, Kit rzuciła się Veronice na szyję.

- Powiedz mi wszystko, co wiesz, błagam.

- Pierwszych kilka miesięcy pływał na statkach i utrzymywał się z tego, co wygrał w karty. Potem pojechał do Teksasu i konwojował dyliżanse. Nieludzkie zajęcie, moim zdaniem. A teraz prowadzi kasyno w San Carlos.

Kit ścisnęło się serce. Cain powrócił do dawnego stylu życia. Dryfował.

21

Kit dotarła do Teksasu w połowie listopada. Podróż była długa i uciążliwa, tym bardziej że Kit nie jechała sama.

Bezludne obszary Teksasu były dla niej niespodzianką. Płaska pre-ria przechodziła tu w surowy krajobraz, gdzie z postrzępionych skał wyrastały karłowate drzewa, a po pagórkowatym, nieprzyjaznym terenie toczyły się kule wyschniętych chwastów.

Podobno koryta okresowych rzek w porze deszczów wypełniały się wodą, czasem porywając z prądem całe stada bydła. Latem słońce piekło tak mocno, że ziemia, wyschnięta na twardą skorupę, pękała. Niegościnnie teren miał jednak w sobie coś, co pociągało Kit. Może było to drzemiące w nim wyzwanie.

Im mniejszy dystans dzielił ją od San Carlos, tym bardziej niepewna była swojej decyzji. Miała przecież obowiązki, a zdecydowała się porzucić bezpieczny świat i wyruszyć na poszukiwanie człowieka, który nigdy nie powiedział, że ją kocha.

Wchodziła na drewniane schody kasyna Pod Żółtą Różą ze ściśniętym żołądkiem. Od wielu dni mało co jadła, a dziś nawet apetyczne zapachy dochodzące z jadalni pobliskiego hotelu Ranchers nie były w stanie jej skusić. Sporo czasu spędziła przed lustrem, wybierając najlepszą fryzurę i kilka razy zmieniając suknię. Pamiętała nawet, żeby sprawdzić, czy porządnie zapięła wszystkie guziki i haftki.

Ostatecznie zdecydowała się na szarą suknię z jasnoróżową lamówką, tę samą, którą miała na sobie w dniu powrotu do Risen Glory. Dobrała odpowiedni kapelusz, a twarz osłoniła woalką. Miała uczucie, że zaczyna życie od nowa, choć suknia leżała teraz inaczej; ściślej przylegała do piersi, przypominając, że nic nie jest takie, jak było.

Ręka w rękawiczce zadrżała, gdy Kit dotknęła drzwi prowadzących do saloonu. Na moment się zawahała, po czym pchnęła je zdecydowanym ruchem i weszła do środka.

Kasyno Pod Żółtą Różą uchodziło za najlepszy i najdroższy lokal w San Carlos. Była tu czerwono-złota tapeta i kryształowy żyrandol. W saloonie stał misternie rzeźbiony, mahoniowy bar, nad którym wisiał portret nagiej kobiety z żółtą różą w zębach. Kobieta leżała na tle mapy Teksasu, czubkiem głowy sięgając Texarkany, a palcami stóp opierając się o Rio Grande. Obraz dodał Kit odwagi: kobieta przypominała jej Veronikę.

Nie było jeszcze południa, więc w środku znajdowało się niewielu klientów. Rozmowy umilkły, gdy weszła. Obecni odwrócili głowy w jej stronę. Nie widzieli dokładnie jej twarzy, ale strój i sposób poruszania się nie pasowały do saloonu, nawet tak eleganckiego jak Pod Żółtą Różą.

Barman odchrząknął nerwowo.

- Czym mogę pani służyć?

- Chciałabym się widzieć z Baronem Cainem.

Spojrzał niepewnie na kręte schody za barem, potem na szklanekę, którą właśnie wycierał.

- Nikogo takiego tu nie ma.

Kit minęła go i poszła w stronę schodów.

Barman zastąpił jej drogę.

- Chwileczkę! Nie może pani tam wejść!

- Założymy się? - Kit nie zwolniła. - Proszę mi powiedzieć, gdzie znajduje Caina, jeśli nie chce pan, żebym weszła do nieodpowiedniego pokoju.

Barman nie był ułomkiem, miał pierś jak skrzynia i ręce wielkości rzeźnickich haków. Wiedział, co zrobić z pijanym kowbojem lub szukającym sławy rewolwerowcem, ale nie miał pojęcia, jak postąpić z prawdziwą damą.

- Ostatni pokój na lewo - wymamrotał. - Będzie to panią sporo kosztowało.

- Dziękuję.

Kit szła jak królowa, wyprostowana, z uniesioną głową. Miała nadzieję, że nikt z obecnych nie domyślił się, jak bardzo się boi.

Kobieta nazywała się Ernestine Agnes Jones, ale bywalcy lokalu Pod Żółtą Różą znali ją jako Red River Ruby. Jak wszyscy, którzy przyjeżdżali na Zachód, Ruby pogrzebała prawdziwe imię razem z przeszłością i nie oglądała się za siebie.

Mimo kremów, pudrów i starannie umalowanych ust wyglądała na więcej niż swoje dwadzieścia osiem lat. Żyła intensywnie i było to widać. Ciagle jednak prezentowała się atrakcyjnie z burzą kasztanowych włosów i piersiami o rozmiarach poduszek. Nie wiodło jej się ostatnio, ale ze śmiercią ostatniego kochanka sytuacja się zmieniła. Była teraz właścicielką kasyna i najbardziej pożądaną kobietą w San Carlos - pożądaną przez wszystkich mężczyzn poza tym, na którym jej zależało.

Spojrzała na niego i wyduła wargi. Wpychał lnianą koszulę w czarne dopasowane spodnie. Ten gest wzmógł jej determinację.

- Powiedziałeś, że przewieziesz, mnie moją nową bryczką. Może dzisiaj?

- Mam kilka spraw do załatwienia - uciał.

Pochyliła się lekko i jej czerwony, zmięty szlafrok rozchylił się mocniej, ale nie zwrócił na to uwagi.

- Można by pomyśleć, że to ty jesteś tu szefem, a nie ja. Co jest takie ważne, że nie może poczekać?

Nie odpowiedział, lecz postanowiła go nie naciskać. Próbowała kiedyś wymusić odpowiedź i nigdy więcej nie popełni tego błędu. Podcho-

dząc do niego, żałowała tylko, że nie może złamać niepisanego prawa i zapytać go o przeszłość.

Podejrzewała, że za jego głowę wyznaczono nagrodę. To by wyjaśniało towarzyszące mu napięcie i zaciśnięte szczęki. Miał silne pięści i świetnie strzelał, a od twardego, pustego spojrzenia ciarki przebiegały po krzyżu. Potrafił jednak czytać, a to nie pasowało do zbiega.

Jedno było pewne: nie był kobieciarzem. Nie zwracał uwagi na to, że żadna kobieta w San Carlos nie wahałaby się unieść dla niego swoich halek, gdyby tylko trafiła się taka sposobność. Ruby próbowała wepchnąć mu się do łóżka od czasu, gdy najęła go do pomocy w kasynie. Jak dotąd bezskutecznie, ale był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego znała, i nie miała zamiaru łatwo się poddać.

Stanąła przed nim, położywszy mu jedną rękę na klamrze pasa a drugą na piersi. Zlekceważyła pukanie do drzwi i wsunęła rękę pod koszulę.

- Mogłabym cię uszczęśliwić, gdybyś tylko dał mi szansę.

Zorientowała się, że ktoś otworzył drzwi do pokoju dopiero wówczas, gdy podniósł głowę i popatrzył ponad jej ramieniem. Zniecierpliwiona, spojrzęła, kto im przeszkodził.

Serce Kit skurczyło się z bólu. Widziała tylko fragmenty sceny: wulgarny, czerwony, wymięty szlafrok, baloniaste piersi i jaskrawo umalowane usta wykrzywione wściekłością. A potem nie widziała już nic oprócz męża.

Wyglądał starzej niż wówczas, kiedy się rozstawali. Rysy twarzy się wyostrzyły, a w kącikach oczu i ust pojawiły się głębokie zmarszczki. Długie włosy wystawały poza kołnierzyk. Wyglądał jak wyjęty spod prawa. Czy taki sam był w czasie wojny? Czujny i napięty jak struna?

Gdy ją zobaczył, jego twarz na moment złagodniała, by natychmiast przybrać nieprzenikniony wyraz.

- Co ty sobie wyobrażasz! - wrzasnęła Ruby. - Włazić tu w ten sposób! Jeśli szukasz pracy, to zmykaj na dół i czekaj, aż do ciebie zejde!

Kit poczuła wzbierającą wściekłość. Jedną ręką uniosła woalę, a drugą szeroko otworzyła drzwi.

- To ty zejdziesz na dół. Muszę porozmawiać z panem Cainem na osobności.

Ruby zmrużyła oczy.

- Znam takie jak ty. Panienska z dobrego domu przyjeżdża na Zachód i myśli, że wszystko jej się należy. Jestem u siebie i żadna lalunia nie będzie mi mówić, co mam robić. Zabieraj swoje humory do Kentucky albo tam, skąd przyjechałaś.

- Wynoś się stąd - powiedziała cicho Kit.

Ruby zacisnęła pasek szlafroka i zrobiła krok w stronę Kit.

- Wyświadczę ci przysługę, siostró. Zaraz ci pokażę, jakie prawa rządzą w Teksasie.

Z drugiego końca pokoju rozległ się spokojny głos Caina:

- Dobrze ci radzę, Ruby, nie zadzieraj z nią.

Ruby parsknęła pogardliwie, zrobiła jeszcze jeden krok i stanęła przed wycelowaną w siebie lufą pistoletu.

- A teraz zjeżdżaj stąd - powtórzyła Kit - i zamknij za sobą drzwi.

Ruby stała z otwartymi ustami, gapiąc się na broń. Spojrzała na Barona.

Wzruszył ramionami.

- Lepiej jej posłuchaj.

Rzuciwszy nieproszonemu gościowi ostatnie taksujące spojrzenie, Ruby wypadła z pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Kiedy nareszcie znaleźli się sami, Kit nie mogła sobie przypomnieć ani słowa z mowy, którą sobie przygotowała. Uświadomiła sobie, że wciąż stoi z pistoletem w dłoni wycelowanym teraz w Caina. Szybko wsunęła go do torebki.

- Nie był nabity.

- Ma człowiek trochę szczęścia w życiu.

Wyobrażała sobie ich spotkanie na wiele sposobów, ale nie przypuszczała, że wyrwie go z ramion innej kobiety.

- Co tutaj robisz? - zapytał w końcu.

- Szukałam cię.

- Już mnie znalazłaś. Czego chcesz?

Może gdyby zrobił jakiś gest, Kit przypomniaby sobie słowa, które chciała mu powiedzieć, ale stał sztywno, bez ruchu, jakby jej obecność mu przeszkadzała.

Tego było dla niej za wiele. Wyczerpująca podróż, potworna niepewność, a teraz ta kobieta... Poszperała w torebce i wyjęła grubą kopertę.

- Chciałam ci to dać.

Położyła ją na stoliku przy drzwiach i wyszła.

Miała wrażenie, że korytarz nie ma końca. W połowie schodów potknęła się i ledwo utrzymała równowagę. Mężczyźni przy barze odwrócili w jej stronę głowy. Na dole stała Ruby w czerwonym szlafroku. Kit minęła ją i podeszła do wahadłowych drzwi.

Został jej do przejścia już niewielki odcinek, gdy usłyszała go za sobą. Silne ręce chwyciły ją za ramiona i odwróciły. Poczwała, że traci

grunt pod nogami. Baron porwał ją na ręce i przyciskając do piersi, niósł z powrotem do pokoju.

Przeskakiwał po dwa stopnie. Dobiegł do pokoju, kopniakiem otworzył drzwi i tak samo zamknął je za sobą.

Przez moment nie wiedział, co zrobić, i cisnął Kit na łóżko. Spojrzał na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy i sięgnął po kopertę.

Kit leżała bez tchu, gdy czytał.

Szybko przebiegł wzrokiem treść, następnie zaczął czytać od początku, bardzo uważnie. Gdy skończył, pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Nie wierzę, że to zrobiłaś. Dlaczego, Kit?

- Musiałam.

Rzucił jej przenikliwe spojrzenie.

- Czy ktoś cię zmusił?

- Nie.

- Więc dlaczego?

Kit usiadła na brzeжку łóżka.

- Tylko taki sposób przyszedł mi do głowy.

- Sposób na co?

Nie odpowiadała, więc rzucił papiery i podszedł do niej.

- Kit! Dlaczego sprzedałaś Risen Glory?

Wbiła wzrok w swoje dłonie, zupełnie odrętwiała.

Cain przeczesał ręką włosy i powiedział głośno:

- Nie mieści mi się w głowie, że sprzedałaś plantację. Tyle dla ciebie znaczyła. Dwadzieścia dolarów za hektar. To ułamek jej wartości!

- Chciałam się jej szybko pozbyć, a znalazłam odpowiedniego kupca. Pieniądże złożyłam na twoim rachunku w banku w Charlestonie.

Cain nie wierzył własnym uszom.

- Na moim rachunku?

- To była twoja plantacja. Ty ją postawiłeś na nogi.

Baron milczał. Kit poczuła, że zaraz zacznie krzyczeć. Musiała przerwać ciszę.

- Ucieszysz się, gdy się dowiesz, kto ją kupił.

- Dlaczego to zrobiłaś. Kit?

Czy jej się wydawało, czy chłód w jego głosie zelżał? Przypomniała sobie Ruby przytuloną do niego. Ile kobiet miał w tym czasie? Jej marzenia rozpadły się na kawałki. Zrobi z siebie idiotkę, gdy zacznie mu wyjaśniać, ale schowa dumę do kieszeni. Nie będzie więcej kłamać ani udawać. Będzie szczera.

Podniosła głowę, przeklinając ściśnięte gardło. Cain stał w półmroku. Całe szczęście, że nie będzie musiała patrzeć mu w twarz.

- Kiedy wyjechałeś - zaczęła wolno - myślałam, że moje życie jest skończone. Byłam wściekła, najpierw na ciebie, potem na siebie. Dopiero kiedy odszedłeś, zrozumiałam, jak bardzo cię kocham. Cały czas cię kochałam, tylko nie potrafiłam się do tego przyznać. Chciałam natychmiast cię odszukać, ale... chwilowo było to niemożliwe. Wcześniej zbyt często działałam impulsywnie i musiałam być pewna, że postępuję słusznie. I chciałam mieć pewność, że kiedy wreszcie powiem, że cię kocham, to mi uwierzysz.

- Więc sprzedałaś Risen Glory. - Głos miał stłumiony.

Oczy Kit zaszkliły się od łez.

- To miał być dowód miłości. Chciałam ci nim pomachać przed nosem: „Spójrz, co dla ciebie zrobiłam!” Kiedy ją sprzedałam, zrozumiałam, że Risen Glory to tylko kawałek ziemi. Nie potrafi wziąć w ramiona, pocieszyć ani żyć ze mną.

Głos jej się załamał i Kit wstała, próbując ukryć słabość.

- Potem zrobiłam coś głupiego. Kiedy układa się plany w głowie, to wychodzą lepiej niż w życiu.

- Co zrobiłaś?

- Oddałam fundusz Sophronii.

Z zacienionej części pokoju rozległ się stłumiony okrzyk. Kit ledwo go usłyszała. Mówiła urywanymi zdaniami.

- Pomyślałam, że jeśli pozbędę się wszystkiego, poczujesz się za mnie odpowiedzialny. Taka polisa na wypadek, gdybyś mnie nie chciał. Mogłabym wtedy powiedzieć, że musisz się mną zaopiekować, bo nie mam dokąd pójść. Ale nie jestem aż tak pozbawiona godności. Nie zniosłabym, gdybyś został ze mną z litości. Byłoby to gorsze nawet od rozstania.

- Tak źle ci było beze mnie?

Podniosła głowę, wyraźnie słysząc czułość w jego głosie.

Wyszedł z cienia z odmłodniałą twarzą. Szare oczy, zwykle zimne, pełne były miłości.

- Tak - wyszeptała.

Podbiegł do niej i przyciągnął do siebie.

- Moja kochana, moja najśodsza - jęknął, wtulając twarz w jej włosy. - Jak ja za tobą tęskniłem! Pragnąłem cię! Marzyłem tylko o jednym: żeby być z tobą.

Znowu była w jego ramionach. Kit próbowała wziąć głęboki oddech, ale kiedy poczuła jego znajomy, świeży zapach, wybuchnęła łka-

niem. Dotyk jego ciała po tyłu miesiącach to było więcej, niż mogła wytrzymać. Był jej odnalezioną brakującą połową.

- Jeszcze nigdy tak bardzo nie chciałem się z tobą kochać, jak teraz
- powiedział.

- To co cię powstrzymuje?

Spojrzał w jej uniesioną twarz ze zdziwieniem.

- Chciałabyś? Teraz, kiedy znalazłaś mnie z inną kobietą?

Kit dzielnie zniosła ostre ukłucie bólu.

- W pewnym sensie przyczyniłam się do tego. Ale nie rób tego więcej.

- To się nie powtórzy. - Uśmiechnął się czule i miękko. - Kochasz tak samo, jak żyjesz. Mocno i bez zastrzeżeń. Muszę cię puścić na chwilę. Nie będzie to łatwe, ale chcę ci powiedzieć parę rzeczy, a kiedy jesteś tak blisko, nie mogę logicznie myśleć.

Bardzo powoli wypuścił ją z objęć i stanął w pewnej odległości.

- Wiedziałem, że cię kocham, na długo przed wyjazdem. Nie byłem jednak tak mądry jak ty. Nie miałem odwagi przyjść i po prostu powiedzieć, co czuję. Uciekłem. Tak jak zawsze, kiedy za bardzo zaczynało mi na czymś zależeć. Jestem już zmęczony ucieczkami, Kit. Nie mam nic na poparcie moich słów. Nie mam czym pomachać ci przed nosem. Ale kocham cię i chciałem wrócić i walczyć o ciebie. Szczerze mówiąc, właśnie miałem powiedzieć Ruby, że wyjeżdżam, kiedy wyważyłaś drzwi.

Kit skrzywiła się na wzmiankę o właścicielce lokalu.

- Spokojnie, Kit. Muszę ci opowiedzieć o Ruby.

Kit nie miała ochoty słuchać. Potrząsnęła głową, próbując nie myśleć o tym, że ją zdradził.

- Musisz mnie wysłuchać - nalegał. - Nie chcę mieć przed tobą tajemnic, chociaż nie będzie to dla mnie łatwe.

Nabrał powietrza.

- Nie jestem najlepszym kochankiem na świecie, od kiedy się rozstaliśmy. Właściwie nie jestem żadnym kochankiem. Od dawna nie miałem kobiety, więc nie zwracałem sobie tym głowy... Kiedy zacząłem pracować w Pod Żółtą Różą, Ruby nie dawała mi spokoju, i to, co widziałaś, to też jej inicjatywa. Nigdy jej nie tknąłem.

Kit odetchnęła.

Cain wepchnął ręce w kieszenie i odwrócił się. Znowu był spięty.

- Tobie Ruby może nie wydawać się szczytem elegancji, ale mężczyzna widzi to inaczej. Długo nie byłem z kobietą, a ona nie komplikowała

spraw - przychodziła do mnie ubrana tak jak dziś i dawała do zrozumienia, czego chce. Ale ja nic do niej nie czułem!

Przerwał i spojrział na Kit wyczekująco. Kit była zdezorientowana. To, co powiedział, zabrzmiało bardziej jak wyznanie grzechu niż wierności. Czy kryje się za tym coś jeszcze?

Baron musiał zauważyć jej niepewność, bo powiedział.

- Nie rozumiesz, Kit? Robiła wszystko, żeby się ze mną przespać, a ja nie miałem ochoty!

Do Kit dotarł nareszcie sens jego słów.

- Obawiasz się o swoją męskość? Mój kochany!

Ze śmiechem przebiegła pokój i rzuciła mu się na szyję. Całowała go, śmiejąc się i powtarzając:

- Mój najdroższy! Mój kochany, najśladzszy głuptasie!

Z jego gardła wydobył się chrapliwy jęk, gdy zamknął ją w uścisku. Chciwe usta wzięły ją w swoje posiadanie. Pocałunek był głęboki i słodki, ale ich ciała zbyt wyposzczone, żeby się nim zadowolić. Cain, który jeszcze przed chwilą wątpił w swoje możliwości, teraz płonął pożądaniem. Kit czuła to i w ostatniej chwili, zanim straciła nad sobą kontrolę, przypomniała sobie, że nie wszystko mu wyjawiała.

Ostatkiem woli odsunęła się od Caina i wykrztusiła:

- Nie przyjechałam tu sama.

Spojrzenie miał nieobecne i trochę trwało, zanim do niego dotarło.

- Nie?

- Jest... jest ze mną panna Dolly.

- Dolly!

Cainem wstrząsnął radosny śmiech, który ogarnął całe jego ciało.

- Zaciągnęłaś pannę Dolly do Teksasu?

- Musiałam. Nie chciała słyszeć, że pojedę bez niej. Ty sam kiedyś powiedziałeś, że jest nasza. Należy do rodziny. Poza tym, była mi potrzebna.

- Och, najdroższa... Tak cię kocham...

Sięgnął po nią, ale Kit cofnęła się.

- Chodź ze mną do hotelu.

- Teraz?

- Tak. Chcę ci coś pokazać.

- Koniecznie w tej chwili?

- O, tak. Koniecznie.

Szli nierównym, drewnianym chodnikiem, a Cain pokazywał jej San Carlos. Trzymał dłoń na jej ręce opartej na jego ramieniu, ale z roztargnionych odpowiedzi zorientował się, że Kit myślni przebywa gdzie indziej. Zamilkł więc, zadowolony z samego faktu, że ma ją przy sobie.

Panna Dolly czekała w hotelowym pokoju. Chichotała jak pensjonarka, kiedy Cain uniósł ją w górę i przytulił. Potem rzuciła szybkie, niespokojne spojrzenie na Kit i wyszła do sklepu naprzeciwko kupić kilka rzeczy dla dzielnych żołnierzy w szarych mundurach.

Gdy drzwi zamknęły się za nią, Kit stanęła przed Baronem blada i zdenerwowana.

- Co ci jest? - spytał.
- Mam dla ciebie... mały prezent.
- Ale ja nic dla ciebie nie mam.
- To niecałkiem prawda - odparła niepewnie Kit.

Patrzył zdziwiony, jak Kit znika za drzwiami drugiego pokoju. Wróciła, trzymając w objęciach małe, białe zawiniątko.

Podeszła do niego powoli, z tak błagalnym spojrzeniem, że Cainowi omal nie pękło serce. Pakunek poruszył się.

- Masz córkę - powiedziała miękko. - Ma na imię Elizabeth, ale nazywam ją Beth. Beth Cain.

Spojrzał w dół na małą twarzyczkę w kształcie serca. Wszystko w niej było takie delikatne i doskonałe. Główka okolona puszkami jasnych włosów, ciemne brewki i mały nosek. Cain poczuł że ścisną go w gardle. Czy możliwe, że z jego pomocą powstało coś tak pięknego? Podarunek ziewnął i podniósł powieki wielkości różowych muszelek, a wtedy Baron utonął spojrzeniem w drugiej parze błyszczących, fiołkowych oczu.

Kit od razu to zauważyła i poczuła, że to najcudowniejszy moment jej życia. Odsunęła kocyk, żeby mógł zobaczyć resztę. Potem podała mu dziecko.

- Cain patrzył na nią, niepewny.
- Nie bój się. - Uśmiechnęła się czule. - Weź ją na ręce.

Gdy przygarnął córkę do piersi, małego ciała prawie nie było widać w jego dużych dłoniach. Beth zaczęła się wiercić, potem wykręciła głowę, żeby spojrzeć na nieznaną twarz.

- Cześć, moja walentynko - szepnął Cain.

Kit i Baron do wieczora bawili się z córką. Kit rozebrała małą, żeby ojciec mógł policzyć paluszki rąk i nóg. Beth po mistrzowsku odgrywała

swoją rolę: uśmiechała się, słysząc dziwne dźwięki, jakie wydawał Cain, chwyciła wielkie palce i gruchała, gdy ojciec dmuchał jej na brzusek.

Panna Dolly zajrzała do nich, ale widząc, że wszystko w porządku, wycofała się do drugiego pokoju, żeby się zdrzemnąć. Życie bywa skomplikowane, myślała zapadając w sen, ale bywa też ciekawe. Musi się zatroszczyć o małą Beth. Nie mogła przecież polegać na Katharine Louise w kwestii wychowania. Ona, Dolly, musi pilnować, by została wychowana na prawdziwą damę. Tyle jest do zrobienia. Od nadmiaru obowiązków kręciło się jej w głowie. To, co się stało w Appomattox Court House, to była, oczywiście, tragedia, ale może dobrze się skończy. Panna Dolly będzie teraz zbyt zajęta, żeby zajmować się sprawami wojny.

W drugim pokoju Beth robiła się niespokojna. Wykrzywiła usteczka i głośno przyzywała matkę. Cain zaniepokoił się.

- Czy coś ją boli?

- Jest głodna. Zapomniałam ją nakarmić.

Podniosła małą z łóżka, na którym się z nią bawili, i usiadła w fotelu przy oknie. Beth niecierpliwie szukała piersi. Nie znalazłszy jej, zaczęła się denerwować.

Kit patrzyła na nią, ale nagle poczuła się skrzepowana. Wstydziła się spełnić tę najintymniejszą z ról w obecności męża.

Cain obserwował je, leżąc wyciągnięty na łóżku. Wyczuwając niepewność Kit, wstał i podszedł do nich. Pogłaskał Kit po policzku, potem zanurzył palce w szarej koronce otaczającej jej szyję. Odsunął ją delikatnie i odsłonił rząd perłoworóżowych guziczków. Rozpiął je i rozsunął suknię.

Jednym pociągnięciem rozwiązał niebieską wstążkę. Po policzkach Kit popłynęły łzy. Cain schylił się, żeby osuszyć je pocałunkami. Potem odsłonił pierś, by jego córka mogła się najeść.

Beth natychmiast zaczęła ssać. Cain roześmiał się i ucałował tłusciutkie fałdki na jej szyi. Następnie odwrócił głowę i przywarł ustami do białej, pełnej piersi żony. Kit zanurzyła palce w jego włosach i Cain wiedział już, że w końcu ma dom, którego żadna siła nie będzie w stanie mu odebrać.

Mieli sobie wiele do powiedzenia. Wieczorem, gdy Beth słodko zasnęła, zostawili ją z panną Dolly i wybrali się na przejażdżkę do kanionu na północ od miasta. Jadąc, rozmawiali o zmarnowanym czasie - najpierw o wydarzeniach, potem o tym, co czuli. Rozmawiali cicho, cza-

sem urywając w połowie zdania lub kończąc nawzajem swoje myśli. Cain mówił o poczuciu winy, że ją opuścił, tym większym teraz, że była wtedy w ciąży. Kit przyznała, że Risen Glory była klinem, który wbijała między Caina i siebie. Wyznanie grzechów przychodziły im nadspodziewanie łatwo, i łatwo też było im nawzajem sobie wybaczać.

Z początku ostrożnie, potem z większym entuzjazmem, Cain opowiedział jej o kawałku ziemi, który wpadł mu w oko na wschodzie, koło Dallas.

- Co byś powiedziała, gdybyśmy postawili jeszcze jedną przędzalnię? Bawełna da duże plony w Teksasie, większe niż na Południu. A Dallas wygląda na dobre miejsce na założenie rodziny. - Spojrzał na nią. - A może wolisz wrócić do Karoliny Południowej i tam wybudować przędzalnię? Nie będę miał nic przeciwko temu.

Kit uśmiechnęła się.

- Podoba mi się w Teksasie. To chyba dobre miejsce dla nas. Nowa ziemia i nowe życie.

Przez chwilę jechali w milczeniu. W końcu Cain odezwał się:

- Nie powiedziałaś mi, kto kupił Risen Glory. Dwadzieścia dolarów za hektar! Nie mieści mi się w głowie, że sprzedałaś ją za taką cenę.

- To nie był zwykły nabywca. - Rzuciła mu figlarne spojrzenie. - Może go pamiętasz. To Magnus Owen.

Cain odrzucił głowę w tył i roześmiał się.

- Magnus jest właścicielem plantacji, a Sophronia ma fundusz.

- Myślałam, że tak będzie sprawiedliwie.

- Bardzo dobrze.

Gdy wjechali w mały, opuszczony kanion, wieczór kładł się już głębokim, zimnym cieniem. Cain przywiązał konie do wierzby, wyjął zza siodła zwinięty koc i podał Kit rękę. Zaprowadził ją nad brzeg płytkiego potoku wijącego się meandrami na dnie kanionu. Wszedł księżyc i zalał ich srebrną poświatą.

Cain spojrzał na żonę. Miała na sobie kapelusz z płaskim rondem i jedną z jego flanelowych koszul narzuconą na jasne bryczesy.

- Wyglądasz prawie tak samo jak wtedy, gdy ściągnąłem cię z muru. Tylko że teraz zupełnie nie przypominasz chłopca.

Spojrzał na jej piersi rysujące się wyraźnie pod za dużą koszulą, i zachwycił go rumieniec Kit. Rozłożył koc i zdjął najpierw jej kapelusz, potem swój i rzucił je na brzeg strumienia.

Dotknął jej małych, srebrnych kolczyków, potem włosów związanych w węzeł na karku.

- Chciałbym ci rozpuścić włosy.

Jej usta wyrażały łagodne przyzwolenie.

Cain powyciągał spinki i pieczołowicie poukładał je w swoim kape-luszu. Kiedy uwolnione włosy opadły błyszczącą chmurą, Baron wziął je w dłonie i z czułością przyłożył do ust.

- Ależ za tobą tęskniłem.

Kit otoczyła go ramionami i spojrzała w oczy.

- Nie będziemy idealnym małżeństwem, prawda?

Cain posłał jej miękki uśmiech.

- To raczej niemożliwe. Oboje jesteśmy w gorącej wodzie kapani i uparci. Na pewno będziemy się kłócić.

- Masz coś przeciwko temu?

- Nie wyobrażam sobie naszego życia inaczej.

Kit przytuliła policzek do jego piersi.

- Książęta z bajek zawsze wydawali mi się nudni.

- Moja dzika różo z czarnego lasu. Nigdy nie będziemy się nudzić.

- Jak mnie nazwałś?

- Nieważne. - Zamknął jej usta pocałunkiem. - Nic nie mówiłem.

Pocałunek stawał się coraz gorętszy. Cain przeczesał palcami jej włosy i wziął w dłonie jej głowę.

- Chcę patrzeć, jak się dla mnie rozbierasz - szepnął. - Tak długo o tym marzyłem.

Kit wiedziała od razu, jak to robi - tak, żeby sprawić jak największą przyjemność. Rzuciwszy mu zalotne spojrzenie, pozbyła się butów, potem ściągnęła bryczesy. Baron jęknął, gdy długa flanelowa koszula skromnie opadła na biodra. Kit sięgnęła pod nią, zdjęła białe pantalony i rzuciła na ziemię.

- Nie mam nic pod spodem. Chyba zapomniałam koszulki. Celowo. Cain miał ochotę rzucić się na nią.

- Pani Cain, jest pani kobietą rozwiązłą.

Kit sięgnęła do górnego guzika koszuli.

- Zaraz się pan przekona, panie Cain, jak bardzo.

Nikt nie rozpiął jeszcze guzików tak wolno. Nawet zupełnie rozpięte poły koszuli uszytej z grubego materiału pozostawały na miejscu.

- Liczę do dziesięciu - powiedział ochryplym głosem.

- Licz sobie, do ilu chcesz, Jankesie. Nic ci to nie pomoże.

Z diabelskim uśmieszkiem, powolutku, centymetr po centymetrze, Kit opuściła koszulę i stanęła przed nim naga.

- Zapomniałem, jaka jesteś piękna. Chodź do mnie, kochanie.

Podbiegła do niego po zimnej ziemi. Przez głowę przemknęła jej wątpliwość, czy zdoła go zadowolić. A może poród ją zmienił?

Wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie. Delikatnie ujął w dłonie jej pełne piersi.

- Twoje ciało się zmieniło.

Kiwnęła głową.

- Trochę się boję.

- Czego, skarbie? - Odchylił w tył jej głowę i muskał ustami wargi.

-Prędzej umrę, niż zrobię ci krzywdę.

-Nie o to chodzi. Boję się, czy... czy będzie ci dobrze.

- Może to ja powinienem się martwić, czy stanę na wysokości zadania? - szepnął.

- Głuptasie! - wymruczała.

- Głuptasie! - odpowiedział.

Całowali się i uśmiechali do siebie, aż jego ubranie stało się wyraźną przeszkodą. Zrobili wszystko, żeby nic ich już nie dzieliło i obsypując się pieścizkami, upadli na koc.

Księżyc przesłoniła chmurka, rzucając ruchome cienie na ściany kanionu, ale kochankowie niczego nie zauważyli. Chmury, księżyce, kaniony, dziecko z twarzą w kształcie serca, stara panna pachnąca miętą- wszystko to przestało istnieć. Ich świat był teraz mały. Składał się tylko z mężczyzny i kobiety, nareszcie połączonych.